MYŚL NARODOWA



MIESIĘCZNIK

Sierpień—Wrzesień 1916 Tom II. № 8-9.

PETROGRAD.

MYŚL NARODOWA

Sierpień—Wrzesień 1916.

Treść:

L'IDÉE NATIONALE

Août—Septembre 1916.

Sommaire:

56

MYŚL NARODOWA

MIESIĘCZNIK

Lipiec—Wrzesień 1916 Rok I № 8—9.

PETROGRAD.

ПЕТРОГРАДЪ

Дозволено военной цензурой въ ноябрѣ 1916 г.

Dr. Mieczysław Treter.

SZTUKA I KONTEMPLACYA.

Głęboki problemat sztuki i artystycznej twórczości, sfinksowa zagadka „Piękna“, dręczą poprzez wszystkie wieki ludzkość myślącą, od Platona i Arystotelesa począwszy. A choć najwybitniejsze umysły filozofów mozoliły się nad rozwiązaniem i wyjaśnieniem tej kwestyi, dotyczącej najprzedziwniejszych ducha ludzkiego przejawów, stoimy wobec większości faktów z dziedziny życia estetycznego i dziś, jak za czasów greckich niegdyś, przeważnie bezradni, nie wiedząc, jak je określić, jak je wytłomaczyć należy. Co więcej, sprawie tej tej poświęcono osobną, pod nazwą „Estetyki“, naukę; o przedmiot jej jednak, o jej cel i zakres, o metodykę badań spór toczą gwałtowny sami właśnie estetycy... Nie tylko więc że dalecy jesteśmy bardzo od ostatecznego wyjaśnienia problemu, ale nie zdobyliśmy się dotąd jeszcze na konkretne i ścisłe jego sformułowanie! Ile systemów estetycznych, tyleż prawie odmiennych sposobów określania zadań i metod tej gałęzi nauki.

Dawna estetyka metafizyczna, zajmująca się głównie badaniem czysto abstrakcyjnego pojęcia „piękna“, z którego drogą samej tylko spekulacyi wysuwano szereg zasad i prawideł (norm), przebrzmiała już niemal bez echa, podobnie, jak i estetyka idealistyczna, śledząca (pod wpływem Hegla i Schellinga) zawartość *idei* w danym utworze, stosunek jej do absolutu i t. d. Estetyka normatywna—pozostająca pod wpływem Kanta—liczy dziś kilku zaledwie przedstawicieli (np. J. Cohn), charakter jej jest też poniekąd inny, bardziej zgodny z nowoczesnym sposobem patrzenia na sztukę i zjawiska życia estetycznego.

Estetyka współczesna pomija na ogół kwestyę norm i t. zw. kategoryi estetycznych (piękno, brzydota, wzniosłość, tragizm, komizm i t. p.), a o ile zajmuje się niemi, to czyni to na podstawach wyraźnie empirycznych, kla-

syfikuje; wyjaśnia drogą analizy *fakty*, nie zaś oderwane, z góry powzięte formuły i abstrakcyjne *pojęcia*.

Już to samo, że przestano gubić się w metafizycznych dociekaniach i mglistych abstrakcyach, a zwrócono się do zjawisk konkretnych—stanowi ogromny krok naprzód.

Jednem z podstawowych zagadnień estetyki współczesnej jest kwestya, na czem polega oddziaływanie na nas dzieł sztuki, oraz jakie są istotne cechy naszego estetycznego odnoszenia się do tworów artystycznych i jakie bywają rodzaje reagowania na nie z naszej strony. Kwestya sprowadza się do wzajemnego stosunku między dziełem sztuki i widzem lub słuchaczem.

Rzecz prosta, że możliwe tu są dwa różne stanowiska; punktem wyjścia może być albo jednostka, napawająca się estetycznie dziełem sztuki, t. j. jej stan psychiczny, w chwili odbierania podniet estetycznych—stanowisko *subjektywne*,—albo też dzieło sztuki ze wszystkiemi swemi właściwościami formy i treści, t. j. objekt, jako źródło podniet estetycznych—stanowisko *objektywne*.

Dwa te stanowiska wyznaczają też estetyce współczesnej, mającej charakter empiryczny, opisowy i wyjaśniający, dwa różne kierunki i odpowiednie im przedmioty badań; estetyka subjektywna bada stan psychiczny podmiotu, t. j. osoby, reagującej na dzieło sztuki, natomiast estetyka objektywna bada sam przedmiot estetyczny, t. j. dzieło sztuki, jego cechy i elementy.

Pomimo jednak różnych dróg i metod, rozmaitych określeń przedmiotu estetyki, wszyscy estetycy dążą niewątpliwie do jednego wspólnego celu, jakim jest zgłębienie i wyjaśnienie *istoty sztuki* na podstawie pewnych stałych praw, stwierdzonych doświadczeniem i z niego wyprowadzonych. „Prawa" te niemają mieć oczywiście charakteru nakazów i norm, krępujących twórcę; celem ich jest tylko wykryć pewną prawidłowość i zoryentować się w chaosie zjawisk estetycznych, podobnie, jak prawa i teorye chemiczne nie stawiają pierwiastkom chemicznym „norm" i nie przepisują im sposobów chemicznych związków i reakcyi, a są tylko sformułowaniem pewnych zasad, wykrytych na podstawie doświadczenia i eksperymentów.

Sferę zjawisk estetycznych wyodrębniono słusznie z dziedziny zjawisk życia praktycznego i czysto teorytycznego, jako sferę samoistną, odznaczającą się specyficznemi, jej tylko właściwemi znamionami. Dążenie do poznania istoty sztuki ma zarazem na celu wykrycie

okoliczności, od których zależy „rozkosz“, względnie wogóle „wartość“ estetyczna, określenie warunków, w jakich owe specyficzne cechy na jaw występują.

Ukoronowaniem badawczych rozstrząsań byłoby wykrycie i sformułowanie takich cech, które posłużyćby mogły do bezwzględnego określenia tego, co nazywamy „zjawiskami estetycznemi“, a więc wyszukanie zasadniczych znamion, bez których z jednej strony niema czysto estetycznego „napawania się“, a z drugiej prawdziwego, t. j. estetycznie cennego dzieła sztuki.

Do tych ostatecznych celów zmierzają w gruncie rzeczy wszelkie estetyczne teorye, choćby nawet na razie wskutek przesadnej specyalizacyi i polemicznego zacietrzewienia nie zdawały sobie z tego należytej sprawy.

Zmierza do tego i estetyka subjektywna, która oparłszy się na psychologii, bada stany psychiczne jednostki, reagującej na podnietę, jaką jest każde dzieło sztuki, względnie t. zw. „piękno“.

Każda podnieta wywołuje w ustroju psycho-fizycznym człowieka odpowiednie zmiany i reakcye. Na widok pewnego malowidła czy posągu, wobec słuchanego utworu muzycznego, czy też poematu, otrzymujemy przedewszystkiem cały szereg wrażeń czysto-zmysłowych (optycznych i akustycznych)—„przyjemnych lub przykrych“, pozatem, powstają w nas pod wpływem dzieła sztuki różne wyobrażenia i pojęcia, budzą się różne uczucia, nasuwają się najrozmaitsze assocyacye, przypomnienia, sądy i t. d.; czasem miewamy na skutek silnego wrażenia, jakie utwór na nas sprawił, różne wizye, nieraz popadamy w ekstazę, a w każdym razie zwykle duszę naszą wypełnia jakiś dziwny nastrój, który niezawsze umielibyśmy ściśle określić.

Przypomnijmy sobie tylko nasz stan psychiczny w chwili oglądania przejmujących do głębi kartonów Grottgera (Polonia, Lithuania, Wojna), potężnych kompozycyi Matejki (Kazanie Skargi, Stańczyk, Rejtan), duchem wskroś przeniknionych pejzaży Chełmońskiego i Stanisławskiego, Madonn Botticellego, witraży Wyspiańskiego—w chwili patrzenia na arcydzieła rzeźby klasycznej, na „Mojżesza“ i „Niewolnika“ Michała Anioła, na „Mieszczan z Calais“ i „Balzac'a“ Rodin'a — w chwili rozkoszowania się architekturą tumów gotyckich i renesansowych świątyń — w chwili czytania lub słuchania greckich tragedyi, dramatów Shakespeare'a, Wyspiańskiego, „Hymnów“ Kasprowicza—w chwili upajania się muzyką Bacha, Beetho-

vena, Chopina, Wagnera, a choćby tylko melodyą romansów cygańskich, sentymentalnych valse'ów, rytmem „Tanga“ czy dźwiękami Cake-Walk'a!..

Ileż różnorodnych wrażeń, uczuć, myśli i nastrojów! Każdy z nas niewątpliwie zna i pewnie nawet „lubi“ wymienione powyżej utwory — a jednak, każdy z nas na swój odrębny sposób cieszył się nimi, rozumiał je i odczuwał, inne budziły się w duszy jego assocyacye, uczucia i nastroje. Tyle przecież zależy od osobistych właściwości, od stopnia inteligencyi, od wrażliwości, od charakteru, od usposobienia i nastroju...

Zwłaszcza od usposobienia i nastroju! Wszak gdy ktoś udręczony, chory, zły lub przybity, słowem, kiedy nie jest „usposobiony“, na nic największe arcydzieło—nie przemówi ono wówczas do niego, owszem, przeciwnie, najskoczniejszy nawet Mazurek o jeszcze gorszy humor i o większą melancholię przyprawić go może.

Wszystkie te stany psychiczne, powstające pod wpływem sztuki, włącza estetyka subjektywna, psychologiczna w krąg swych badań, analizuje je, zestawia, określa i wyjaśnia, a wreszcie wysnuwa pewne konsekwencye i stawia różne wnioski odnośnie do samych dzieł sztuki, które przynajmniej w pewnym stopniu — jeśli już nie całkowicie—stały się przyczyną, podnietą, wywołującą owe rozmaite stany.

I tu właśnie zachodzi wielkie nieporozumienie.

Analiza psychologiczna naszych czysto subjektywnych stanów psychicznych, spowodowanych oddziaływaniem na nas dzieł sztuki, jest z wielu względów rzeczą ciekawą, wartą trudu i zachodu, ostateczne jej wyniki mają wielką wartość dla nauki o wewnętrznych procesach naszego życia duchowego, psycho-fizycznego, wyjaśniają wiele zjawisk pozornie dziwnych, anormalnych i niezrozumiałych, mogą nawet przydać się medycynie w zastosowaniu praktycznem, zwłaszcza w psychiatryi — ale żadna analiza psychologiczna, najlepszymi choćby uwieńczona wynikami, nie może racyonalnie niczego orzekać o artystycznych właściwościach dzieła sztuki, ani też o niem samem, jako takiem.

Z tego, że dane malowidło tej lub owej jednostce się „podoba“, że sprawia jej dzięki „wzruszeniu estetycznemu“ pewną „rozkosz“, wywołuje w niej pewne „nastroje“, powołuje pewne zmiany fizyologiczne w jej ustroju i reakcye w jej systemie psycho-nerwowym, it.d., it.d.,—z tego wszystkiego nic jeszcze nie wynika odnośnie

do samego obrazu i jego artystycznej wartości, który w tym, jak i w każdym prawie innym przypadku, mógł być zarówno arcydziełem, jak i ostatnim bohomazem.

Czyżby dlatego, że ktoś potrafi n. p. na widok marnej, fabrycznej kopii porcelanowej „Amora i Psyche“ A. Canovy popaść w ekstazę, a obok posągu „Nike z Samothrake“ (Paryż-Louvre) przejść obojętnie mimo — czyżby dlatego wartość artystyczna jednego utworu miała być o wiele większa, aniżeli wartość drugiego?

Nie, bynajmniej!

Tylko suma „rozkoszy“ — u danej jednostki — będzie większa i psycholog postąpi słusznie jedynie wtedy, gdy porównywać będzie oba *stany psychiczne*, nie zaś obie rzeźby, których istota i wartość zasadza się na czemś zupełnie innem, aniżeli na obojętności lub ekstazie przypadkowego widza.

Psycholog zna tylko takie dwie alternatywy: albo coś się *podoba* — albo się *nie* podoba, albo coś sprawia uczucie *przyjemne* — albo *przykre*.

Wystarczy przejrzeć systemy współczesnych estetyków-psychologistów, aby nabrać mniemania, że w istocie rzeczy cały problem estetyki obraca się około jednej głównej kwestyi: „rozkoszy estetycznej“. Nadmienić tu trzeba, że niektórzy z uczonych usiłują wyodrębnić rozkosz „estetyczną“ od rozkoszy „poza-estetycznej“ i czynią to w mniej lub więcej nieudatny sposób. Tak np. Stephan Witasek i Konrad Lange są zdania, że w procesach estetycznych wchodzą w grę uczucia *nie* rzeczywiste, ale przedstawione (t. j. pomyślane). Tymczasem „uczuć przedstawionych“ niema, są tylko uczucia rzeczywiste i przedstawienia uczuć, a te ostatnie nie są wcale uczuciami, lecz czystemi przedstawieniami (t. j. pojęciami, względnie wyobrażeniami). Uczucia więc t. zw. „estetyczne“ nie różnią się dla psychologa w istocie swej od wszystkich innych i dlatego właśnie estetyk - psychologista nie umie i nie może wyłączyć zjawisk czysto estetycznych z pośród całej dziedziny wszelkich reakcyi psychicznych na dzieło sztuki. Nie wszystkie zaś reakcye psychiczne pozostają w koniecznym i istotnym związku z dziełami sztuki.

Weźmy pod uwagę *ekstazę*. Jest to niezwykle podniosły stan psychiczny, który polega na oderwaniu ducha od przedmiotów i wrażeń zmysłowych, tak, że ginie wreszcie wszelka łączność zmysłów z całem jego otoczeniem. Jest to zarazem szczytowa forma rozkoszy, i jako taka uchodzi w oczach estetyków-psychologistów za jeden

z głównych, najciekawszych, najbardziej typowych fenomenów estetycznych.

Oto, co mówi m. i. na ten temat Prof. Karol Lange (z Kopenhagi), główny przedstawiciel estetyki sensualistycznej: „..Wszakże jeden rodzaj wzruszeń o własnościach szczególnych musi tu być rozpatrzony bliżej, gdyż w szeregu nastrojów i stanów uczuciowych zajmuje on stanowisko pod względem estetycznym szczególnie ważne. Myślę tu o stanie psychicznym, który stanowi rozkosz najsilniejszą i najbardziej czystą; myślę tu o stanie *ekstatycznym*. Przez *ekstazę* rozumiemy—w każdym razie w tem znaczeniu winno tu być użyte to słowo—mniej lub więcej rozwinięty stan bezświadomości, niedostępności i niewrażliwości w stosunku do bodźców zewnętrznych, stan, który może być wywołany przez silne wpływy emocyonalne różnego rodzaju. Nie jest wszak niepojętem, że podniesiony do przepotężnej siły nastrój może całkowicie lub prawie zupełnie przerwać wszelką działalność umysłową, albo, ściślej mówiąc, że takiemu nastrojowi podobne przerwanie działalności może towarzyszyć...*“) Cechą istotną ekstazy jest wedle Lange'go „do pewnego stopnia zatrata świadomości i wrażliwości“. U ludów wschodnich umieją Derwisze „którzy nie tylko *dla* ekstazy, lecz z *niej* żyją“ wprawiać się w stan ekstatyczny różnymi sposobami; tak np. niektóre sekty „starają się wywołać konieczne dla ekstazy zaburzenia w obiegu krwi w ten sposób, że z szybkością niepojętą — do 400 razów na minutę, licząc z zegarkiem w ręku — rzucają głową z boku na bok, aż do konwulsyi“...**)

Ekstaza tedy—do której dojść można, jak widzimy, i na innej drodze — nie tylko, że nie stanowi istotnej i specyficznej cechy estetycznego odnoszenia się do dzieł sztuki, lecz, co więcej, wprost je uniemożliwia! Jest to bowiem stan bierny, stan „bezświadomości, niedostępności i niewrażliwości w stosunku do bodźców zewnętrznych“, stan, w którym tracimy z oczu wszystko i w którym nie mają do nas przystępu żadne wrażenia z zewnątrz; poddajemy się w zupełności temu, co się wewnątrz nas samych dzieje. W takich okolicznościach nie może być oczywiście nawet mowy o słuchaniu lub oglądaniu dzieła sztuki.

---

*) *K. Lange:* Rozkosz zmysłów i rozkosze sztuki, przyczynki do sensualistycznej teoryi sztuki (przekł. polski M. Muttermilcha), Warszawa 1905, str. 45 i nast.

**) L. c. 49.

Także i napół rozwinięte formy ekstazy, gdy ktoś np. „tonie w upojeniu“ lub „odchodzi od zmysłów“ z zachwytu czy podziwu, nie mogą być uważane za coś pozostającego w istotnej łączności ze sztuką, z charakterem i wartością artystycznych utworów. Ze zbadania tych i tym podobnych stanów psychicznych, estetyka, dążąca do ujęcia istotnego charakteru sztuki, wykrycia jej praw i zasad, nader małą tylko odnieść może korzyść. Niemożna uważać dzieł sztuki za środki wywoływania rozkoszy, ekstazy i t. p. — nie mówiłoby to wiele o istocie dzieła sztuki,— niemożna też określać rozkoszy ni ekstazy, jako stanów, będących rezultatem oddziaływania na nas sztuk pięknych. Lange stwierdza*): środek rozkoszy jest *niczem* w sobie i dla siebie; czynniki, wywołujące przyjemność lub radość i stające się w ten sposób środkami rozkoszy, są nimi tylko w stosunku do tego, kto rozkosz odczuwa, są tem przez stan, który w nim wywołują, a nie przez pewne specyalne w nich samych zawarte własności, które wogóle stawiają je w pewien stosunek szczególny do odczuwania rozkoszy“.

Tymczasem dla racyonalnie pojętej estetyki jest dzieło sztuki, samo w sobie i dla siebie, *wszystkiem!*

Dzieło sztuki ma swój byt odrębny i nie przestaje niem być i wtedy, gdy nie jest używane za *środek* do wzbudzania w kimś subjektywnych stanów rozkoszy.

Mylne jest zapatrywanie psychologa sztuki, R. Müllera — Freienfelsa, który twierdzi, że na to, bym mógł rozpocząć badania estetyczne, muszę najpierw pewien przedmiot uznać za dzieło sztuki, a to stwierdzam dopiero na podstawie sposobu jego oddziaływania na mnie...“ Kryteryum takie, zależne od subjektywnych czysto stanów psychicznych byłoby zbyt zawodne, a zwłaszcza w *nauce* utrzymać się stanowczo nie da.

Ornament np., skonstruowany z kombinacyi figur geometrycznych, jakkolwiek nie wzbudzi w kimś może „rozkoszy“ i pozostawi widza uczuciowo obojętnym, o ile tylko jest *odpowiednio* pomyślany i wykonany, może mieć wysoką wartość artystyczną. Idzie tylko o to, co w tym razie znaczy słowo „odpowiednio“, bo po tej „odpowiedniości“—jeśli uda się ją określić w sposób objektywny— możnaby ów ornament poznać, zdefiniować jako dzieło sztuki, oraz wyodrębnić od innych, które za dzieło sztuki uchodzić nie mogą. Można tedy w pewnym przedmiocie

*) L. c. 22.

rozpoznać dzieło sztuki—abstrahując od wszelkich stanów subjektywnych. rzeba tylko oprzeć się na określonych jego cehach objektywnych.—Cechy te wykryć i sformułować jest właśnie zadaniem estetyki. Zresztą, na ogół, choć zadania tego estetyka dotąd jeszcze nie spełniła, my de facto, w praktyce, rzadko się mylimy i spieramy się głównie o wartości, o sądy estetyczne i ich zasady, nie zaś o to, jakie przedmioty obejmujemy wspólnym mianem: dzieła sztuki, bo co do tego jesteśmy przeważnie w zgodzie. Estetycy skrajnie przeciwnych sobie kierunków na tym punkcie najłatwiej się porozumiewają.

Metoda psychologiczna wyjaśnia wiele rzeczy, ale głównie w odniesieniu do jednostki psychicznej, jej zachowania się, stanów, reakcyi, o istocie jednak dzieła sztuki, o jego wartości w porównaniu z innymi nic właściwie powiedzieć nam nie może, bo psychologia *oceniać* nie umie, zna tylko procesy i fakty psychiczne, nie zaś strukturę dzieła sztuki, jego technikę, formę, właściwości materyału i t. d. Sądy o wartości są dla estetyki niesłychanie ważne, stanowią przedmiot zasadniczy jej badań, tymczasem psychologia wyjaśnić może w najlepszym razie sam tylko proces powstawania i wydawania sądów, t. j. nie obejmuje wcale strony merytorycznej, a jedynie czysto formalną.

Psychologia, badając „rozkosz estetyczną“, która ma charakter wybitnie bierny (poddawanie się czarowi, nastrój, trwanie w upojeniu, bezładne snucie marzeń i wizyi, odruchy czysto zmysłowe, odczuwanie miłych „dreszczyków“ i zatapianie się w nich), bada stany psychiczne, nie tylko, że w luźnym pozostające związku ze sztuką i artyzmem, ale zarazem stany, które właściwe są przedewszystkiem ludziom naiwnym, laikom, pozbawionym znamion wyższej kultury estetycznej, oraz tego, co nazywamy „znawstwem“ sztuki. „Upajają“ się sztuką w ścisłem tego słowa znaczeniu najbardziej ci, do których przemawia głównie,—a czasem jedynie—*treść* dzieła sztuki, anegdota, temat. Osobnik taki zachwyca się haniebnie namalowanym obrazem, bo temat jego, (np. postać kobieca) jest ponętny, „napawa się“ dźwiękami wojskowej kapeli, bo rytm marsza i nieskomplikowana melodya najbardziej łechcą jego ucho, „tonie“ w romansach kryminalnych w rodzaju „Sherlocka Holmes'a“, a odpycha ze wstrętem arcydzieła literatury, bo te są „nudne“, o niedość sztucznej i „okropnej“ fabule...

Czyż ludzie tego pokroju łatwo wpadają w ekstazę na widok doskonałego ornamentu, fragmentu rzeźby an-

tycznej, świetnie namalowanej „martwej natury", wobec utworu muzycznego J. S. Bacha?

Nie! — nie znajdują tam bowiem ponętnej i łatwiej do ujęcia „treści", którąby się można jak haszyszem upoić. Oni wszyscy rozkoszują się w istocie rzeczy nie tyle dziełem sztuki, ile *własnymi* stanami, wywołanymi przez zawartość treści i czysto zmysłowe oddziaływanie artystycznego utworu.

Tem się głównie tłomaczy powszechnie małe zainteresowanie dla ornamentyki, architektury, muzyki, zwłaszcza małe zrozumienie muzyki „poważnej", stojącej na wyżynach prawdziwego artyzmu...

Stany psychiczne takich właśnie jednostek, które odnoszą się do dzieł sztuki jako do źródła dreszczyków, *środka* upajającego jak opium, które nie rozumieją tajników artyzmu i pozbawiane są znajomości form artystycznych, a sztukę traktują zawsze ze względu na coś *poza* nią leżącego — mniejsza o to, czy będzie tem ich subjektywne upodobanie i rozkosz, czy względy utylitarne lub społeczne i t. p.—takie stany dostarczają właśnie estetyce psychologicznej głównego materyału i stanowią właściwy przedmiot jej badań!..

Skoro zważymy jeszcze, że zmienność smaku i upodobań cechuje wszystkie czasy i narody, wszystkie warstwy ludności i że, zależnie od okoliczności jeden i ten sam przedmiot tej samej nawet jednostce raz może się wydać pięknym i budzącym rozkosz, a drugi raz brzydkim lub conajmniej obojętnym, nie zawahamy się twierdzić, że estetyk—psychologista opiera się na najmniej stałych zjawiskach czysto subjektywnej natury, z których niepodobna wysnuwać jakichkolwiek objektywnych i powszechnie prawdziwych wniosków—w odniesieniu do sztuki i jej arcydzieł.

Zapomocą metody subjektywnej w estetyce można dojść do wykrycia pewnych praw reakcyi psychicznej na działanie sztuki, ale będą to prawa psychologiczne, stanowiące dopiero surowy materyał dla estetyka, posługującego się odmienną metodą, która pozwoli mu w tym chaosie wynaleźć elementy o cechach specyficznie estetycznych i wyodrębnić je ściśle od całej reszty zjawisk życia wewnętrznego.

Metoda subjektywna, upatrująca swój punkt wyjścia w zjawiskach psychicznych używającego estetycznie podmiotu, nawet w najlepszych warunkach to zn. gdy opiera się na samych faktach i nie tworzy ogólnych typów uro-

jonych słuchacza lub widza — nie prowadzi nas, jak widzieliśmy, do właściwego celu, którym jest badawcze zgłębienie istoty artystycznych tworów.

Nie pozostaje nam tedy nic innego, jak zwrócić się do samego *estetycznego objektu*, którym jest dzieło sztuki.

* * *

Zmieniają się szybko nasze gusty i upodobania, uczucia i poglądy, przeobrażają się z czasem nasze mniemania i sądy, zmienia się nawet nasz sposób słuchania i patrzenia. Dzieje się to pod wpływem wielorakich i różnorodnych czynników, jakiemi są osobiste nasze doświadczenia i przeżycia, środowisko, w którem żyjemy, panujące w niem prądy i kierunki, a nadewszystko moda, ważny, choć tak kapryśny, czynnik fermentujący postępu, zwłaszcza w dziedzinie sztuki i kultury. Zmieniają się czasy i ludzie, jak falista powierzchnia Oceanu, która w różnych porach dnia i roku w najrozmaitsze stroi się barwy i odcienie. Zmienne są i ducha ludzkiego przyjawy, lecz istota jego wnętrzna trwa, zda się, bez zmiany.

Jedne i te same dzieła sztuki — weźmy pod uwagę dawniejsze—w różnych epokach rozmaicie były rozumiane i odczuwane; gardzono niemi, lub je podziwiano—w miarę tego, co w nich widziano, czego w nich szukano odpowiednio do własnego sposobu odnoszenia się do nich.

Istota tych dzieł jednakże, forma, jaką im nadał artysta, nawet materyał, jakiego użył—pozostały na ogół bez zmiany. Te same przyczyny w różnych okolicznościach różne wywoływały skutki. Różne skutki same przez się nie świadczą więc jeszcze o różnych przyczynach — jak pochopni są czasem twierdzić estetycy — psychologiści, rzecz cała zależy ponadto od zjawisk towarzyszących, od warunków, w jakich się coś dzieje.

Dlatego też różne kierunki estetyki objektywnej, dla której punktem wyjścia jest sam przedmiot estetyczny, dzieło sztuki, specyalny kładą nacisk na owe „warunki", opierając się w swych badaniach na metodzie porównawczo etnologicznej i genetycznej, na teoryi wpływów rasy i środowiska i t. d.

Gdy przebiegamy myślą wielowiekowe dzieje sztuk pięknych, nietrudno zauważyć, że ani materyał, ani temat nie stanowi jeszcze sam przez się o tem, czy coś jest dziełem sztuki i posiada wartość artystyczną. Decyduje dopiero i o jednem i o drugiem *sposób* użycia materyału;

sposób artystycznego opracowania pewnego tematu lub motywu i ujęcie go w artystyczną *formę*.

Z drugiej strony tak materyał jak i obrany temat odgrywa w dziele sztuki wielką rolę, gdyż forma artystyczna jest do pewnego stopnia uwarunkowana właściwościami treści i materyału; środki artysty muszą odpowiadać powziętemu zgóry zamiarowi i prowadzić do osiągnięcia upragnionego celu. W przeciwnym razie rozdźwięk między formą i treścią unicestwia dzieło sztuki i nie może być wówczas mowy o tworze artystycznym.

Dzieło sztuki jest tedy zamkniętym w sobie organizmem, w którym panuje zupełna i całkowita harmonia formy i treści. „Forma" i „Treść" są to w istocie rzeczy pojęcia oderwane, któremi posługujemy się, jako abstrakcyami, w badaniu naukowem. W sferze zjawisk estetycznych nie spotykamy bowiem nigdzie formy w oderwaniu od treści, ani odwrotnie. Nawet ornament i czysty utwór muzyczny mają swoją treść; jest nią w pierwszym przypadku „motyw" (roślinny, geometryczny i t. d.), w drugim obrany przez kompozytora „temat".

Idzie teraz o wyszukanie i określenie takiego stanowiska wobec sztuki i jej tworów, któreby, uwzględniając ogół cech objektywnych i organicznych dzieła sztuki, odpowiadało w pełni jego istocie.

Stanowisko to powinno zarazem posłużyć do wyjaśnienia zasadniczych zjawisk estetycznej dziedziny i stworzyć fundament, na którym oprzećby się mogła estetyczna ocena. Taki też jest cel niniejszego studyum.

Wykazywałem już poprzednio, że z dwu możliwych stanowisk wobec dzieł sztuki—(subjektywne i objektywne)— pierwsze nie prowadzi do celu.

Rzecz ta przedstawi się może jaśniej i wyraziściej jeszcze w świetle odpowiedniego przykładu.

— — — — — — — — — — — — — —

Maestoso:

Zaduma, cicha zaduma, miarowo przerywana nagłemi podrzutami duszy—bezkresna melancholia równin, błądzenie stęsknionemi palcami po niebosiężnej harfie cierpienia, a nagle: jakby on wicher, co niewiadomo skąd się rodzi, wyskakuje raptem głośny okrzyk, nawpół nuta tryumfu, nawpół smagający ból lęku, by tam gdzieś w głębi ukryte cierpienia zadusić:

Tańcz, moja duszo, tańcz!

Ni stąd, ni zowąd dzika jakaś ochota, jakieś pragnie-

nie wielkiego, szerokiego użycia od bieguna do bieguna— nogi drgają w takt zapamiętałego tańca, silniej, mocniej jeszcze, rwą się krzyki, coraz gwałtowniejsze przyśpiewki w tryolach, w grzmiącym basie—szeroko, coraz szerzej— ale napróżno: przyczajony ból wyczołgał się, długi, uparty, zjadliwy, w jakieś niejasne wspomnienie...

I wraz składają się ręce w zbożnej skrusze, płynie słodka modlitwa i tyle błagania o przebaczenie i całowania stóp Ukrzyżowanego—rodzi się bunt duszy, ale wnet upada znowu w bezsilnem kołysaniu rozpacznej głowy, opadniętych rąk, skołatanej duszy... jakieś bolesne kwilenie, jakieś senne, nieświadome bólu nucenie, tak sobie przed się — tak na fale szerokiego wiatru z przeświadczeniem samotnej sierocej doli, powtarzanie jakiejś zabłąkanej myśli, nie! już nie myśli, tylko ostatni oddech chorych, sennych pacierzy — pogwizd wiatru, co złamany osiadł wśród nagich rżysk.

I od nowa potępieńczy taniec:
Na pohybel Bogu i dyabłu:
Hulaj, duszo, pókiś cała!

Szerzej, coraz szerzej. Aż pierś pęka od rozparcia, gardło chrypnie, dusza tężeje w wściekłym rozmachu, ale ten wielki, ten ostatni krzyk wyrwać trzeba. I wielka chwila wyzwolenia. Nie krzyk, ale cała kaskada krzyków leje się spieniona w potężnych oktawach w dół, gdyby poodrywane głazy z gór szczytów w głuche usypiska — leje się, cichnie, głaśnie w zbożnym, najgłębsze tajniki duszy polskiej przenikającem kajaniu się przed niezgłębionemi mocami.

Jedno, jedno ciche, bijące się w piersi:
Stań się wola Twoja, Panie:
Tak i Amen.
Do snu, do wielkiego snu ciszy i ukojenia...

— — — — — — — — — — — — — —

W ten oto sposób interpretuje St. Przybyszewski*) Mazurek Chopina Op. 41, Nr. 1, pragnąc zapomocą świadomej zresztą parafrazy oddać wewnętrzną psychologię utworu Chopina i określić stosunek jego do narodu. Fragment ten może posłużyć za przykład wybitnie subjektyw-

*) „Szopen a Naród" napisał Stan. Przybyszewski, Sp. nakł. „Książka", Kraków, str. 32 i nast.

nego sposobu odnoszenia się do muzyki, jakkolwiek autor nie opisuje tu samych tylko swoich stanów psychicznych, ale raczej to, co dany Mazurek Chopina jakoby „wyraża“. W opisie tym kilka zaledwie wyrazów wskazuje, że idzie tu o utwór muzyczny: „Maestoso, tryole, bas, oktawy“. Ale nawet po tych nielicznych cechach objektywnych trudno jest wielce rozpoznać, że mamy do czynienia z opisem dzieła muzycznego o zdecydowanej formie „Mazurka, że to właśnie „Mazurek“ Chopina, a nie czyj inny i że to Opus 41, Nr. 1.

Tak jednak przemówi ów Mazurek tylko do duszy takiego artysty i takiego miłośnika Chopina, jakim jest Przybyszewski. Dlatego opis ten — wyrwany zresztą ze związku z całością rzeczy o Chopinie — jako czysto *subjektywny*, nieuwzględniający ogółu artystycznych cech objektywnych Mazurka Op. 41, Nr. 1, nie może stanowić podstawy dla naukowej klasyfikacyi i estetycznej oceny tego utworu, i nie jest wynikiem zajęcia wobec danego dzieła sztuki takiego stanowiska, któreby w całej pełni odpowiadało jego istocie. Jest to tylko przepyszna parafraza, która sama dla siebie stanowi odrębne dzieło sztuki i rozważana być może w zupełnem oderwaniu od utworu, na którego tle powstała.

Weźmy dla porównania opis inny, z innej dziedziny, również skreślony piórem artysty, a więc także poniekąd subjektywny, w którym jednak pierwiastki objektywne dotyczącego dzieła przeważają w sposób wyraźny. Musimy zadowolić się tym, niezbyt jaskrawo przeciwnym pierwszemu, przykładem, gdyż dwa przykłady skrajne, sobie przeciwstawione, miałyby z konieczności charakter sztuczny, pozór czegoś ad hoc wymuszonego i dociągniętego — a samej zaprzątającej tu nas kwestyi nie ilustrowałyby może w sposób jasny i prosty.

— — — — — — — — — — — — —

„...Cztery lata pracy pełnej oddania i miłości poświęcił Leonardo temu najdroższemu dziełu swemu, które jest czemś więcej, niż genialnym wizerunkiem subtelnej, uduchowionej patrycyuszki. W obrazie tym zaklął wszystko, co kochał, co mu drogie było w życiu: góry i skały, których wnętrza przenikała wnętliwa myśl jego; wody zielone i chłodne, nad któremi dumał, śledząc ich życie bezwolne z tak cierpliwym uporem; atmosferę powietrzną świtu i zmierzchu, w której tonie wszystko, co objawić się nie chce i nie może. Wyśpiewał w nim to, o czem myślał, śnił i marzył, co go pociągało niewysłowną swą

głębią i odstraszało niesamowitym omrokiem; chytrą pokusę nęcącego pozoru, co łudzi i kłamie, i odmowne milczenie zagadki, skrytej jak prawda; nienasyconą ciekawość swego własnego ducha i szyderczy uśmiech broniącej się jego poznaniu tajemnicy. Wcielił w tę postać niewieścią czarodziejski uśmiech słodkiej, jak młodość, nadziei i lekki, jak przejrzysty cień obłoku na kwiatach, smętek rozczarowania i wyniosłą pobłażliwość dusz, które poznały wiele. Żądza i namiętność, która, będąc sama sobie zarodem boleści i cierpienia, jest jednak największym cudem i czarem życia, i pogodny spokój wyrzeczenia, które jest życia mądrością; poryw ociągliwy, bo wie, że stać się musi znużeniem; tęsknota, która własnego spełnienia się lęka, bo wie, że w żal się zamieni; wszystko, co nieuchwytne, przelotne, pierzchliwe: miękkie rozmarzenie i wątpiąca niewiara; pieszczotny powab oddania, i wzgardliwa nieprzystępność samolubstwa; upojna obietnica rozkoszy i obojętność znudzona przesytu; litość darząca i chłodna ironia; wszystko, co jest dusz naszych radością i melancholią, słodyczą i piołunem, szczęściem i klątwą—oto pieśń kobiecości, zagadki, życia—Gioconda, niewyczerpane pytanie i niezgłębiona odpowiedź! Każdemu ona coś powie o sobie i o nim, każdemu jednak wyzna coś innego a wiecznie nowego. Setki i tysiące stawały przed nią i przed każdym ona zmieniała oblicze, nieodgadniona przez nikogo, nieznana samej sobie...“

— — — — — — — — — — — — — —

Oto artystyczny opis portretu Mony Lizy pędzla Leonarda da Vinci *), opis, który również — poza słowem: „wizerunek“ i „obraz“ — pomija kwestyę materyału, technicznego wykonania, ale ogranicza się przeważnie do tego, co *oko widzi*, gdy patrzy na to arcydzieło.

Wprawdzie malowidło posiada treść łatwą do ujęcia, bo coś „przedstawia“ i coś „wyraża“, a utwór muzyczny nie może ani przedstawiać jakiejkolwiek akcyi, ani opowiadać niczego, ani też — wbrew rozpowszechnionemu jeszcze ciągle mniemaniu—wyrażać żadnych uczuć; wprawdzie utwór muzyczny ma charakter o wiele więcej czegoś nieokreślonego, aniżeli malowidło; nie mniej przeto możliwą jest do pewnego stopnia rzeczą zdać objektywnie

*) Cfr. Leonardo da Vinci, Pisma Wybrane (Warszawa—Kraków, Mortkowicz); Wybór, przekład i wstęp Leop. Staffa. Wstęp, Str. XXIX i nast.

sprawę zarówno z tego, co się *widzi*, jak i z tego, co się *słyszy*.

W rzeczywistości, autor opisu portretu Giocondy, jakkolwiek idzie mu również o głębsze wniknięcie w treść wewnętrzną, opisuje głównie i przedewszystkiem to, co zewnątrz siebie *widzi*. Autor opisu zaś Mazurka Chopina, opisuje nie tyle to, co *słyszy*, nie tyle dźwięki i tony, dochodzące jego ucha z zewnątrz, ile raczej swoje *własne* stany psychiczne, własne, czysto subjektywne wizye i nastroje.

Każdy z nas łatwo może sprawdzić na oryginale lub reprodukcyi opisaną treść portretu Giocondy, bo opis ten uwzględnia szereg cech objektywnych. Mało kto z nas natomiast, nawet *po* przeczytaniu opisu Chopinowskiego Mazurka znajdzie w nim to, co znalazł i odkrył w nim Przybyszewski, który opis swój zbudował na podstawie elementów czysto subjektywnych. Z tego wniosek jasny, że opis Mazurka ma charakter czegoś zupełnie dowolnego, ugruntowanego nie w dotyczącym utworze artystycznym, ale w duszy autora opisu i w jej właściwościach.

Tak też rzecz się ma z każdym wogóle subjektywnym sposobem odnoszenia się do dzieł sztuki. Nieobliczalność, dowolność, zmienność i względność—oto zasadnicze jego cechy.

Oczywista więc, że na subjektywistycznej teoryi niczego budować niemożna, gdyż nie jest ona wobec sztuki „adaequata“, nie jest względem niej dorównana i nie może być dostosowana, nie obejmuje całokształtu.

Dzieło sztuki jest produktem ducha twórczego, w którym panuje jedność procesu intellektualnego z uczuciem i jako takie zwraca się zarówno do intellektu, jak i do uczucia widza lub słuchacza, a czyni to za pośrednictwem wrażeń zmysłowych, idei konkretnych, obrazów—w przeciwieństwie do nauki, operującej czystą abstrakcyą. Te konkretne wyobrażenia i wrażenia zmysłowe nie mają pozatem żadnego innego celu, jak tylko ten jeden: wypełnić dzieło sztuki w tej formie, jaką mu nadał artysta.

Dzieło sztuki nie jest tedy z istoty swej środkiem do jakiegokolwiek, poza niem leżącego celu, lecz jest celem samo w sobie, ma swój samoistny charakter, nadany mu w chwili powstania przez twórcę i żyje własnem swem życiem, niezależnem po ukończeniu twórczego procesu ani nawet od artysty, którego ducha jest emanacyą.

Dzieło sztuki, jakkolwiek działa drogą wrażeń zmysłowych i wyobraźni, nie jest *środkiem* do wzbudzania nastroju i stwarzania stanu upojenia, słowem t. zw. „roz-

koszy“, której następnie poświęca się całą uwagę i przypisuje główną wartość, kosztem danego utworu; stany psychiczne, w szczególności uczucia przyjemne widza lub słuchacza, są produktami pochodnymi, *towarzyszącymi* tylko procesom estetycznym.

Przedmiotem uwagi i celem podziwu może być tylko dzieło sztuki, a nie zmiany psycho-fizyologiczne, zachodzące pod jego wpływem i wskutek jego działania w obserwującej je jednostce. W razie przeciwnym nie może być mowy o sztuce i o zachowaniu wobec niej stanowiska estetycznego.

Punktem wyjścia i jedynym przedmiotem obserwacyi musi być samo dzieło sztuki.

Sztuka wymaga od nas abstrakcyi od całej reszty życia wewnętrznego i praktycznego, od całej reszty rzeczywistości, skupienia uwagi na jednym tylko punkcie — którym jest dany utwór artysty — rozsądnego i pełnego zrozumienia wniknięcia w dzieło sztuki, w harmonię jego treści i formy i w ich specyficzne właściwości.

Jedynem godnem i w pełni sztuce odpowiadającem stanowiskiem jest tedy stanowisko estetyczne, które zasadza się na *kontemplacyi*.

Kontemplacya jest to stan psychiczny, polegający na zapomnieniu o własnej jaźni i o jej stanach, na głębokiem pogrążeniu się duchem w pewnym przedmiocie, zwłaszcza natury intellektualnej. Cechą główną kontemplacyi jest owo „trwanie w oglądaniu“, przy równoczesnem wyłączeniu wszelkich funkcyi woli i czynu, które tak silnie łączą się z osobowem życiem praktycznem jednostki.

Związek sztuki z kontemplacyą wykrył już Kant (w „Krytyce Władzy Sądzenia“), podkreślał Schopenhauer — każdy stosownie do wytycznej linii swojego filozoficznego systemu — w estetyce współczesnej zajmowali się nim Prof. Oswald Kuelpe i Dr. Ed. Landmann-Kalischer, oraz psycholog warszawski, Edward Abramowski (w ocenie krytycznej dzieła L. Tołstoja p. t. „Co to jest sztuka?“ Przegl. Filoz. 1898). Wszyscy ci badacze stwierdzają, że ścisły ów związek jest rzeczą pewną, a różnią się tylko w sposobie jego interpretacyi, w poglądach swych, dotyczących istoty sztuki, znaczenia i roli kontemplacyi w całokształcie zjawisk estetycznych.

Pod wpływem wybujałych uroszczeń subjektywizmu, wniesionego do sztuki przez modernizm, wskutek rozrostu, ba, nawet rozpanoszenia się psychologii, która usiłowała ujarzmić i uzależnić wprost od siebie nie tylko estetykę

ale i logikę, zapanowało w sztuce i jej teoryi wszechwładnie *uczucie*, jako jedyny wykładnik istoty artyzmu, twórczości i estetycznego napawania się, jako podstawa główna krytyki artystycznej. Wszystko, mniejsza o to, czy w zgodzie, czy w sprzeczności z istotnym stanem rzeczy, tłumaczono subjektywnymi stanami uczuciowymi, sprowadzano ostatecznie do uczucia, które stało się jakgdyby owym z dawna poszukiwanym kamieniem filozoficznym, jakby uniwersalnym, niezawodnym środkiem, służącym do tłumaczenia wszelkich zagadek i problemów życia duchowego.

Wznowiona przez Prof. Teodora Lippsa teorya estetycznego „wczuwania się" (Einfühlung) zyskała sobie największą liczbę zwolenników i może uchodzić za najlepszy wyraz panujących w estetyce współczesnej prądów i poglądów; obudziło się już wprawdzie przeciw niej reakcya, ale słaba jest jeszcze i niedostateczna.

Kontemplacya różna jest zupełnie od „wczuwania się".

Proces estetycznego wczuwania się polega na wkładaniu pewnej oznaczonej treści psychicznej (uczuć, przedstawień, nastrojów) w przedmiot zewnętrzny, w dzieło sztuki. Tak np., wczuwając się w posąg Laokoona, ożywiam bryły marmuru własnym swoim duchem, żyję niejako w postaci Laokoona, powstaje we mnie uczucie bólu, strachu i grozy...

Kontemplacya zaś estetyczna niema nic wspólnego ani z objektywacyą siebie w przedmiocie ani z subjektywacyą przedmiotu w sobie — dwa sposoby wyjaśniania procesu wczuwania—gdyż kontemplacya zasadza się na wyłączeniu swojego *ja*. Wczuwając się w przedmiot, *ja* żyję w nim *swojem* życiem i przez to go ożywiam. W kontemplacyi moje osobiste życie i stany psychiczne są *wyłączone;* wobec dzieła sztuki pozostaję sobą, t. j. podmiotem, oglądającym i rozważającym objekt, ale tak intensywnie, że niema we mnie pozatem żadnych innych stanów psychicznych, którebym mógł mieszać lub identyfikować z artystycznymi elementami dzieła sztuki.

Tylko dyletant i laik *wczuwa* się w twór artysty, bo wczuwa się w *treść*, z pominięciem formy.

Kontemplacya jest to czyste ujmowanie, rozważanie pewnego tematu w jego artystycznem przetworzeniu, stylizacyi, z całkowitem uwzględnieniem wszelkich odrębnych i istotnych właściwości *formy*, nie zaś samej tylko treści utworu, która może być zresztą powszednia, nieciekawa lub obojętna.

Kontemplacya estetyczna zmusza do zamknięcia się w granicach form, stworzonych w danem dziele sztuki przez artystę, w granicach środków, jakiemi pewna gałąź sztuki rozporządza. Kto *poza* te granice wychodzi, stwarza sobie parafrazę, transpozycyę na podstawie tematu zaczerpniętego z dzieła sztuki, a zapoznaje formę, integralny i nieodzowny czynnik każdego utworu, odrywa zwolna uwagę od oglądanego objektu, a skupia ją na własnych wizyach, uczuciach i nastrojach, które stają się wówczas przedmiotem jego rozważań i źródłem rozkosznego upojenia.

Dostojny ton, ów czar tajemny doskonałego dzieła sztuki, nie może swobodnie do nas przemawiać, gdy duch nasz jest wypełniony czysto-zmysłowemi wrażeniami, chaosem różnorodnych uczuć, pojęć i assocyacyi, którym biernie się poddaje.

Istota oddziaływania na nas dzieł sztuki, pełnego dziwnej jakiejś mocy i trudnego do określenia powabu, polega właśnie na tem, że kontemplacya jest życiem odmiennem, oderwanem zupełnie od codziennego nawału pospolitych trosk, toku zwykłych czynności wśród zgiełku otoczenia i ciągłej zmienności własnego naszego stanu psychicznego.

Kto pogrąża się w kontemplacyi estetycznego objektu, ten, wychodząc niejako poza siebie, trwa w oglądaniu, patrzy innem okiem, słucha innem uchem, żyje innem, bardziej wysubtelnionem życiem, a duch jego kroczy po barwnie ukwieconych drogach i ścieżkach tych szczytów zawrotnych, na jakich przebywał twórczy duch artysty.

Kontemplacya jedyna umożliwia owo nieodzowne, błyskawiczne, ujęcie zewnętrznej i wewnętrznej zawartości dzieła sztuki, świadome z niem obcowanie, prowadzące następnie do rozważenia i zgłębienia jego istoty.

Z tego względu jest kontemplacya podstawowym warunkiem racyonalnego, t. j. estetycznego stanowiska wobec dzieł sztuki, koniecznym współczynnikiem nie tylko t. zw. „wzruszenia estetycznego“ ale i samego procesu *twórczego*. U artysty-twórcy ma mianowicie kontemplacya zastosowanie w chwili *koncepcyi* utworu, w momencie, kiedy pomysł staje przed oczami jego ducha, w mniej lub więcej zdecydowanej formie. Artysta trwa wówczas w jego oglądaniu, a realizując go następnie, ustawicznie porównywa pracę dokonaną z obrazem widzianym i stara się utwór swój do niego dociągnąć. Oczywiście, że wynik ostateczny zależeć będzie od stopnia wprawy technicznej

i umiejętności, z jaką artysta ujarzmia materyał, nadając mu obmyślaną przez siebie formę.

Swoistą cechę dzieła sztuki stanowi realizacya pewnego motywu czy pomysłu w formach konkretnych, zmysłowych—bo bez tego nie może być mowy o sztuce; z tego jednak wcale jeszcze nie wynika, by dzieło sztuki żadnych poza tem nie miało i mieć nie mogło walorów, by elementarne wrażenia zmysłowe (luźne dźwięki, barwy i t. p.) wypełniały całkowicie jego istotę.

Dzieło artysty jest tworem jego ducha, który z prostych i znanych pierwiastków kształtuje, konstruuje nową organiczną całość; twórczość jego zasadza się właśnie na ułożeniu i uporządkowaniu tych pierwiastków, na wprowadzeniu między nie harmonii i ładu, na logicznem ich powiązaniu.

W konsekwencyi tego stanu rzeczy, utwór artystyczny nie daje się ująć samymi tylko zmysłami, ni czysto uczuciowem odnoszeniem się do niego. Z takich elementów sztuki, jak temat, t. j. osnowa treści, jak *charakter* formy, proporcya, styl, harmonia, symetrya i w. i.—można zdać sobie sprawę tylko przy pomocy odpowiednio wyrobionego *intellektu*. Poza najprostszemi wrażeniami słuchowemi i wzrokowemi, wszystko inne może być w dziele sztuki zauważone i poznane jedynie na drodze rozumowej. Uczucie samo nie wystarcza, jest ono zresztą objawem *towarzyszącym* procesom czysto intellektualnym. Tak np. z sądem logicznym, stwierdzającym pewną zgodność, łączy się zazwyczaj uczucie przyjemne, które jednak bynajmniej nie wpływa ani na wartość, ani na charakter owego sądu. Również uczucie podziwu, w estetyce tak często podkreślane, wyrasta dopiero na podłożu intellektualnem: najpierw muszę stwierdzić na drodze porównań i wniosków, że jakiś przedmiot posiada takie i takie rzadkie cechy i zalety, których brak innym, przezemnie już dawnej poznanym przedmiotom; uczucie podziwu zależne jest wogóle od wyniku rozumowania i powstaje tylko w tym przypadku, gdy wynik ów wypadnie pomyślnie, dodatnio.

Rola intellektu jest tedy w życiu estetycznem niesłychanie ważna i mylnie postępują estetycy-psychologiści, wyznaczając jej miejsce podrzędne.

Wszak na to, by w bryle pentelijskiego marmuru widzieć nie kamień, lecz smukłą Apollina postać, trzeba mieć także coś z boskich Apollina oczu!

W analizie więc zjawisk estetycznych trzeba brać

pod uwagę zarówno stronę intellektualną, rozumową, jak i uczuciową.

Na intellekt należy nawet położyć pewien nacisk, bo i oglądanie i słuchanie dzieł sztuki jest pewnym — obrazowym—rodzajem poznania; poznajemy mianowicie zawartość formy i treści tych utworów. Od poznania naukowego różni się estetyczne o tyle, że pierwsze opiera się na pojęciach oderwanych i na ogólnych, abstrakcyjnych wnioskach a zmierza drogą indukcyi lub dedukcyi zawsze do uzyskania pewnych formuł i zasad, które znowu służą za *środki,* wiodące do celów dalszych, podczas gdy drugie odbywa się za pośrednictwem zmysłów i wyobraźni, łączy się często ze stanami uczuciowymi i poza sobą nie zna żadnych innych celów, ani teoretycznych, ani praktycznych.

Wszystkim tym postulatom odpowiada w całej pełni kontemplatywny sposób odnoszenia się do dzieł sztuki, bo kontemplacya jest świadomą czynnością intellektu, trwającego w „oglądaniu".

Wszelki utwór artystyczny, dzieło architektury, rzeźby, malarstwa, grafiki, literatury i muzyki, trzeba wprzód poznać w całem bogactwie jego formy i tematu na drodze estetycznej kontemplacyi. Na tej jedynie podstawie dojść można do zgłębienia jego istoty i uzyskać następnie — drogą porównania — racyonalne kryterya wartości.

Przekonanie, że sztuka nie jest sprawą samego tylko uczucia, umacnia się coraz silniej, także poza nauką. Tak np. mówi Auguste Rodin*): „*Sztuka — to kontemplacya*. To rozkosz ducha ludzkiego, który przenika naturę i odgaduje także w niej ożywiającego ją ducha. To radość *intellektu,* który jasno patrzy w wszechświat i przez to stwarza go na nowo, że go *świadomością* swą rozjaśnia. Sztuka to najwznioślejsze posłannictwo człowieka, gdyż jest to trud *myśli,* która szuka zrozumienia świata i chce je dać innym..."

---

*) Cfr. A. Rodin, L'art, Entretiens réunis par P. Gsell (Paris 1911), p. 5.

Józef Raciborski.

Miscellanea Kaliskie.

BITWA POD KALISZEM W ROKU 1706.

Półwiekowy pokój po szwedzkiej nawale nie zdołał jeszcze powrócić zamożności Wielkopolsce, wyczerpanej grasującem na schyłku XVII stulecia powietrzem morowem, gdy sztandary szwedzkie ponownie zjawiły się w Polsce a kroniki dziejów naszych krwawemi zgłoskami zanotowały wojnę domową, której epilogiem była bitwa pod Kaliszem, stoczona przez koronne wojska polskie, saskie i rosyjskie pod wodzą króla Augusta II ze Szwedami i stronnikami Stanisława Leszczyńskiego. W roku 1702 zwołane w Kaliszu pospolite ruszenie przeciwko królowi Augustowi II samowolą swoją zniszczyło łąki i zboża w ziemi poznańskiej i kaliskiej, wyrządzając mieszkańcom nieobliczalne szkody; z tego powodu Województwa Poznańskie i Kaliskie zawarły w roku 1704 związek, przeciwdziałający ciągłemu niszczeniu kraju przez wojnę domową, król szwedzki zaś Karol XII korzystając z tego związku użył go do utworzenia nowej partyi, dążącej do usunięcia panującego Augusta II na korzyść Stanisława Leszczyńskiego.

Prastary gród Mieczysławowy, Kalisz, zajęli ponownie Szwedzi, osadzili w nim swoją załogę a zabrawszy klucze od ratusza, gospodarowali w mieście przeszło rok, to jest do lipca 1705 roku, gnębiąc ludność i wywołując, przez brak ostrożności lub może złą wolę, znaczny pożar.

W tym też roku w lipcu przebywał w Kaliszu Stanisław Leszczyński, jako pretendent do korony, w sierpniu zaś bawił dwukrotnie król szwedzki Karol XII oraz królewicz Aleksander Sobieski.

W roku 1706, w dniach 28 i 29 sierpnia, obozowali na błoniach podmiejskich Stanisław Leszczyński i Karol XII na czele wojska złożonego z 16,000 Szwedów. W październiku, w dniu 25, wojska szwedzkie ze stronnikami Leszczyńskiego przeszły przez Kalisz—27 tegoż miesiąca stanął w Kaliszu z wojskiem król August II, w dniu zaś

29 października[1]) nastąpiła walna bitwa koronnych wojsk polskich oraz sprzymierzonych saskich i rosyjskich ze Szwedami i stronnikami polskimi Leszczyńskiego, upamiętniona w historyi tem, iż stoczoną została po zawartym już z obu stron pokoju.

Przebieg tej walki według Dymitra Buturlina[2]), Jozefa Szaniawskiego[3]), Kazimierza Jarochowskiego[4]) oraz współczesnych kronikarzy, uzupełniany przez nas archiwalnemi źródłami, był następujący:

Szwedzi po przejściu na lewy brzeg rzeki Prosny, stanęli obozem wzdłuż wsi Dobrzca Wielkiego, odległego od Kalisza o trzy kilometry; armia szwedzka ogółem licząca 13,000 żołnierzy, w liczbie tej 4,000 Szwedów, 6,000 polskiej milicyi koronnej, i 3,000 litewskiej[5]) w chwili zbliżenia się wojsk króla Augusta II wystąpiła w szyku bojowym, opierając skrzydła lewe o Dobrzec Wielki, prawe o Kościelną Wieś, a front zwracając ku zachodowi.

Cała armia szwedzka pod naczelnym wodzem generał-majorem, baronem Arwid-Axel von Mardefeld[6]) ustawioną była w dwa szyki piechoty i kawaleryi.

Według współczesnych historyków szwedzkich: Gustawa Adlerfelda[7]) i I. A. Norberga[8]) szereg pierwszy

[1]) Pomimo nieustalonej daty dnia bitwy pod Kaliszem, którą historycy niezgodnie podają, powołując się na współczesny pamiętnik Jerzego Norberga, kapelana Karola XII oraz na księgę pod tytułem: „Juramentorum“ z dawnego archiwum miejskiego w Kaliszu — uważamy za wiarogodną datę 29 października 1706 roku.

[2]) „Wojennaja Istorja pochodow Rossijan w XVIII staletii“ z planem bitwy.

[3]) „Kaliszanin“ № 61 i następne z roku 1871.

[4]) „Tygodnik Powszechny“ № 38 i następne z roku 1885.

[5]) Zawisza Krysztof: „Pamiętniki“ Warszawa 1862 r. strona 243.

[6]) W roku 1706 w liczbie innych dowódców w Polsce byli dwaj generałowie szwedzcy, noszący podobne nazwiska: Majerfeldt i Mardefeld. Niektórzy historycy, jak de Limiers, Schmidt i inni w opisie bitwy Kaliskiej podają jako głównodowodzącego nie Mardefelda lecz Majerfeldta, jest to błąd z podobieństwa nazwisk pochodzący. Zgodnie z prawdą wyróżnia obu tych wodzów Kazimierz Jarochowski w pracy swojej: „Z czasów saskich spraw“ Poznań 1886 roku, oraz Krysztof Zawisza, wymieniając w pamiętnikach swych, wydanych w Warszawie w 1862 roku, Mardefelda, iż „batalię pod Kaliszem przegrał“.

[7]) Histoire militaire de Charles XII Roi de Suède et c. par Mr. Gustave Adlerfeld, Chambellan du Roi à Amsterdam chez I. Westein et G. Schmith MDCCXL tomów 4.

[8]) Histoire de Charles XII Roi de Suède traduite de Suedois de Mr. I. A. Norberg, Docteur en Théologie... ci devant Chapellain et Confesseur de Sa Majesté... à la Haye MDCCXLVIII.

składało 14 szwadronów i 2 bataliony Szwedów, szereg drugi również 2 bataliony i 8 szwadronów. Od prawego brzegu ku środkowi w linii pierwszej stały pułki dragonów pod wodzą jenerała Krassona, w drugiej linii tylnej pułki: Müllera i Görtza. Na skrzydłach umieszczeni byli Polacy, a mianowicie: skrzydło pierwsze w trzech linjach, jedna za drugą, było pod wodzą wojewody kijowskiego Józefa Potockiego, przylegało zaś do samej Kościelnej Wsi. Lewem skrzydłem, opierającem się o Dobrzec Wielki, złożonem również z trzech linii Polaków i paru kompanii Litwinów, dowodził książę Sapieha [1].

Sprzymierzone wojska polskie, saskie i rosyjskie pod naczelną wodzą Augusta II liczyły 38,000 żołnierzy [2]). Mianowicie: jazdy 16,000, Sasów 6,000, koronnego wojska łącznie z dywizyą Śmigielskiego i Rybińskiego 10,000 oraz rosyjskich Kozaków i Kałmuków 6,000.

Pierwsze dwa szeregi składali Sasi, mając na czele jenerał-majorów: St. Paul, Kospoth, Schulenburga i Rolanda; szeregiem drugim dowodzili: jenerał-major Plotz, Brandsztein i Miklau.

W pierwszy linii, począwszy od środka ku brzegowi lewemu, stanęły regimenty saskie następne:

1 Dragonów, 2 Królowej, 3 Elektora, 4 Püst, 5 Aleksandra, 6 Lejb-regiment jazdy, 7 Gwardya.

W linii drugiej:

8 Schulenborg, 9 Götz, 10 Damnitz, 11 Gerstart, 12 Eichstadt, 13 Miklau, 14 Brandt.

Skrzydło prawe uformowali Rosyanie pod wodzą kniazia Aleksandra Daniłowicza Mienszykowa; trzema linjami Kałmuków i Kozaków dowodzili: jenerał-lejtenat Rönne i jenerał-majorowie: Bauer, Pflug i Genski.

Rozerwy na skrzydłach tworzyły polskie wojska koronne, których aryergardę środkową stanowiło pięć szwadronów. Na skrzydle prawem, oddalonem nieco od armii głównej, dowodził dwiema liniami wielki hetman koronny Adam Sieniawski, na lewem skrzydle, również z dwóch linii utworzonem w takiej samej odległości, dowodził polny hetman koronny Stanisław Rzewuski.

Adam Śmigielski, starosta gnieźnieński, wysłany był z dwunastoma chorągwiami [3]) i dwoma pułkami dragonów w stronę północną Kościelnej-Wsi na drogę z Kalisza do

---

[1]) Rzewuski Leon: „Kronika Podhorecka" 1706—1779, Kraków 1860 roku.

[2]) Zawisza Krysztof: „Pamiętniki" loc. citato.

[3]) Compagnies.

Poznania wiodącą, w celu odcięcia odwrotu nieprzyjacielowi. Kozacy wreszcie z Kałmukami również w tym celu usadowili się na wzgórzach wśród dwóch dróg na przedmieściu Kalisza zwanym Tyniec [1]).

Wojska sprzymierzone, mając na skrzydle lewem króla Augusta, a w pośrodku jenerała Brandta, posuwały się od Biskupic Smolnych w zupełnym szyku bojowym do Dobrzca Wielkiego [2]). Na placu boju Polacy Augusta II stanęli naprzeciwko Polaków, stronników Leszczyńskiego. Oddział Sieniawskiego stanął oko w oko Potockiemu, oddział Rzewuskiego przeciwko Sapieże, Sasi naprzeciw oddziału Potockiego i prawemu skrzydłu Szwedów, Rosyanie wreszcie naprzeciw części oddziału Litwinów księcia Sapiehy i lewej strony Szwedów.

Szerokość linii wojsk szwedzkich wynosiła około trzech kilometrów, taki też obszar zajmowały wojska koronne i sprzymierzone [3]).

Hasłem do rozpoczęcia walki był potrójny wystrzał armatni, pomiędzy godziną trzecią a czwartą po południu przez wojska króla Augusta dany. Bitwa też zaraz rozpoczęta została, w obec jednak stronniczości ówczesnych kronikarzy zbyt trudno dokładnie i krytycznie szczegóły jej przebiegu streścić.

Szwedzcy historycy zaznaczają, że gwałtowny atak hetmana Sieniawskiego wprowadził oddział wojewody Potockiego w zamieszanie i zmusił go po krótkim oporze do schronienia się w obwarowanym taborze w pobliżu Prosny, na tyle armii urządzonym — w kwadrans potem hetman Rzewuski zmusił Litwinów księcia Sapiehy do opuszczenia zajętego stanowiska, przez co Szwedzi narażeni zostali na przewagę wojsk koronnych. Erazm Otwinowski natomiast pisze, iż wojsko Leszczyńskiego nie ustąpiło z placu boju do końca walki, że dużo sprzymierzonych w pobliżu Kościelnej Wsi poległo i dopiero, gdy osiemnaście chorągwi z prawego skrzydła poddało się, [4]) wtedy Wojewoda kijowski powrócił już nocą z korpusem do namiotów swoich. W tym czasie Szwedzi przypuścili gwałtowną szarżę, której wojska rosyjskie nie zdołały

---

[1]) Tam gdzie dziś wiatraki stoją.

[2]) Rzewuski Leon: «Kronika Podhorecka».

[3]) Wojewodzina Kijowska i Pisarzowa Koronna, gdy już wojska szwedzko-polskie były w zupełnym szyku bojowym, rozdawały osobiście proch żołnierzom i zachęcały do boju — Otwinowski Erazm: «Dzieje Polski» z roku 1706 strona 23.

[4]) «Wojenno-Encyklopedyczny» Leksykon podaje, jakoby 20 rot przeszło na stronę króla Augusta.

powstrzymać; po przełamaniu drugiej linii Rosyanie opuścili armaty i cofnęli się aż po Prosnę, podobnież ustępowali i sascy drabanci, a choć król August na czele kawaleryi kilkakrotnie uderzał na nieprzyjaciela, zawsze jednak zmuszony był cofać się ze stratą.

Pułkownik szwedzki Gustaw Horn, choć ranny, nie zaprzestawał walki, przechylając zwycięstwo na stronę Szwedów; kniaz Mienszyków, przewidując porażkę, polecił Rosyanom mieć konie w pogotowiu do ucieczki, dzielny jednak opór jenerała Brandta dodał otuchy sprzymierzonym. Mienszyków imieniem cara nakazał zsiąść z koni odstępującej kawaleryi rosyjskiej i wrócił ją na plac boju, a prowadzona przez Augusta II saska gwardya konna, przy wznowionej ku wieczorowi walce, odznaczyła się wytrwałością i męstwem.

Część grenadyerów i oddziału Horna i Görtza oraz dragonia Marchalcka, ścigając przeciwników, została otoczona i pomimo bohaterskiej obrony wzięta do niewoli. Generał Krasson, nie mogąc połączyć się z Mardefeldem, na czele pięciuset dragonów Müllera i Marchalcka przebił się z szablą w dłoni przez szeregi nieprzyjaciół i przeszedłszy Prosnę w pobliżu młyna pomiędzy Wsią Kościelną a taborem, zabierając po drodze niedobitków, udał się w stronę Poznania.

Piechota szwedzka, pozbawiona już prawie kawaleryi, utworzyła czworobok[1]), którego ściany boczne i przednią składali grenadyerzy Gustawa Horna, tylną zaś ścianę tworzyły oddziały Görtza oraz piechota Karola Horna, do której przyłączyło się 60 ludzi z konnicy z pułkownikami Gustawem Hornem, Müllerem i Marchalckem. Czworobok ten otoczono w około, a zamknąwszy szczelnie pierścień, podprowadzono armaty i moździerze, chcąc unieruchomionych Szwedów granatami zarzucić, wobec czego, wyczerpawszy wszelkie bohaterskie wysiłki, a nieprzewidując znikąd pomocy, jenerał Mardefeld uległ przemagającej sile i około szóstej godziny wieczorem polecił uderzyć w trąby i kotły na znak kapitulacyi.

Uchodzący atoli oddział Szwedów z pola bitwy osaczyli w tym czasie Kałmucy i w lasku w pobliżu Kościelnej Wsi, doszczętnie wykłuli dzidami[2]). Los podobny spotkał Szwedów, chroniących się w kościele dobrzeckim,

---

[1]) Quarré.
[2]) Otwinowski Erazm: «Dzieje Polski» lac. cit.

gdyż Kałmucy odnalezli ich, wybili, a kościół sprofanowali, obrabowali i spalili [1]).

Za Polakami z partyi Leszczyńskiego, którzy schronili się do taboru, pogoniły wojska koronne. Hetman Sieniawski ustawił dwa szeregi w poprzek drogi, od taboru przez Kościelną Wieś do Poznania wiodącej, a Rzewuski również w dwóch linjach stanął z drugiej strony tej samej drogi, idącej do tak zwanych Ogrodów Starościńskich i Kalisza. W pobliżu Sieniawskiego usadowili się Sasi pod wodzą jenerała Brandta, od nich zaś do Rzewuskiego zamknęli półkole Rosyanie [2]).

Kozacy rozpoczęli ogień do namiotów, a jenerał Brandt zawezwał wojewodę Potockiego, ażeby zdał się na łaskę królewską wraz z pozostałem wojskiem polskiem, liczącem jeszcze czterdzieści chorągwi [3]), zaręczając oblężonym za życie i całość majątków.

Potocki, nie widząc wyjścia, broń złożył. Wziętych do niewoli Polaków i Litwinów liczono 6,000, w tej liczbie było wielu magnatów, stronników Leszczyńskiego, a wśród nich wojewoda kijowski Potocki z żoną i dziećmi, oraz kuchmistrz koronny Jan Tarło.

Ogólną walkę zakończyło wzięcie do niewoli w Kaliszu miejscowego garnizonu,złożonego z trzystu Szwedów [4]), oraz wszystkich tych, którzy w mieście schronienie znaleźli [5]).

W Kaliszu walczyli głównie Kozacy i Kałmucy kniazia Mieńszykowa, którzy po odniesionem zwycięstwie miasto zrabowali i podpalili, tak, iż w trzech częściach wraz kościołem św. Mikołaja, będącym wówczas kollegiatą Kanoników Regularnych Lateraneńskich, w gruzy obrócone zostało.

W czasie bitwy, trwającej około trzech godzin, Szwedzi utracili 2,500 żołnierzy, z których 700 poległo na polu bitwy a 1,800 zabrano do niewoli — liczbę tę podaje

---

[1]) Wizyta kościelna z roku 1720 delegata arcybiskupa gnieźnieńskiego, ks. Franciszka Kraszkowskiego, Biskupa Sufragana, Wikaryusza in Spiritual. Oficyała Gnieźnieńskiego — w archiwum kaliskiego konsystorza faralnego.

[2]) Ślady tego taboru widoczne są na polach ornych pomiędzy Kościelną-Wsią a Warszówką, opodal odnogi Prosny.

[3]) Otwinowski Erazm: loco citato.

[4]) Adlerfeld Gustaw: «Histoire militaire de Charles XII et c.» tom III strona 80.

[5]) Sądząc z planu bitwy, podanego przy dziele Dymitra Buturlina, załoga szwedzka w Kaliszu broniła się pomiędzy dwiema odnogami Prosny, t. j. w końcu dzisiejszego parku miejskiego.

I. A. Norberg[1]. Otwinowski[2]) pisze, że król August trzeciego dnia zwiedzał pobojowisko, z obu zaś stron poległych było 13,000[3]).

Współczesny nieomal, gdyż w piętnaście lat po bitwie ogłoszony drukiem opis jej przez Limiers'a[4]), podając plany i krótki opis bitwy kaliskiej, mówi, iż Szwedzi utracili wszystkie armaty, bagaże i namioty, do niewoli wzięto 3,000 jeńców, poległych zaś było od czterech do pięciu tysięcy — podobną też ilość wymienia rosyjski dziejopis Nestesuranoy[5]).

Polaków stronników Leszczyńskiego poledz miało 1,400, wzięto zaś do niewoli 2,600[6]).

W dowód wdzięczności za odniesione pod Kaliszem zwycięstwo, król August II złożył w klasztorze Jasnogórskim przed ołtarzem N. P. Maryi koronę dyamentami ozdobioną z podpisem, a car rosyjski Piotr Wielki polecił wybić medale pamiątkowe złote i srebrne, które wojskom rosyjskim, biorącym udział w bitwie, były rozdane[7]).

Smoleńsk w Sierpniu 1916 r.

---

[1]) Tom III strona 128 «Histoire de Charles XII e.t.c.»

[2]) Strona 25 «Dzieje Polski».

[3]) Cyfrę tę wymienia idąc za Otwinowskim Encyklopedya Powszechna Illustrowana, zeszyt 263 tom XXXIII strona 450.

[4]) «Histoire de Suède sous le règne de Charles XII où l'on voit aussi les revolutions arrivées en differents temps dans ce royaume, toute la guerre du Nord, et l'avènement de la Reine et du Roi regnant à la Couronne jusqu'à present enrichie de medailles et de plusieurs autres figures. Par M. de Limiers, docteur en droit 4 volumes. Amsterdam. Chez les Jansons à Waesberge—1721 an.

[5]) Historya Pan. Ros. w tłomaczeniu księdza B. Sirucia Scholarum Piarum. Wilno 1781 roku.

[7]) Plater St. «Plans des Sièges et Batailles, qui ont eu lieu en Pologne, pendant le XVII-ème et XVIII-ème Siècle accompagnés d'un texte explicatif, pour servir du Suite à l'atlas historique de la Pologne».— Posen 1828. Cenna ta praca posiada plan bitwy, na którym widoczny jest Kalisz ówczesny, wsie, młyny, zarośla, góry, trakty okoliczne i pozycye wojsk.

[6]) Eustachy hr. Tyszkiewicz: «Listy o Szwecyi»—Wilno 1864 r.— w tomie II na stronie 254 podaje reprodukcyę medalu na czasie zwycięstwa pod Kaliszem wybitego dodając, iż były to pierwsze medale pamiątkowe, jakie w Rosyi wybito.

Inż. Stanisław Widomski.

O CZYNNIKACH MATERYALNYCH SPRAWY POLSKIEJ.

Mówiąc o „kwestyi polskiej“ zarówno między sobą jak i ze światem zewnętrznym, mieliśmy zwykle na myśli cały ten splot stosunków i czynników natury przeważnie ideowej, który dawał podstawą naszym dążeniom politycznym i kulturalnym. Jeżeli opieraliśmy się na cyfrach naszej siły materyalnej, to braliśmy pod uwagę prawie wyłącznie liczebność polskiego narodu i obszar zajętego przezeń terytoryum, przyczem założenia apriorystyczne odgrywały ogromną rolę: zależnie od poglądów autora otrzymywaliśmy rezultaty często umniejszające faktyczny stan naszej sprawy, bądź też, co prawda znacznie rzadziej, nieliczące się znowu ze smutną rzeczywistością dnia dzisiejszego. Były to nieuchronne następstwa beznadziejnego położenia w jakiem znaleźliśmy się od chwili utraty samodzielności gospodarczej i politycznej, dzięki któremu wszelkiej inicyatywie o charakterze ogólnym nie stało realnego punktu oparcia. Wojna europejska wysunęła między innemi kwestyę polską jako zagadnienie realne. W tej nowej postaci w jakiej stoi ono dziś przed nami winniśmy zoryentować się, jakimi środkami rozporządzamy, a czego nam brakuje do stworzenia i utrzymania samodzielnego organizmu gospodarczego na którego barkach dopiero może oprzeć się nasz byt kulturalny i polityczny. Ustosunkowanie tych pojęć musi jasno stanąć w naszej świadomości jeżeli w przyszłej zjednoczonej całości nie mamy przeżywać doświadczeń jej części — Galicyi: pozorów władzy i siły, przy istotnej wewnętrznej niemocy. Niepodobieństwem byłoby dziś w tem miejscu choćby tylko zarys całokształtu naszych sił ekonomicznych. Nietylko warunki wydawnictwa niniejszego ale i niedostępność źródeł nie pozwalają na objęcie tak obszernego zakresu. Celem naszym jest wyłącznie wskazanie niektórych tylko najistotniejszych ekonomicznych czynników naszej siły.

Do takich pozycyi czołowych należą: wielkość terytoryum i zaludnienie, bogactwa naturalne i siły przyrody, wytwórczość rolnictwa i przemysłu, wreszcie handel i kapitał ruchomy. O tej ostatniej kategoryi nie możemy niestety w tej chwili nic powiedzieć, bo jedyne opracowania statystyczne, na których wolnoby było polegać, odnoszą się tylko do zaboru pruskiego i austryackiego, a i te obecnie są niedostępne.

Przystępując do omówienia bogactw naturalnych Polski i związanego z niemi przemysłu, należy uprzytomnić sobie, że o ile przemysł stanowi dziś główną podstawę dobrobytu ludności i potęgi społeczeństw, to jego stosem pacierzowym jest przemysł żelazny. Nigdy może doniosłość tego faktu nie uwypukliła się wyraźniej, niż w czasie obecnej wojny, kiedy wytrzymałość narodów została poddana ogniowej próbie. Na ten przeto czynnik wypadnie nam zwrócić najbaczniejszą uwagę.

Jak wiadomo, punktem wyjścia dla produkcyi żelaznej wyższego typu jest hutnictwo. Wchodzą tu w grę ruda żelazna i koks. względnie węgiel. Co do rudy żelaznej, to stan jej w Polsce zarówno pod względem ilości jak i jakości nie jest zadawalniający. Ruda żelazna występuje u nas naogół w pokładach cienkich, jako żeleziak brunatny i ilasty i jest uboga w żelazo (30 — 40 %). W Królestwie wynosiła ostatnio produkcya tej rudy 260,000 ton, na Śląsku górnym — 140,000 t., w Galicyi 17,000 t.

Łącznie możemy przyjąć roczne dobycie polskiej rudy na — 620,000 t. Jest to cyfra poważna, ale daleka od wielkości zapotrzebowania. Podczas gdy w Królestwie na ogólną ilość przetopionej w 1911 r. 640,000 t. rudy 40 % zaledwie było pochodzenia miejscowego, to na górnym Śląsku z 1,700,000 t. tylko 8 % znalazło pokrycie w miejscowem górnictwie. Resztę dostarczyła Śląskowi Szwecya, Rosya i Węgry, królestwu zaś prawie wyłącznie południowa Rosya (Krzywy Róg).

Z zestawienia powyższych danych okazuje się dość jasno, że dla produkcyi metalurgicznej istotniejszym czynnikiem od rudy jest węgiel. Oczywiście pod założeniem, że przy sprowadzaniu rudy dysponuje się dogodną i tanią komunikacyą i unika się kosztownego i ryzykownego dla niezależnej polityki ekonomicznej, obcego transita. Warunkom tym może jedynie odpowiedzieć bezpośredni dostęp do morza, i już w tem miejscu owładnięcie drogą do morza przedstawia się jako konieczny warunek naszego ekonomicznego rozwoju.

Przejdźmy więc do rozpatrzenia naszych zasobów węglowych. I tu z góry trzeba zaznaczyć, że położenie Polski w zakresie rozporządzalności węglem jest wyjątkowo pomyślne. Główna podstawa naszych nadziei na przyszłość, Zagłębie [1]), obejmuje obszar w 5800 km², z czego wypada na zabór pruski 3000 km² (52 %), austryacki 2300 km. (40 %), na rosyjski 500 km² (8 %), przyczem część austryacka rozpada się na Galicyę 1,300 km.) i Śląsk z niewielkim udziałem Moraw (1,000 km²). Głębokość Zagłębia spada z zachodu (około Ostrawy w 7,000 m.) na wschód (około Dąbrowy górn. w 2,000 m.). W tym samym kierunku zmniejsza się i ilość pokładów ze 124 na zachodzie do 15 na wschodzie. Do pewnego stopnia kompensuje się ten ubytek w ilości — grubością pokładów. Gdy na zachodzie najgrubszy pokład dochodzi tylko do 8 m., w Dąbrowie t. zw. reden liczy 13 m. grubości. Ważny niezmiernie dla naszej metalurgii moment leży w rodzaju i jakości tego węgla. Jak wiadomo współczesne hutnictwo pracuje prawie wyłącznie koksem. Otóż właściwości polskiego węgla ulegają również zmianie w kierunku równoleżnikowym. Idąc z zachodu na wschód przechodzimy od węgla tłustego, zdolnego do koksowania, do długopłomiennego, chudego.

Bardzo ciekawe cyfry co do ilości węgla, jaką możnaby wydobyć z Zagłębia polskiego przy dzisiejszym stanie techniki górniczej, otrzymujemy z porównania prac geologów niemieckich z badaniami naszych geologów w Krakowie. Średnia tych wyników przedstawia się następująco:

Śląsk pruski	51	miliardów ton, t. j.	58%
Galicya (zagł. kr.) 21,+Śląsk austr. 11.	32	„ „ „	36%
Królestwo	5	„ „ „	6%

Razem Zagłębie polskie 88 miliardów ton.

Cyfra ta nabierze wyrazu dopiero po zestawieniu z analogicznemi datami określającemi zasoby dwóch największych potęg węglowych w Europie:

Rozporz. resursy węgla Anglii . . . . 60 miliardów ton.
„ „ „ Niemiec bez Śląska 68 „ „

Charakterystyczne wyniki otrzymujemy, zestawiając z wielkością zasobów węglowych w poszczególnych zaborach ilość rocznej produkcji:

[1]) Według danych A. Kontkiewicza Stow. Tech. 22/I 1915.

Wydobyto węgla kamiennego w r. 1913:

Śląsk górny		43,800,000 ton, t.j. 76%		
„ austr. (pol.)	5,080,000 t.	7,000,000 „	„ 12%	8,3%
Galicya . . .	1.920,000 t.			3,2%
Królestwo		6,830,000 „	„ 12%	
Razem . .		57,630,000 ton, wal. 230 m. r.		

Uderza w tem porównaniu wysoki procent produkcyi na Śląsku pruskim (58% zasobów — 76% dobycia) i niesłychanie niski Galicyi (24% zasobów — 3,2% dobycia). Zjawisko to wymaga choćby krótkiego objaśnienia.

Bogactwa węglowe górnego Śląska jeszcze na wiek prawie przed nowożytną industryalizacyą Europy, nęciły chciwość korony pruskiej. Węgiel to, a nie tylko obciążenie dziedziczne Hohenzollernów w kierunku zaokrąglania swoich dzierżaw, wywołał napad niespodziany Fryderyka II na Śląsk i wojnę siedmioletnią z Austryą w poł. XVIII w., czego następstwem było przyłączenie górnego Śląska do Prus. I trzeba przyznać, że królowie pruscy tej „perły w koronie pruskiej“ nie chowali pod korcem, lecz umieli z niej dobyć olśniewające blaski dzisiejszej potęgi. Wówczas fałszowanie monety i wpuszczanie jej do Polski stało się już dla nich interesem zbyt drobiazgowym, skoro środki pozwoliły na otwarcie znacznie lukratywniejszego przedsiębiorstwa od frontu i w dobranem towarzystwie wspólników. Dziś Śląsk górny jest główną ostoją pruskiej organizacyi przemysłowej, a do pewnego stopnia dynastyi i państwa. Właścicielami kopalń są: skarb pruski (17% produkcyi), dalej książęta: na Pszczynie, Donnersmark, Hohenlohe, hr. Henckel-Donnersmark, hr. Thiele-Winkler, hr. Ballestrem, hr. Schaffgotsch — główne filary domu Hohenzollernów. — Żeby uzupełnić ten rys znaczenia górnego Śląska dodajmy,[1]) że w 1911 r. było tam czynnych 30 wielkich pieców o produkcyi 963,000 ton surowca, 24 odlewnie żelaza i stali o produkcyi 81,000 ton i 13 walcowni, które dały 800,000 ton żelaza i stali, przyczem pomijamy mnóstwo fabryk różnych wyrobów żelaznych. Zatrudniały te fabryki w 1911 r. 43,000 robotników, kopalnie 118,000, przeważnie z pośród polskiej ludności miejscowej.

Z tych rozważań o roli górnego Śląska i choćby z pobieżnie zestawionych cyfr, nasuwa się nieubłagana

[1]) Leon Wasilewski. Śląsk polski str. 104.

konkluzya: wegetować i przedłużać swoją mizeryę może Polska i bez Śląska, ale aspiracye nasze jako wielkiego historycznego narodu, tęsknota nasza do pełnego oddechu i rozwoju na miarę europejską, mogą być urzeczywistnione tylko po odebraniu tego dziedzictwa Piastów, co jest równoznaczne ze zniszczeniem potęgi Prus.

Żywe przeciwieństwo co do intensywności w dobyciu węgla przedstawia Galicya. Fakt istnienia w Zagłębiu krakowskiem niezmiernie obfitych pokładów już od kilkunastu lat stał się tajemnicą publiczną. Niestety, wadliwa ustawa górnicza i przemożne wpływy w rządzie przemysłowców niemieckich stały się powodem, że prawo wyłączności górniczych wydarte zostało w większości wypadków z rąk polskich i dzięki temu właściciele kopalń zachodnich stworzyli u nas nie tyle rezerwę dla własnej produkcyi, ile asekuracyę przed konkurencyą węgla krakowskiego. Sprawą tą zajęły się gorliwie zjazdy górników i hutników polskich, a Sejm galicyjski, do którego kompetencyi należy od r. 1907 ustawodawstwo górnicze, już w przededniu obecnej wojny poczynił w tej mierze stanowcze kroki. Otworzenie ostatnio Akademii górniczej w Krakowie niewątpliwie przyczyni się do spotęgowania naszej kontroli i wpływu na Zagłębie krakowskie.

Dla wyczerpania przeglądu ruchu należy jeszcze wspomnieć o rudach i produkcyi cynku, ołowiu i miedzi.

Najobfitsze złoża połączeń cynku i ołowiu leżą znowu na górnym Śląsku, gdzie roczne ich dobycie wynosi 90% całej produkcyi polskiej. Na ziemiach polskich wogóle występuje cynk w dwóch postaciach: jako galman (węglan wzgl. krzemian cynku) zawierający do 25% metalu, i jako blenda cynkowa (siarczek), z zawartością do 40% tego metalu. Obie te rudy towarzyszą zwykle węglowi na głębokości 100—200 m. Huty cynkowe znajdują się na Śląsku, w Królestwie i w Galicyi. Huty ołowiane, pracujące galeną (siarczek ołowiu), tylko na g. Śląsku, przyczem interesujący szczegół: w 1913 r. otrzymano tam na 4.400 ton ołowiu, 7,430 kg. srebra, którego drobne domieszki znajdują się w galenie. Ogólna wytwórczość polska tych rud wynosiła w 1913 r. 640,000 ton wartości 18 milionów rubli. Pod względem produkcyi cynku zajmujemy—o ile się nie mylę—pierwsze miejsce w Europie.

Rudy miedzi występują tylko w okolicy Kielc i Chęcin. Zaniechaną od czasów administracyi polskiej produkcyę wznowił obecnie rząd austryacki.

Przejdźmy z kolei do następnej grupy bogactw naturalnych: **n a f t y i w o s k u z i e m n e g o**. Siedliskiem tego drugiego po węglu źródła energii jest na ziemiach polskich Galicya, ściślej mówiąc południowa jej część przylegająca do Karpat. Ropa naftowa występuje tu jako pasmo żył, które w przedłużeniu poprzez Rumunię i Morze Czarne biegnie na Kaukaz i daje tam podstawę, przodującemu w świecie prawie na równi z amerykańskim przemysłowi naftowemu (Baku). Produkcya ropy naftowej w Galicyi jest bodaj jedyną gałęzią przemysłu, która od chwili poczęcia (druga połowa XIX w.) aż po dzień dzisiejszy nosi niezatarte znamię polskiej inicyatywy technicznej i organizacyjnej. Może w żadnym innym kierunku techniki nie wnieśliśmy do skarbca światowego postępu tyle zdobyczy, co w zakresie techniki górniczo-naftowej. Że słuszną dumą możemy stwierdzić, że wykształcony na rodzinnym warsztacie pracy polski inżynier i wiertacz są z upragnieniem witani nawet w krajach egzotycznych (Sumatra, Jawa etc). Że Galicya ze swoim potężnym i jedynym w Polsce przemysłem naftowym jest żywą częścią polskiego organizmu gospodarczego i że bez niej lub po wyłączeniu z niej najbogatszych terenów naftowych zjednoczona Polska byłaby ciałem okaleczałem, o tem nie może być dwóch zdań w dyskusyi poważnej i prowadzonej bez uprzedzeń, liczącej się z rzeczywistym układem stosunków. Na poparcie naszych praw do niej możemy się powołać nietylko na przesłanki historyczne, ale i na wyłączność polskiej pracy organizacyjnej, na olbrzymią przewagę w posiadaniu ziemi, wreszcie na siłę naszego żywiołu.

W roku 1911 wynosiła produkcya ropy galicyjskiej 1,950,000 ton wartości—20 milionów rubli, z czego 94% dał okręg borysławski. Niestety, wykorzystanie tej produkcyi przez czynniki krajowe nie było zupełne. Do ostatnich czasów znaczna część ropy galicyjskiej była przerabiana przez rafinerye pozakrajowe. Dopiero stworzenie wskutek nacisku Sejmu i Koła polskiego olbrzymiej państwowej odbenzyniarni w Drohobyczu stało się punktem zwrotnym i na tem polu.

Przy ropie naftowej należy jeszcze wymienić produkcję wosku ziemnego (ozokerytu), która w Galicyi w 1911 r. dała—2,000 ton wartości 1 miliona rubli.

Trzecim źródłem energii są **s i ł y w o d n e**. Mamy tu na myśli przedewszystkiem trakcyę elektryczną, naogół bardzo słabo w Polsce rozwiniętą. Miarą uczęstnictwa

naszego na tem polu jest następujące zestawienie wykorzystania spadków wodnych do przeniesienia energii elektrycznej [1].

	Przypuszczalna moc w milionach koni mech.	Wyzyskano.
1. Niemcy	1,5 mil. k. m.	30%
2. Szwecya	3,0 „ „ „	20%
3. Szwajcarja	4,5 „ „ „	17%
Norwegia	3,0 „ „ „	17%
4. Włochy	5,0 „ „ „	15%
5. Stany Zjednoczone	50,0 „ „ „	12%
6. Japonia	5,0 „ „ „	11%
7. Prusy wschodnie i zachodnie	0,03 „ „ „	10%
8. Austrya zachodnia	5,0 „ „ „	8%
9. Galicya	0,43 „ „ „	7,5%
10. Francya	9,2 „ „ „	7,0%
11. Rosya	12,0 „ „ „	1,7%

Jakkolwiek moglibyśmy mieć niejaką pociechę, że pod względem wykorzystania siły wodnej wyprzedziliśmy nieco Francyę i bardzo znacznie Rosyę, nie mniej fakt zaniedbania naszego w tej dziedzinie pozostaje widocznym. W dużym stopniu usprawiedliwia nas okoliczność, że wyzyskanie siły wodnej łączy się z rozwojem rodzinnego przemysłu elektrotechnicznego [2], ten zaś w danych stosunkach międzynarodowej produkcyi, wymaga szczególnej opieki państwa, zwłaszcza w zakresie celnym. Otóż w Galicyi byliśmy pod obuchem takich potentatów jak Siemens-Schukert-Werke, Allg. Elektr. Ges., Ganz i t. d., dzięki czemu jedyna firma większa Sokolnickiego musiała zrzec się samodzielności. W Królestwie zaś polityka celna państwa wychodziła wprost na szkodę. odnośnego przemysłu [3]. Ze zjawiskiem podobnem spotkamy się i w innych gałęziach produkcyi.

Z naturalnych bogactw kraju pozostaje do omówienia sól i kainit. Może w żadnej innej dziedzinie nie uwydatnia się tak wyraźnie szkodliwość podziału Polski dla ekonomicznych interesów jej ludności. Podczas kiedy największa w świecie kopalnia soli w Wieliczce daje wraz z eksploatacyą gniazd bocheńskich rocznie (r. 1912) 33,000 ton soli kamiennej jadalnej i 80,000 ton na cele przemysłowe, to o dwadzieścia wiorst na północ miesz-

---

[1]) A. Kühn, odczyt w Warsz. Stow. Tech.

[2]) Por. Zestawienie dla poszczególnych państw wywozu i przywozu artyk. elektrotechnicznych w „Przegl. Tech." Nr. 25, 1915 r.

[3]) Naprzykład cło wynosiło od 1 puda miedzi 5 rub., a od 1 puda maszyn elektr. zaledwie 8 rb.

kająca ludność polska w Królestwie musi spożywać warzonkę rosyjską, którą trzeba dowozić tysiące wiorst. Soli galicyjskiej broni bowiem wstępu do Królestwa cło prohibicyjne, przenoszące znacznie jej wartość. Do kwestyi tej wrócimy jeszcze przy omawianiu fabrykacyi sody. Zdz. Kamiński podaje za rok 1912 następujące dane co do soli galicyjskiej:

Wydobyto soli kamiennej jadalnej 32,856 ton.

Wydobyto soli kamiennej do celów przemysłowych 79,988 ton razem 112,855 ton wart. 2,767,000 rub.

Wydobyto warzonki (jadalnej) 38,935 ton wart. 2,803,000 rub.

Razem produkcya galicyjska 151,780 ton wart. 5,570,000 rub.

Królestwo (warzelnia w Ciechocinku) 4,400 ton wart. 98,000 rub.

Przypuszczalna produkcya polska 356,180 ton. wart. 5,668,000 rub.

Kainitu (soli potasowej), mającej doniosłe znaczenie w rolnictwie, dostarczyła Galicya w 1912 r. 20,552 ton., wartości około 2,800,000 rb.

Zanim przejdziemy do następnej kategoryi bogactw Polski, do przemysłu rolniczego, trzeba poświęcić nieco uwagi stanowi polskiego rolnictwa. Pod względem produkcyjności rolniczej możnaby ustawić poszczególne zabory w następującym porządku [1]):

	Produkcya w 1912 r. w pudach: [2]) żyta	pszenicy	ziemniaków
1) Wielkie księstwo Poznańskie, Śląsk, Prusy Wschod. i Zach.	258,457,000	58,462,000	1,012,100,000
2) Galicya i Śląsk austr. . . .	188,000,000		109,301,000
3) Królestwo polskie	147,338,000	40,916,000	570,990,000

Łączna produkcya polska:

Żyta i pszenicy . . . . 693,173,000 pudów

Ziemniaków . . . . . 1,992,391,000 „

Wyrazem natężenia produkcyi będzie niewątpliwie ilość plonu wypadająca na 1 mieszkańca. Pod tym względem charakteryzuje stosunki takie zestawienie:

---

[1]) Po przeliczeniu dat podanych przez W. Krzyżanowskiego w Stow. techników, Warszawa 12-II—1915.

[2]) S. K. Drewnowski, „Przegląd techn." Nr. 11 z 1915 r. Cyfry zaokrąglone i odnoszą się do roku 1913 w Poznańskiem, 1911 r. w Galicyi i 1909 w Królestwie.

Plon ziemniaków na 1 mieszkańca:

Zabór pruski	91 pudów,	Niemcy	51 pudów
„ austryacki	47 „	Austrya	25 „
Królestwo Polskie . . .	46 „	Rosya	12 „
		Francya	18 „

Na wymienionych produktach rolnictwa opierają się trzy najwyraźniejsze gałęzie przemysłu rolniczego: młynarstwo, gorzelnictwo i cukrownictwo. Co do młynarstwa, to z wyjątkiem zaboru pruskiego znajduje się ono w trudnych warunkach ekonomicznych. Zarówno w Królestwie jak i w Galicyi handel zbożowy ściśle związany z młynarstwem, znajduje się w ręku żywiołów obcych, a nawet pozakrajowych. Dopełnia miary nieprzyjazna dla naszego młynarstwa polityka taryfowa dwóch ostatnich państw, wskutek czego nietylko nie mogło ono rozwinąć się na skalę eksportową, ale wprost nie pokrywało miejscowej konsumcyi. Wrezultacie więc w dwóch tych zaborach, eksportując 180 milionów pudów zboża za granicę, sami równocześnie spożywaliśmy mąkę z młynów nadwołżańskich i węgierskich.

Nader pokaźnie rozwinął się w Polsce przemysł gorzelniany. Produkcyę spirytusu, który naogół (w 92—95%) pędzi się z ziemniaków, da się ująć w następującą tabelę [1]):

	ilość wiader 40%.	% produkcyi polskiej.	% nadmiaru po obliczeniu konsumcyi.
1) Zabór pruski	32,725,000	50,4%	60%
2) Zabór austryacki ze Śląskiem .	16,367,000	25,2%	54%
3) Królestwo polskie	15,816,000	24,4%	53%
Ogólna produkcya . . .	64,908,000		56,7%

Odliczając to od ogólnej produkcyi spirytusu wytworzonego w państwach rozbiorowych dochodzimy do zestawienia:

1.	Rosya (bez Królestwa)	107,497,000	wiader 40%
2.	Polska	64,908,000	„ „
3.	Niemcy (bez ziem polskich) . .	43,807,000	„ „
4.	Austrya „ „ „ . .	14,753,000	„ „

Ta olbrzymia wytwórczość spirytusu na naszych ziemiach, stawiająca Polskę w pierwszym rzędzie produkcyi światowej, nasuwa już obecnie myśl o konieczności zajęcia się jego eksportem. Powstanie nawet zupełnie nowego przemysłu opartego na spirytusie jedwab sztuczny, kauczuk nie może wyczerpać (przynajmniej w naj-

[1]) Po przeliczeniu cyfr podanych przez Drewnowskiego.

bliższej przyszłości, tego ogromnego nadmiaru, dochodzącego do 37 milionów wiader rocznie. Cyfry te dowodzą równocześnie jakich rozmiarów dosięgłoby wstrząśnienie ekonomiczne kraju, gdyby chciano do niego zastosować raptownie eksperymenty ograniczające produkcyę spirytusu. Jakiekolwiek byłyby motywy takich usiłowań nie zdołałyby one podać w wątpliwość faktu, że Polska jest klasycznym krajem urodzaju ziemniaków i, jak każdy inny, ma prawo do wyciągania maximum korzyści ze swoich produktów, co w danym wypadku nie da się pogodzić z zakazem, czy ograniczeniem gorzelnictwa. Drugą z kolei dźwignią utrzymującą Polskę u szczytów światowej produkcyi jest c u k r o w n i c t w o.

Rozwijało się ono w kraju w warunkach bardzo nierównomiernych. Podczas gdy w Poznańskiem i Królestwie bądź dzięki opiece państwa, bądź też dzięki faktycznemu układowi stosunków osiągnęliśmy niebywały stopień rozkwitu, Galicya uginała się pod brzemieniem ogólno-austryackiego kartelu cukrowego, który mając główne podstawy w Czechach i na Morawach, niedopuszczał bezwzględnie do rozwinięcia się galicyjskiego cukrownictwa. Pamiętnym pozostanie przebieg tej walki jaką zjednoczony czesko-niemiecki przemysł cukrowniczy stoczył z powstającą pierwszą cukrownią galicyjską w Przeworsku. Społeczeństwo polskie w Galicyi zdało ostatecznie egzamin ze swej dojrzałości ekonomicznej nie pozwalając upaść rodzimej placówce, ale wysiłki na jakie trzeba się było zdobyć dowiodły, że w dawnych warunkach prawno-politycznych Galicya nie mogłaby nawet marzyć o wyrównaniu swych zaległości w zestawieniu z Poznańskiem i z Królestwem. Produkcya cukru w Polsce w 1913/14 wynosiła [1]):

				% produkcyi polskiej
1)	Zabór pruski: ks. Poznańskie	20,000,000 pud.		
	Prusy Zachodnie	8,000.000 „		
	„ Wschodnie	500,000 „		
	Śląsk górny	24,000,000 „		
	Razem zabór pruski		52,500,000 pud.	74%
2)	Królestwo		13,113,000 „	18%
3)	Śląsk austryacki	3,500,000 „		
	Galicya	1,800,000 „		
	Razem zabór austryacki		5.300,000 „	8%
	Ogólna produkcya polska		70,913,000 pudów	

[1]) Zob. spraw. M. Pawłowskiego w „Przegl. techn.", 1915.

Dla uprzytomnienia sobie wielkości tych cyfr, zestawmy je z wytwórczością światową cukru buraczanego [1]).

			udział w produkcyi 9 krajów w %
1) Rosya (po odliczeniu Królestwa)	72,568,000	pud.	19,1
2) Austro-Węgry (po odliczeniu ziem pol.)	71,048,000	„	18,7
3) Polska	70,913,000	„	18,6
4) Niemcy (po odliczeniu ziem polskich)	63,969,000	„	16,8
5) Francya	40,048,000	„	10,5
6) Stany Zednoczone A. P.	26,352,000	„	6,8
7) Belgia	14,335,000	„	3.7
8) Holandya	13,054,000	„	3,4
9) Szwecya	7,442,000	„	1,8
Cała produkcya tych 9 krajów	379,729,000	pud.	100%

W światowej więc wytwórczości cukru buraczanego jesteśmy trzecią z kolei potęgą, po usunięciu zaś przeszkód tamujących rozwój cukrownictwa galicyjskiego łatwo moglibyśmy osięgnąć pierwszeństwo. Dane powyższe wskazują zarazem, jak wielkiej doniosłości dla kraju będzie ujęcie zewnętrznego handlu z zagranicą z chwilą, gdy dla Polski jako czynnika samodzielnego otworzy się możność wejścia w wir międzynarodowego handlu i wymiany.

W celu wyczerpania choćby tylko powierzchownego przeglądu główniejszych czynników ekonomicznej siły Polski, rzućmy okiem na stan naszego przemysłu mechanicznego, chemicznego, budowlano, ceramicznego i włókienniczego.

Jak, wspomnieliśmy wyżej, między wielką *produkcyą żelazno-mechaniczną* a hutnictwem zachodzi ścisły organiczny związek i musielibyśmy daleko szukać przykładów funkcyonowania wielkich fabryk maszyn i wogóle żelaznokonstrukcyjnych, któreby pracowały importowanym surowcem a nawet i żelazem fasonowem. Stan naszego przemysłu mechanicznego w zupełności potwierdza ten związek. Na Śląsku górnym, gdzie znajduje się gros wytwórczości metalurgicznej, znalazły siedzibę nietylko potężne walcownie i lejarnie ale również cała sieć nie mniej imponujących fabryk maszyn, a nawet i drobiazgowych wyrobów żelaznych. W Galicyi naodwrót, poza jedyną na wielką miarę urządzoną fabryką Zieleniewskiego w Krakowie (i do pewnego stopnia walcownią w Borku Fałęckim) wszystkie inne fabryki żelazne musiały wieść żywot suchotniczy. Je-

[1]) Wyliczenia z mater. podanych przez M Pawłowskiego.

żeliby ziemie polskie zostały zjednoczone, należałoby oczekiwać niebywałego rozkwitu wytworczości maszynowej. Między innemi wspaniałe pole rozwoju miałaby fabrykacya *maszyn rolniczych*, w zakresie której już dziś możemy poszczycić się takiem imieniem jak Cegielskiego w Poznańskiem.

W Królestwie Pruskiem cechą, jaka uderza badacza, jest rozdrobnienie fabryk mechanicznych. Miarą tego rozdrobnienia są np. takie cyfry:

	W Królestwie.	W Cesarstwie r
na 1 zakład wypada robotników	130	317
koni mechanicznych	129	306

Fakt ten (który w pewnym tylko stopniu) możnaby odnieść i do Galicyi, charakteryzuje dwa momenty: Po pierwsze nieprzystosowanie się jeszcze naszego przemysłu do warunków wielkiej, masowej produkcyi, a następnie znaczne rozprzestrzenienie kultury technicznej. Jeżeli po wojnie nastąpi powrotny przypływ naszej emigracyi amerykańskiej, zaprawionej na światowych warsztatach produkcyi, to łatwo będzie nam wyhodować ten typ pośredni, panujący z jednej strony nad metodami masowej produkcyi, a z drugiej mający ogólne przystosowanie techniczne.

W zakresie *wytwórczości chemicznej* należy wziąć pod uwagę trzy główne grupy: produkcyę kwasu siarkowego, barwików sztucznych, oraz sody, superfosfatów i t. p. Wytwarzając kwas siarkowy, pracujemy w Polsce dwiema metodami ściśle przystosowanemi do granic państw rozbiorowych. W Królestwie, wskutek wysokiego cła na kwas siarkowy opłaciło się wydobywać go z kirytów żelaznych, sprowadzanych z Norwegii, Węgier i Hiszpanii. W ten sposób wytworzono 4 miliony pudów, z czego $1/4$ dostała się w obieg handlowy, $3/4$ zaś poszło na fabrykacyę superfosfatów. W Galicyi natomiast, a przedewszystkiem na Górnym Śląsku otrzymywano kwas siarkowy jako produkt uboczny przerabiania blendy cynkowej. Na tej drodze dał sam G. Sląsk w 1910 r.—12,2 milionów pudów. Na wypadek połączenia Polski możemy spodziewać się przystosowania tej fabrykacyi do typu galicyjsko-śląskiego.

Całkiem przez szersze koła niedoceniane było u nas znaczenie *produkcyi barwików sztucznych*. Zresztą nie sami zostaliśmy na szarym końcu. Ten nawskroś nowoczesny

i ściśle na podstawie nauki oparty przemysł dawał Niemcom (1910 r.) 300 milionów marek rocznego dochodu, z czego $^{2}/_{3}$ wnosiła zagranica. Lwia część tego dochodu płynęła znowu z Górnego Śląska. Strassburger oblicza roczną wytwórczość smoły pogazowej na G. Śląsku, która jest podstawą barwikowego przemysłu na 100,000 ton (6,1 miliona pudów). Biorąc pod uwagę, że oprócz smoły głównym czynnikiem w tej produkcyi są: sól i kwas siarkowy, którymi dysponowalibyśmy w niezmiernie korzystnych warunkach, okazuje się, że przed wytwórczością polską barwików sztucznych otwierają się nader piękne widoki rozwoju.

Sodę wytwarzaliśmy głównie w Galicyi w Szczakowej; poza tem projektowana była w ostatnich latach nowa wielka fabryka w pobliżu Wieliczki. W Królestwie nie mógł się ten przemysł rozwinąć z powodu konkurencyjnego oporu fabrykantów w centralnej Rosyi, państwo nie chciało stwarzać konkurenta dla własnej soli południowej, jak wiadomo niezbędnej w wytwarzaniu sody. Wyraziła się ta tendencya w polityce celnej, dzięki której sól galicyjską obłożono stawką 30 kop. od puda, uniemożliwiając jej import do Królestwa. W przyszłości, także i w tym kierunku musiałyby nastąpić zmiany na lepsze.

Superfosfaty mające tak szerokie zastosowanie w rolnictwie wytwarzaliśmy we wszystkich zaborach, jakkolwiek różnemi metodami. Gdyby Królestwo oddzielone zostało granicą celną od Rosyi, znaczna część naszych fabryk pracująca dotąd fosforytami mineralnymi dobywanymi poza granicami ściśle pojętej „Polski etnograficznej", musiałaby dostosować się do warunków produkcyi południowo-zachodniej Polski.

Honorowe miejsce w polskim przemyśle przetwórczym należy się włókiennictwu, zwłaszcza w Królestwie Polskiem. Zaszczepione u schyłku niepodległej Polski, otaczane troskliwą opieką rządu Królestwa Kongresowego, włókiennictwo polskie wytworzyło pewną swoistą kulturę przemysłową, która nęciła do nas i obce kapitały, zwłaszcza, gdy otworzyło się pole korzystnych konjunktur na Wschodzie. W ostatnich latach dała się jednak zauważyć mniejsza intensywność rozwoju, co trzeba przypisać rosnącej w szybkiem tempie konkurencyi fabryk w centralnej Rosyi. Mimo to włókiennictwo było dla kraju jednem z największych źródeł dochodu. Oto cyfry podane przez Kossuta, dotyczące wytwórczości w Królestwie w r. 1910-ym (zaokrąglone):

Rodzaj przemysłu.	Wartość produkcyi w Królestwie.	Wartość produkcyi w Cesarstwie.	Stosunek produkcyi Królestwa do Cesarst.	Stosunek do wartości całego włókien. w Król.	Ilość robotników.
1) przem. bawełniany	149,9 mil. rb.	883,5 mil. rb.	18,8%	53,9%	56960
2) przemysł wełniany	88,7 „ „	211,0 „ „	42,0%	32,5%	39473
3) przemysł lniany, konopny, jutowy	11,4 „ „	101,9 „ „	11,2%	4,2%	6842
4) przemysł jedwabny	4,2 „ „	29,5 „ „	14,2%	1,5%	1917
5) przemysł mieszany	21,5 „ „	48,2 „ „	44,6%	7,9%	11681

Ogólna wytwórczość wynosiła 272,69 mil. rb., t. j. 21,4% wartości włókiennictwa w Rosyi (1274,22 mil. rb.).

W Galicyi sejm zainteresował się żywo włókiennictwem, którego ośrodkami są Krosno, Andrychów, Kęty i Korczyn.

Wobec zniszczenia kraju wskutek wojny nie małą troskę stanowi pytanie, czy rozporządzamy materyałem do jego odbudowania. Chodzi tu głównie o *materyały budowlane*, w pierwszym rzędzie o *cement*, *wapno* i *cegłę* ew. dalsze wyroby ceramiczne. Wiele światła wprowadza w tę kwestyę następujące zestawienie *):

Wyprodukowano:	Cement.		Wapno.	
	W 1000 beczek	Na 1-go mieszkańca.	W 1000 pudów.	Na 1-go mieszkańca.
Królestwo Polskie	1950	1,5 puda	12600	1,0 puda
Galicya	1000	1,2 „	12200	1,5 „
Śląsk, Poznań., Prusy	6500	5,4 „	25500	2,3 „
50 gub. Cesarstwa	10100	0,8 puda	18000	0,15 puda
Niemcy	37000	5,7 „	194000	3,0 „

*) A. Budny. Przegl. Techn. 1915.

Wedle zaś St. Abramowicza w Królestwie 537 cegielni dało 420 milionów sztuk cegieł wartości 3,8 miliona rubli, w Galicyi 580 cegielni—273 miliony cegieł wartości 4,3 mil. rb. Możemy przeto i tu polegać na własnych siłach.

Postawićby można tym wszystkim wyliczeniom zarzut, że odnoszą się one do czasów przedwojennych, że nie mogą być miarodajne dla chwili, w której zbierzemy się na ruinach naszego kraju. Zarzut taki byłby jednak tylko częściowo uzasadniony. Najpierw przy daleko nawet posuniętej bezwzględności walczących stron, trudno przypuścić, aby cały kraj jak długi i szeroki, uległ zupełnemu zniszczeniu. Następnie rzeczy stworzone ręką ludzką, dadzą się powtórnie odtworzyć. Nie zapominajmy o jednem. Wszelka na dłuższą metę forma wytwarza w człowieku pewien prąd myślowy i uczuciowy, który go wiecznie nawraca do miejsca zerwanego wątku. Tu bierze źródło konsekwencya i wytrwałość, które są znamionami narodów zaprawionych w wielowiekowej kulturze pracy i walki z przeciwnościami. Nie możemy powiedzieć o sobie, by nam wszystko łatwo przychodziło na świecie. Jeżeli więc byli jeszcze dziś tacy, coby rachuby na wymazanie nas z karty dziejów opierali na polskiej lekkomyślności, braku przywiązania do kraju, nieumiejętności i niechęci do pracy i poświęceń, to doznają wielkiego zawodu. Bezprzykładna martyrologja narodu polskiego w dobie obecnej sprawiła, że zacisnęliśmy w bólu usta, lecz tem więcej spotężniał duch buntu przeciw tej krzywdzie, jaką darzy nas świat za to, że chcemy zostać sobą. I choćby dalszy przebieg wojny miał do reszty zniszczyć dzieła naszych i przodków rąk, nie zwątpimy, a nad drogimi gruzami znowu pochyli się człowiek, pewien więcej niż kiedykolwiek zwycięstwa i dumny, iż się tej ziemi nie zaparł.

Wieluż więc nas jest i wiele tej ziemi?

W zaborze pruskim, gdzie leży kolebka polskiego narodu, siły uległy pewnej redukcyi dzięki planowemu parciu żywiołu niemieckiego na wschód i niezłomnej działalności eksterminacyjnej pruskiego państwa. Wskutek tego charakter kraju pod względem narodowościowym utracił wiele na jednolitości i jeżeliby brać pod uwagę tylko liczebność, to jedynie o Śląsku (regencya Opolska z wyłączeniem 4-ch powiatów) możnaby twierdzić, iż jest wyłącznie polskim, bo żywioł nasz stanowi tam 78.5%. Nie mniej przecież za ziemie polskie uważamy i inne dzielnice w tym zaborze i to zarówno dlatego, że wchodziły one w skład naszej dawnej Ojczyzny, ale z powodu, że obraz dany przez

dzisiejszą statystykę jest tylko wynikiem najazdu, z którego usunięciem odzyskałaby niewątpliwie dawną czystość i jednolitość.

Według Wakara *) liczą (rok 1910) ziemie polskie pod panowaniem pruskiem:

	Kilometr. kwadr.	Ludność	W tem polaków.
1) W. Ks. Poznańskie	28,996	2,099,831	61.5%
2) Ziemia Chełmińska (6 pow.)	5,168	415,441	51.3%
3) Niż Wiślany i Kaszuby (10 powiatów)	11,065	614,124	55.7%
4) Mazury i cz. Warmji (reg. Olszt. bez 2 pow.)	11,184	492,997	52.8%
5) Śląsk górny (część polska t. j. reg. Opolska bez 4 p.)	10,697	1,585,987	78.5%
Razem zabór pruski	67,111	5,208,380	62.4%

W zaborze rosyjskim należy odróżnić dwie strefy: bezsprzecznie polską, w której żywioł polski znajduje się w przeważającej większości, i drugą, która wchodziła w skład dawnej Polski, gdzie ludność polska mimo represyi i ograniczeń zachowała do dziś imponującą część ziemi, lecz wskutek zewnętrznego ucisku spadła liczebnie na stanowisko mniejszości i z tego jak i z innych powodów leży w paśmie terytoryum spornego między Polską a Rosyą. Licząc się z rzeczywistością, musimy ten obszar Polski historycznej traktować oddzielnie i odrębne dla niego stawiać postulaty.

Przechodząc zatem do Królestwa, winniśmy choć pobieżnie dotknąć tak zw. kwestyi narodowościowej w jego granicach, ile że nigdzie może nie spotykamy takiej gmatwaniny pojęć, jak odnośnie do stosunków narodowościowych w Królestwie. Chodzi o fakt, że do tego rdzennie polskiego kraju wcisnęły się dwa żywioły: Niemcy, którzy w dorzeczach Wisły, Warty i Prosny osiedlili się, tworząc skupienie wynoszące w poszczególnych powiatach od 3—30% i żydzi, którzy do niedawnych lat byli głównymi panami naszego handlu, a poniekąd i drobnego rzemiosła. O pierwszym z tych żywiołów możemy powiedzieć tylko tyle, że zawdzięczając swoje istnienie w Królestwie w wyższym stopniu względom strategyi wojskowej niż naturalnym tendencyom ekonomicznym, nie może arogować sobie

*) Wł. Wakar. Ludność polska, ilość i rozprzestrzenienie. Warszawa, 1914.

jakichkolwiek praw polityczno-kulturalnych. Co się zaś tyczy żydów, to trzeba zaznaczyć, że tarcie, jakie zaogniło się zwłaszcza w ostatnich latach między nimi a *resztą społeczeństwa*, wyrosło nie wskutek rywalizacyi dwóch narodowych kultur, lecz jest bezpośrednim wynikiem rozwoju i postępu kraju na polu ekonomicznem. Żadne przecież społeczeństwo nowożytne nie może ścierpieć, by jedna z głównych arteryi jego życia, wymiana, funkcyonowała w sposób barbarzyński. Jest rzeczą charakterystyczną, że tak w Królestwie jak i w Galicyi dopóki handel odbywał się na modłę archaiczną, ze wszystkiemi jej cechami: lichwą, oszustwem i wyzyskiem, żydzi zarówno tu jak i tam czuli się obywatelami polskimi. Skoro jednak akcya prawodawcza sejmu galicyjskiego i samorzutna inicyatywa społeczna w Królestwie zainteresowały się handlową kooperatywą, powstał wielki hałas z powodu „antysemityzmu polskiego“ i oto zjawiła się kwestya „narodowościowa żydowska“.

W tych warunkach trudno nie uznać, że zadośćuczynienie jej postulatom byłoby równoznaczne z cofnięciem kraju w sensie ekonomicznym co najmniej o pół wieku wstecz. W jaki sposób popieranie takiego programu—logicznie biorąc — da się pogodzić z przekonaniem *postępowych* kół rosyjskich, pozostanie nierozwiązalną zagadką. Nie mniej z tej strony wiele się mówi i pisze o tak zw. *autonomii narodowościowej*, jako jedynie sprawiedliwem rozwiązaniu. Otóż duch kultury aryjskiej zna tylko jeden rodzaj autonomii, t. j. samorząd terytoryalny. Dla wszystkich narodów tej rasy ziemia była i jest główną podstawą ich bytu. O nią toczyły się wojny i ona była przedmiotem pokojowej rywalizacyi społeczeństw; z niej wyrósł najpiękniejszy kwiat w duszy ludzkiej: miłość Ojczyzny, której bez określonego miejsca geograficznego nie możemy wprost pomyśleć. Żydzi natomiast emigrując ze swojego kraju w ciągu dwóch tysięcy lat wędrówki wytworzyli sobie specyalne pojęcie Ojczyzny bez terytoryum; licząc się z rozsypaniem i brakiem przywiązania do ziemi, zorganizowali dla własnych potrzeb eksterytoryalne gminy religijne z władzą wykonawczą, kahałem i dziś, nie ograniczając się do siebie, pragnęliby ten typ organizacyi narzucić narodom aryjskim. Zakusy te, jak widzimy, godzą w punkt, w którym jednoczą się pojęcia wszystkich narodów cywilizowanych, t. j. tych, które okres koczownictwa mają już daleko za sobą. Jeżeli przeto widzimy usiłowania pewnych elementów nieżydowskich, by wtłoczyć sprawę polską i żydowską do jednej beczki „autonomii narodowościowej“, to dzieje

się to chyba wskutek grubego nieporozumienia co do treści wyrazów.

Z tego zapewne powodu p. Wakar rozdziela żydów proporcyonalnie do sił narodów aryjskich i przytacza do każdego z nich odpowiadającą ilość żydów. Tak powstaje następujące zestawienie:

Rok		Kilom. kwadr.	Ludność	W tem polaków
1906	1) Gubernia Chełmska	12,555	940,556	63.6%
1909	2) Reszta Królestwa bez półn. części Suwalskiej	106,095	10,503,583	93.5%
1909	3) a) Wschod. cz. gub. wileńsk.	26,080		
„	b) Półn. „ „ grodzień.	15,072		
„	c) Część „ mińskiej	4,580	3,061,674 *)	57.0%
1897	d) Pow. iłłucki w Kurland.	1,952		
1909	e) Polska część Inflant	5,000		
Terytoryum etnogr. polskie w zab. rosyjskim		171,334	14,505,813	83.4%*)

Nie mniejsze pomieszanie żywiołów narodowych wykazuje *zabór austryacki*. Pomijając sprawę żydowską, która zresztą nie zaogniła się do tego stopnia jak w Królestwie, co można tłomaczyć natężeniem samopomocy społecznej, mamy tu do czynienia z dwoma kompleksami kwestyi: czeską i niemiecką na zachodzie, ruską (właściwie małoruską) na wschodzie. Terenem pierwszych jest Śląsk austryacki i południowo-zachodnia Galicya, drugiej Galicya wschodnia. Nie wchodząc w dyskusyę historyczno-polityczną należy stwierdzić, że dzisiejszy stan faktyczny jest następujący:

Wschodnia część Śląska, tak zw. Śląsk Cieszyński ma stanowczą przewagę liczebną polską. Statystyka urzędowa za r. 1910 wykazuje okręgi, w których Polacy dochodzą do 80% zaludnienia. Ogółem bez pow. frydeckiego, który uległ poważnie czechizacyi, Śląsk Cieszyński liczy 68% Polaków, łącznie zaś z tym powiatem 60.9%. Słusznie przeto do naszych roszczeń historycznych możemy dołączyć argument siły liczebnej i wcielić tę ziemię do obszaru polskiej przewagi etnograficznej.

Co się tyczy Galicyi wschodniej, to poza jej granicami popełnia się często, błąd uważając ją za małoruską. W sensie czysto etnograficznym Galicya wschodnia nie jest krajem polskim, ale nie jest i małoruskim. Z półtrzecia tysiąca gmin niema ani jednej, w której nie byłoby jednego

*) Wyliczone z dat podanych na str. 19 i 25.

i drugiego żywiołu. Jest to typowy obszar przejściowy między Polską i Rusią, a rozdział jest o tyle utrudniony, że jakąkolwiek postawiłoby się granicę, pozostaną po obu jej stronach gminy z większością polską i mniejszością ruską i naodwrót. Jeżeli przyszłe prawodawstwo oprze się istotnie na zasadach sprawiedliwości, to jego twórczość w kierunku ochrony praw mniejszości, znajdzie we wschod. Galicyi wdzięczne zadanie. Z punktu widzenia innych czynników wchodzących tu w grę, jak: posiadanie ziemi, organizacya społeczna, ekonomiczna i kulturalna, Galicya wschodnia ma fizyonomię polską i zdanie to musieli podzielić ci wszyscy, którzy zetknęli się z nią bliżej w czasie obecnej wojny. Zaznajomienie się ze stosunkami na miejscu rozwiało nie mniej legendę o „polskim ucisku" i wykazało, że praca polska zapuściła tu tak głębokie korzenie, że rządzić na dłuższą metę tym krajem bez Polaków byłoby bardzo trudno, wbrew zaś nim prawie niepodobna.

Z uwagi, że dla innych ziem wchodzących w skład Polski historycznej zrobiliśmy zestawienie obszarów naszej przewagi etnograficznej, wykroimy i ze wschodniej Galicyi część o przeważającem zaludnieniu polskiem z zastrzeżeniami jednak podanemi wyżej. Otrzymany w ten sposób szlak najgęstszego skupienia ludności polskiej ciągnie się wzdłuż żył naftowych i obejmuje Podole galicyjskie.

P. Wakar*) podaje następujące dane za rok 1910:

	Obszar w kilom. kw.	Ludność	W tem Polak. %
1. a) Galicya zachodnia	23,160	2,666,991	96 — %
b) „ półn.-wschod.	25,000	2,654,101	50,06%
2. Śląsk Cieszyński	2,282	361,015	60, 9%
3. Spiż i Orawa na gór. Węgrzech	?	120,000	?
Suma przybliżona	50,000 km. ?	5,800,000	74%

Reszta Galicyi wschodniej, obejmująca 30,000 km. kw. i 2.660,000 mieszkańców, w tem 700,000 Polaków została w tem zestawieniu pominiętą.

W ten sposób dochodzimy do przybliżonego obrazu „Polski etnograficznej", który przedstawiałby się w cyfrach okrągłych następująco:

*) Str. 16 cytow. książki.

	Obszar w km.²	Ludność	% lud. polskiej
1. Ziemie pod panow. Niemiec	67,000	5,200,000	62%
2. „ „ „ Rosyi	171,000	14,500,000	83%
3. „ „ „ Austryi	50,000	5,800,000	74%
Razem	288,000 km.²	25,500,000	77%

Obraz ten nie wyczerpuje jednak całkowitych liczebnych sił żywiołu polskiego. Pozostaje jeszcze reszta Polski historycznej i wychodźtwo. O ile dla tej drugiej kategoryi nie możemy żądać praw narodowościowych i winniśmy polegać wyłącznie na samopomocy, to ludność polska osiadła od wieków w granicach dawnej Polski, ma wszelkie prawo do uznania jej indywidualności narodowej i równouprawnienia obywatelskiego. Rezygnując z roli gospodarzy i właścicieli kraju nie może zrezygnować z praw historycznie osiadłej mniejszości i wszelkie prawodawstwo nie apelujące tylko do przemocy, musiało jej stanowisko uszanować.



Na mapie dołączonej do niniejszego artykułu, którą pozwoliliśmy sobie skopjować z broszury p. Wakara, uwidoczniono, jak poważnym czynnikiem gospodarczym są jeszcze dziś Polacy w tak zw. krajach zabranych.

Tu zestawimy jeszcze te dane w celu uzupełnienia przeglądu.

Na reszcie obszaru dawnej Polski mieszka Polaków:

			Ziemi prywat. w ręku pol.
W Galicyi południ.-wschodniej	770,000	(29%)	
w półn. cz. gub. suwalskiej	63,000	(17%)	
w gub. kowieńskiej	161,000	(9.8%)	
w zach. cz. gub. wileńskiej	170,000	(39.5%)	
w połud. cz. gub. grodzieńsk.	68,000	(8.1%)	49.5%
w g. mińskiej bez pow. mińsk.	130,000	(6.3%)	50.6%
we wschod. cz. gub. witebskiej	51,000	(4.9%)	33.3%
w gub. mohylowskiej	70,000	(3.3%)	27.2%
w gub. wołyńskiej	256,000	(7.6%)	47.8%
w gub. podolskiej	288,000	(8.5%)	48.5%
w gub. kijowskiej	143,000	(3.2%)	37.2%
Razem	2,170,000	10%	

Na wychodźtwie żyje Polaków;

1. W Rosyi	400,000
2. W Niemczech	350,000
3. W innych krajach Europy .	150,000
4. W Stanach Zjedn. A. Półn. .	2,900,000
5. W Brazylii	200,000
Razem .	4,000,000

Niepodobna wstrzymać się od jednej uwagi, zestawiając jakąkolwiek statystykę etnograficzną. Statystyka ludności jest wogóle prowadzoną przez władze administracyjne i służy celom polityki państwowej. Można na niej polegać przy porównaniu stosunków państw udzielnych między sobą, przy ocenie spraw gospodarczych i w znacznym stopniu kulturalnych. Tam jednak, gdzie wkracza w zakres zagadnień narodowościowo-politycznych, chroma jej objektywność, a górę często bierze tendencya. Nawet w państwach, zdawałoby się praworządnych, jak Niemcy, spotyka się w tym względzie wiele nadużyć, a samo narzucenie języka towarzyskiego jako jedynego sprawdzianu narodowości—przyczem dopuszczona jest także kategorya „dwujęzycznych" — dalej rozróżnianie między Polakami a Mazu-

rami, wszystko to świadczy o niewątpliwych intencyach zaborczych. Dla narodów więc niepaństwowych statystyka etnograficzna ma wartość względną i przedstawia w najlepszym razie minimum ich energii zbiorowej, nie ujawniając tego utajonego zasobu sił, które dopiero w warunkach niezależności państwowej wydobywają się na wierzch i wzbogacają ogólny bilans narodu.

Mimo to, nawet ten skrócony w urzędowej projekcyi obraz siły liczebnej terytoryalnej, jak nie mniej pobieżny przegląd źródeł materyalnej mocy polskiego narodu bronią przed zwątpieniem, wlewają wiarę w jasną przyszłość. Z tych suchych cyfr wyrastają rozmiary i doniosłość kwestyi polskiej, tu znajdują komentarz zabiegi w tej mierze pierwszych potęg świata.

A my, niemi uczestnicy tych niezwykłych wydarzeń nie upadajmy na duchu, przeciwnie: sursum corda! Bo w naszych oczach staje się cud, za którego ziszczenie lała się krew pokoleń: poprzez otchłań niedoli, krzywdy i łez wygnania—płynie biały ptak Piastów ku swojej odwiecznej siedzibie...

Kamienskoje w sierpniu 1916.

Dr Roman Dyboski,
prof. uniw. Jagiellońskiego.

BERNARD SHAW — RZECZNIKIEM CHRZEŚCIJAŃSTWA.

Socyalizm chrześcijański, którego rozsadnikiem już przeszło ćwierć wieku jest «Kółko Fabiańskie» (*Fabian Society*) w Londynie, w nowych i żywszych jaśnieje barwach w oczach całego czytającego świata, odkąd popularyzują go we wszystkich częściach naszego globu błyskotliwe komedye jednego z twórców owego Towarzystwa — Jerzego Bernarda Shawa.

Wydając drukiem płody swej komicznej Muzy, Shaw dodaje do nich przedmowy, traktujące zasadniczo o poruszonych w każdej sztuce zagadnieniach społecznych. Przedmowy te zwykle urastają do rozmiarów poważnych rozpraw, i poruszał w nich Shaw już tematy tak doniosłe, jak upaństwowienie stanu lekarskiego, reforma małżeństwa lub autonomia narodowościowa. Wstrząśnienie moralne wielkiej wojny rzuciło i jego dalej w głąb zagadek światowych: stanął oko w oko z walnym problematem zasad etycznych życia zbiorowego—i oto «Molière XX wieku» - jak go nazwał pewien wielbiciel amerykański — ukazuje nam się w niespodzianej roli propagatora chrześcijaństwa.

Why not give Christianity a trial? «Dlaczego nie wypróbować chrześcijaństwa?»—takiem feljetonistycznie rzuconem pytaniem rozpoczyna Shaw wstęp do książkowego wydania znanej komedyi z przed kilku lat «Androkles i lew», która, jak pamiętamy, dowcipnie igrała ze stosunkami politycznymi i społecznymi cesarskiego Rzymu za pierwszych chrześcijan, i rykami i odruchami jowialnego lwa zabawnie podkreślała myśli autora o imperyalizmie, sekciarstwie, proletaryacie i innych przedmiotach [1]).

---

[1]) «Androcles and the Lion», «Overruled», «Pygmalion». By Bernard Shaw. (Przedemną wydanie amerykańskie: Brentano, New-York, 1916, cena 1 doll. 50 cent.).

Poważniej zajął się Shaw w chwili obecnej stanowiskiem religii w porządku społecznym. Widzieliśmy wszyscy, jak podczas tej wojny wielu Polaków, zdawna żyjących w głębi Rosyi i nie wynarodowionych, ale narodowo zobojętniałych, przypomniało sobie swe pochodzenie i z zapałem rzuciło się do zorganizowanej pracy ratowniczej i oświatowej; znamy takie przykłady nawet wśród jednostek najwyżej stojących umysłowo. Podobnie wśród wykształconych Anglików — od ery Huxley'a przeważną częścią konwencyonalnie obojętnych wobec religii i wszelkie zasadnicze dyskusye o jej sprawach z ukłonem chłodnej uprzejmości zdaleka wymijających— wojna wywołała żywą potrzebę rozprawienia się z naczelnemi zagadnieniami życia.

Przykładem usiłowań w tym kierunku był już od lat znakomity fizyk Sir Olivier Lodge, mozolący się nad pogodzeniem światopoglądu naukowego z religijnym; ale książki jego, jak «Człowiek i wszechświat» lub «Rozum i wiara», żmudnie uczciwe i we wielu partyach ciężko metafizyczne, mimo znacznej cyrkulacyi, do ogółu praktycznych mózgów angielskich przemawiać nie mogły, a u kolegów po fachu — dzięki zainteresowaniu autora dla okultyzmu — spotykały się tylko z uśmiechem politowania, należnego wytworom starczej zdziecinniałości...

Inaczej do rzeczy zabiera się B. Shaw, i większe ma z góry widoki podziałać elektryzująco. Ani fizykiem, ani metafizykiem nie jest; natomiast ma pewien encyklopedyczny pogląd na historyę i znaczną miarę przenikliwej intuicyi historycznej. Ona to dyktuje mu przekonanie, wyrażone w zwykły u tego autora paradoksalny sposób na samym początku rozprawy w słowach, że od dwóch tysięcy lat ludzkość nie przestała wołać, jak żydzi do Piłata: «Nie Jego, lecz Barabasza!» (Ew. św. Mat., 27, 21) — że «Barabasz ukradł imię Jezusowe i wziął krzyż Jego za swój sztandar», że zatem prawdziwa nauka Chrystusa nie została jeszcze wypróbowaną. I stwierdziwszy, że światem rządzi bez przerwy «anti-chrześcijańska, barabaszowska» klasa ludzi z pieniędzmi, honorami i przepłacanemi zdolnościami, siwowłosy socyali--satyryk czyni następujące kapitalne wyznanie:

«Nie jestem więcej chrześcijaninem, niż nim był Piłat, lub niżeli nim jesteś ty, miły czytelniku, a jednak, podobnie jak Piłat, znacznie wolę Jezusa od Annasza i Kaifasza; i gotów jestem przyznać, że patrząc na świat

i naturę ludzką od blisko sześćdziesięciu lat, nie widzę wyjścia z nędzy świata—prócz tego, które byłaby znalazła wola Chrystusa, jeśliby On był wziął na siebie pracę nowoczesnego, praktycznego polityka».

I nie chodzi tu bynajmniej o zniechęcenie do naszej zmateryalizowanej kultury, które już niejedną twórczą jednostkę pchnęło w objęcia bezpłodnego pietyzmu. Shaw nie myśli nikogo namawiać, by rzucił pracę codzienną dla modlitwy, zarobek dla żywota żebraczego, bieżące interesy polityczne dla apostolstwa i rozmyślań o końcu świata. Nie: zdaje on sobie sprawę z tego, że «więcej wie o ekonomii i polityce niż Pan Jezus, i potrafi robić rzeczy, których tamten nie umiał» Ale właśnie na podstawie doświadczenia wieków, którem jako dzisiejszy człowiek rozporządza, doszedł do przekonania, że pewne zasadnicze postulaty Chrystusa okazały się jako politycznie rozsądne i ekonomicznie zdrowe.

Jezus, jak Go przedstawia ewangelia św. Mateusza, w życiu osobistem jest wzorem tolerackiego liberalizmu, przeciwnego askezie, hipokryzyi i egzaltacyi; w naukach moralistą pragmatycznym, wciąż uwydatniającym znaczenie czynów raczej, niż słów i wierzeń. «Zaleca komunizm, rozszerzenie prywatnej rodziny z jej krępującemi węzłami do wielkiej rodziny ludzkości pod ojcostwem Boga, zarzucenie zemsty i kary, przeciwdziałanie złu przez dobro, a nie przez przeciwstawione zło, — wreszcie organiczne pojęcie społeczeństwa, w którem istniejesz nie jako niezależna jednostka, lecz jako członek społeczeństwa, twój bliźni jest drugim członkiem, jesteście jeden drugiego członkami, stoicie do siebie w tym stosunku, co palce u tej samej ręki. I wynika stąd wniosek oczywisty, że jeżeli nie kochasz bliźniego swego, jak siebie samego, i on ci się nie odwzajemnia, to obydwaj źle na tem wyjdziecie». «Jezus był komunistą; wiele z tego, co nazywamy prawem i porządkiem, uważał za maszyneryę do obrabowania ubogich pod formami prawnemi; węzły rodzinne mienił pętami dla duszy; zgadzał się z przysłowiem: «Im bliżej kościoła, tem dalej od Boga»; widział dokładnie, że władcy społeczności winni być jej sługami, a nie tyranami i pasożytami; i choć nie kazał nam nie walczyć z nieprzyjaciółmi, kazał nam ich miłować, i ostrzegł nas, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie».

Tak w r. 1916 fabiański socyalista tłómaczy na język swego wieku stronę świecką nauki Chrystusowej.

Ale pozostaje jej strona mistyczna — pretensye Chrystusa do boskości, Jego przeświadczenie, że tylko dobrowolna śmierć męczeńska wyciśnie pieczęć doskonałości na Jego dziele, cuda, — cały nadprzyrodzony aparat, otaczający tę postać w tradycyi.

Co z tem ma począć człowiek, pragnący wprowadzić w dzisiejszą rzeczywistość istotne moralne wartości chrześcijaństwa?

Najmniej trudności sprawiają cuda. Sam Chrystus czyni je niechętnie i tylko z litości; sam żadnego rdzennego związku między nimi a swą doktryną nie ustanawia. To też tutaj nie potrzebuje Shaw silić się na oryginalność, i poprostu stwierdza—jak to uczynił na kilka lat przed nim duchowny anglikański Thompson w sensacyjnej książce: «Miracles and the New - Testament» (1909), — że ani nieprawdziwość cudów nie zmniejszyłaby dziejowego znaczenia Chrystusa, ani autentyczności ich udowadniać nie potrzeba, by Jego nauce dodać wagi.

Subtelniejsza i ważniejsza sprawa z proklamacyą boskości i zagadkową śmiercią Chrystusa, którą Ewangelie przedstawiają jako coś w rodzaju pośredniego samobójstwa. Shaw zna rodowód antropologiczny idei odkupienia: niedarmo czytał 12-tomowe dzieło J. G. Frazera: «Złota gałązka» («The Golden Bough»), które śledzi w religiach, zabobonach i obyczajach przeróżnych ludów za ideą «umierającego Boga», symboliką zmartwychwstania i analogiami do Sakramentu Chleba i Wina.

Jednak cały ten podkład socyologiczno-porównawczy mało nam pomaga, gdy racyonalistyczne myślenie stawia nas wobec konieczności takiego pojmowania faktów Ewangelii, że Jezus, genialny syn cieśli z rodu Dawida, przejął się aż do monomanii starą i powszechną legendą o «umierającym Bogu», opętany nią, jął się wikłać w takich ze swą moralną nauką sprzecznościach, jak groźba wiekuistej kary piekielnej, i z odwagą szaleńca poszedł na męki i śmierć. Odbijałoby to istotnie rażąco od prawdziwie przydatnych nauk Chrystusa i osłabiało ich powagę, gdyby musiało wchodzić jako nieodłączny składnik w rozpatrywanie tego dziejowego zjawiska. Shaw— nie inaczej niż inni nowocześni światowcy, biorący na sercy etykę Nowego Testamentu — uznał, że od teologicznej strony Ewangelii abstrahować można, i przez to oczywiście znacznie sobie zadanie ułatwił. Pozostawiając wiarę w zakresie większym lub mniejszym, jako rzecz

subjektywną, gustowi i temperamentowi czytelnika i panującym w tej dziedzinie modom, postanawia zająć się Jezusem wyłącznie «jako żywą siłą nakształt elektryczności», potrzebującą tylko wynalezienia odpowiedniej maszyneryi politycznej, aby być zastosowaną do spraw ludzkich z wynikiem przewrotowym.

«Nie można uczynić ludzi cnotliwymi przez uchwałę parlamentu»—mówi przysłowie angielskie. «Nie można ich uczynić cnotliwymi żadnym innym sposobem»—odpowiada Shaw. W niczem ten wybitny członek Towarzystwa Fabiańskiego nie jest tak typowym synem swego wieku, jak w tym kulcie dla maszyneryi politycznej, który w erze wielkich angielskich reform wyborczych XIX wieku tak namiętnie gromił i wydrwiwał Carlyle. Wszyscy dziś wyznajemy to samo bałwochwalstwo «czarodziejskiej urny», choćbyśmy najsubtelniej krzywili nosem na niemiecką *Staatsphilosophie* od Hegla do Treitschkego.

My, Polacy, wzdychając do bliskiego zbawienia w postaci polskiego sejmu i polskiej administracyi, polskich sądów i polskich szkół publicznych, ani na jotę nie różnimy się psychologią od Shawa, gdy twierdzi, że ewangeliczną radę, daną bogatemu młodzieńcowi — by sprzedał całe swe mienie i gotówkę rozdał ubogim—na wielką skalę z pożytkiem spełnić może tylko energiczny minister finansów (typu Lloyd George'a); że wskazówka, dana uczniom, by się zbyt nie troszczyli o chleb powszedni, ma sens, gdy gmina bierze w ręce zaopatrzenie ludności w żywność; że miłość bliźniego, na podstawie zależności każdego od wszystkich innych, w praktyce wyrażać się tylko może zasadą: «Każdemu obywatelowi— i każdej obywatelce—głos przy wyborach, i nikomu więcej, jak jeden głos!»

Czytając takie zestawienia, uświadamiamy sobie, jak głęboko zakorzenioną, jak żywiołową koniecznością w psychologii ogółu ludzi w dzisiejszej fazie historyi jest wiara w wyłączną owocność organizacyi państwowej wszelkich ideowych usiłowań.

Rozpowszechnienie tej wiary, to fakt najwidoczniej równie nieunikniony, jak rozrost wielkich zjednoczeń w przemyśle i zanik drobnych przedsiębiorstw. Kapitalistyczni wrogowie reform społecznych doszli do tej samej techniki myślowej, co zwolennicy tych reform. I na tle tego zrównania psychologii, czyż nie znamiennem jest zjawiskiem, że z tą samą zgodnością z różnych stron

wyciągają się ramiona ku nauce chrześcijańskiej: wczoraj zapalczywy młody arystokrata, lord Hugh Cecil, w swej cennej i głęboko przemyślanej książeczce: «Conservatism» (w seryi «Home University Library», 1912), postawił sobie i konsekwentnie przeprowadził zasadę stosowania etyki Nowego Testamentu, jako absolutnego kryteryum moralnego, do wszelkich omawianych urządzeń i haseł politycznych — i dziś Shaw pragnie zaszczepić na drzewie współczesnego państwa maksymy życiowe Chrystusa.

Właśnie dla czciciela państwowości jednak wiele nauk Chrystusowych przedstawiać się może jako propaganda czystej anarchii. Shaw znaczną część swojej świeckiej apologii wypełnił obroną chrześcijaństwa od tego właśnie zarzutu w trzech kardynalnych dziedzinach: własności, sprawiedliwości i małżeństwa. Zbyt już spowszedniały powtarzane tylokrotnie argumenty na korzyść komunizmu, by mogły wywrzeć głębsze wrażenie długie wywody autora za równym podziałem dochodów. Chociaż dla Shawa to najważniejszy punkt w całej dyskusyi, jednak właściwie trudno przyznać mu to dominujące znaczenie wobec faktu, że Chrystus wyraźnie nigdy komunistycznego programu nie rozwijał i wogóle sprawom ekonomicznym nie przypisywał tej centralnej doniosłości, co Marx i jego następcy. Ciekawsze są ustępy o sprawiedliwości i o małżeństwie. O tych sprawach istotnie Chrystus przemawia w duchu wręcz anarchistycznym, i co do nich najwierniej go kopiował Tołstoj. Trzeba całej wymowy Shawa, by przekonać przeciętnego czytelnika, że sentencya: «Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni» zgadza się z najnowszymi prądami w dziedzinie ustawodawstwa karnego, które mają przecież nadewszystko zapobiegawczą tendencyę. Trudniej poradzić sobie z niecierpliwem lekceważeniem, jakie Jezus, zalecając wszelkim pracownikom ideowym bezżenność, objawia niejednokrotnie dla małżeństwa i obowiązków rodzinnych i posuwa się wszakże aż do słów wyrzutu wobec swej Matki. O ile chodzi o poglądy Chrystusa, trzeba się ograniczyć — jak to czyni Shaw — do stwierdzenia, że nie zajmował On się w tych powiedzeniach kwestyą małżeństwa zasadniczo, a tylko stosunkiem do niej jednostek wyjątkowych, powołanych do spełnienia wielkich zadań w życiu. Trzeba jednak zarazem, zastanawiając się nad sprawą niezależnie od dorywczych aforyzmów Ewangelii, powiedzieć sobie śmiało i otwarcie, że radykalna

reforma instytucyi małżeństwa usunęłaby ze świata ogrom udręki i niewoli, ale to wyzwolenie byłoby okupione utratą niemałego kapitału szczęścia i cnoty. I tutaj zdaniem socyalisty, lekarstwem niezawodnem ma być gwarantowana przez państwo niezależność ekonomiczna każdej jednostki; nie trzeba jednak wiele rozwagi, by pojąć; jak mało istotnie reforma ekonomiczna w tym zakresie zdziałać może. Co więcej: przypominamy sobie przy tej sposobności tylko, że tak samo jak reforma małżeństwa, tak i owa bez końca zachwalana i potrosze już się w świecie dokonywująca reforma własności kupuje pewne bezsprzecznie wielkie korzyści za drogą cenę pewnych równie bezsprzecznych zalet starego porządku. Ktoś, co czyta Nowy Testament nie wyłącznie po to, by tam znaleźć potwierdzenie programu państwa socyalistycznego, mógłby nawet powiedzieć, że są pewne bardzo ważne w oczach Jezusa dążenia moralne, które jako czysto indywidualne w liberalnym ustroju społecznym daleko swobodniej rozwijać się mogą i muszą, a w nadchodzącym socyalistycznym niewątpliwie ulegną atrofii. Nietylko nad tem, co mniejsze z dwojga złego, ale i nad tem, które z dwojga dóbr większe, nieraz ludzkości mozolnie zastanawiać się wypada. Coprawda w obecnym stanie ustawodawstwa socyalnego we wszystkich krajach cywilizowanych i wobec pośpiesznych postępów na tej drodze, poczynionych już podczas wojny zwłaszcza przez Niemcy, rozmyślania nad zaletami i wadami socjalizmu i liberalizmu i nad większą harmonią jednego lub drugiego systemu z nauką Chrystusa stają się prawie że czysto akademickiemi.

*
* *

Kto się zastanawia nad chrześcijaństwem jako zjawiskiem międzynarodowem, nie mniejszą uwagę niż na Chrystusa, ma obowiązek zwrócić na św. Pawła, który Reformacyę żydowskiego kościoła narodowego przekształcił w nową religię światową.

Wielu z nas podziwia za to św. Pawła; wielu stosunek jego do Chrystusa porównało ze stosunkiem Platona do Sokratesa. Shaw przeciwnie widzi w nim początek wypaczenia chrześcijaństwa; dla niego to człowiek opętany widmem grzechu i strachem śmierci, winowajca wiszącej jak plaga nad całą historyą kościołów chrześcijańskich teoryi o grzeszności natury ludzkiej, a więc i ojciec duchowy najstraszliwszych fatalistycznych systemów

skrajnego Protestantyzmu, patron wszystkich niemoralnych zabobonów chrześcijańskich i protoplasta kast kapłańskich, co je starannie hodują. Słowem — Shaw potrzebował kozła ofiarnego, na którym mógłby wywrzeć cały swój gniew za wykoszlawienie nauki chrześcijańskiej, za te »dziewiętnaście wieków rosnącej ciemności, przerywanej tylko przebłyskami w dobie Reformacyi i Odrodzenia, a dochodzącej wreszcie do nocy kramarskiego zaślepienia w naszych czasach«. I szukając jaknajdalej w głębi dziejów, znalazł tego kozła ofiarnego w apostole Grecyi i Rzymu, w mądrym i wymownym twórcy kosmopolitycznego chrześcijaństwa. Nie oszczędza zresztą i innych apostołów, nadewszystko Piotra; tylko jako człowieka ograniczonego nie zaszczyca go tak długą filippiką jak owego obywatela rzymskiego, który dlań jest i Savonarolą i Loyolą i Kalwinem w zarodku.

Zapomniał w swym polemicznym zapale znakomity Irlandczyk o popularnej w Irlandyi anekdocie, według której stara baba wiejska na czyjeś skargi z powodu złej pogody powiedziała: »Zawsze to lepsze, ni ż gdyby żadnej pogody nie było«. Bez św. Pawła chrześcijaństwo byłoby pozostało sektą prowincyonalną, jakich setki wydał rozkład imperyum rzymskiego; kwestya wskrzeszenia nauk Chrystusowych nie mogłaby dziś stać na porządku dziennym, i ludzkość, prócz innych, donioślejszych przeżyć, byłaby pozbawiona przyjemności czytania dowcipnej przedmowy do »Androklesa i lwa«.

Mówiąc bez żartów: obłędny »horror grzechu«, przypisywany przez autora Pawłowi, może się wyrodzić w terroryzm Torquemady lub zbiorowe całopalenia sekt rosyjskich; ale w założeniu opiera się na słusznej ocenie ułomnej i niedoskonałej natury ludzkiej. Inicyator wielkiego ruchu umysłowego musi być idealistą, jak Jezus; zaś jego popularyzator — realistą, jak Paweł. By genialną myśl twórczą w rodzaju Jezusowej ująć w ramy organizacyi zdolnej do życia w zmiennych warunkach dziejowych i obejmującej cały świat ludzki,/ trzeba jej w dogmatycznem sformułowaniu ująć coś z pierwotnej, wymarzonej świeżości i piękna dla nadania tworowi należytego hartu i odporności. Czyniąc to jak umiał, Paweł naraził swą pamięć na poniewierkę w rękach wielbicieli »czystego chrześcijaństwa«, okazał jednak w każdym razie wytrawniejszą znajomość przeciętnej psychiki ludzkiej od wszystkich ideologów socyalizmu.

* * *

Często daje się zauważyć, że ludzie zgłębiający religie Wschodu, jak Zoroastryanizm lub Buddyzm, wynoszą stamtąd pewien wstręt do chrześcijaństwa za to, że kupuje sobie wyznawców przynętą wiekuistej nagrody, i we wszystkich swych formach, czy to protestanckich, czy katolickich, większy kładzie nacisk na wiarę niż na czyny. Shaw widzi związek między widocznem w ostatnich dziesięcioleciach — szczególnie w Anglii — oczyszczeniem atmosfery umysłowej od starych przesądów przeciw liberalnej myśli religijnej, a — rozrostem kolonialnych posiadłości Francyi i Wielkiej Brytanii. Król angielski jeszcze nosi tytuł »obrońcy wiary«, ale jakiej wiary istotnie broni, gdy Indye, perła korony brytyjskiej, na 316½ miliona ludności liczą zaledwie 4 miliony chrześcijan, a ogólny procent ludności chrześcijańskiej w imperyum wynosi 11? Wyznanie anglikańskie, ani wogóle chrześcijaństwo, nie może już być określone jako religia państwowa Zjednoczonego Królestwa; i byłoby tylko rzeczą logiczną pójść za przykładem Francyi, która z 35% chrześcijan wśród ludności swych terrytoryów, ogłosiła Republikę państwem bezwyznaniowem.

A jednak wszelki rząd musi być oparty na jakimś poglądzie na świat, podawanym za aksyomat, a więc na jakiejś religii; i dogmatami tej religii muszą być zasady tak ogólnie przyjęte, by się ogółowi obywateli wydawały postulatami zdrowego rozsądku. »Umysł otwarty jest niezdolny do czynu«, stwierdza Shaw tonem obojętnym, jako prawdę oczywistą dla każdego; i nas, narodzonych na schyłku ery Cobdena, Milla i Gladstone'a, takie powiedzenie bynajmniej nie przejmuje tym dreszczem, jakim byłoby przejmowało tych apostołów klasycznego liberalizmu i ich rówieśników. Oprócz więc innych liberalnych przesądów nowe państwo socyalistyczne załatwi się i z przesądem swobody sumienia, i oprócz innych podobieństw do państwowości średniowiecznej będzie miało i powszechnie obowiązujące dogmaty religijne. Zaiste przypominają się słowa cesarza Mikołaja I do Polaków: »Je ferai votre bonheur malgré vous!«.

I tu właśnie z pomocą przychodzi nauka Chrystusa, który zalecał nie tępienie heretyków, lecz szerzenie opinii pozytywnych. »Niema niczego w nauce Jezusa, na co nie mógłby się zgodzić braman, muzułmanin, buddysta lub żyd, o ile tylko ich nie chcemy nawracać na chrze-

ścijaństwo«. W tym sensie rolę misyonarza na siebie ma wziąć państwo zamiast organizacyi religijnych, i wolni będziemy od niebezpieczeństwa, by nawróceni przez gorliwych księży murzyni senegalscy, co walczą w szeregach francuskich, użyli swych wybornych karabinów na wojnę krzyżową przeciwko bezbożnemu Paryżowi. Ale nie będzie tego nietylko z tego powodu, że w erze socyalistycznej murzynów już nie będą nawracali fanatyczni księża, lecz i dlatego, że wówczas Paryż już nie będzie bezbożnym.

Kazań, w sierpniu r. 1916.

Jerzy Kurnatowski.

W PRZEKROJU.

Pragnę ująć w zwięzłym skrócie poglądy étyczne i socyalne, które sobie wyrobiłem: przedstawić je niejako w przekroju. W chwili bankructwa starych ideałów i poszukiwania nowych, sądzę, że takie *exposé* będzie na czasie.

I.

Etyką zainteresowałem się dlatego, że zarówno idealizm, jak i materyalizm nie wystarczały mi. Nie zaspakajał mnie także pozytywizm, spokojnie odsuwający raz na zawsze wszystkie zagadnienia początku, końca i celu. A centralnym punktem w filozofii była dla mnie etyka, żądanie odpowiedzi na pytanie: dla czego, w imię czego mam postępować tak, a nie inaczej?

Nakazy moralne muszą wynikać z jakiegoś ogólnego światopoglądu, aby je uzasadnić, trzeba więc ten światopogląd sobie wypracować.

Zwrotnym momentem w ewolucyi materyi jest przejście od materyi nieorganicznej do materyi organicznej, od martwej do żywej — i zwykły materyalizm przyjmuje tę ostatnią za wytwór pierwszej. Ja — idąc w tej mierze za neo-witalistami, za Guyau przedewszystkiem, który wywarł na mnie ogromny wpływ — odwracam ten stosunek i uważam życie za zjawisko pierwotne, śmierć —

za zjawisko wtórne. Dowodzę nawet, że w doświadczeniu mamy dane tylko przedmioty martwe, zrobione z żywych, lub martwe z martwych, lecz rzeczy żywych przerobionych z martwych niema.

Przyjąwszy pierwotność materyi organicznej i teoryę ewolucyi, mogłem już — bez wpadania w dualizm — umieścić zaczątki najwyższych naszych zdolności duchowych w zarodku, w stanie potencyalnym, w tej pierwotnej materyi organicznej. W pra-materyi tej już jest życie. Cechuje zaś każde życie potrójny proces: wchłaniania (zdobywania sobie pewnych niezbędnych do życia rzeczy), przetwarzania ich w sobie i produkowania. Tak zwanej natury więc bynajmniej nie cechuje wyłącznie walka, bo obok momentu walki, związanego z procesem wchłaniania, i to nie zawsze, mamy nieświadomie twórczy proces przetwarzania i nieświadomie altruistyczny proces produkowania. W mojem «Dobro i Zło» dla określenia tego procesu używam wyrażeń: zachłanność, przetwórczość i rozlewność. Jabłoń, która darowuje nam jabłko, a my je wchłaniamy, działa nieświadomie altruistycznie dla nas, nie krzywdząc siebie. W rozwoju materyi organicznej jest znów jeden moment zwrotny, a mianowicie: ukazanie się świadomości. Dla nas świadomość powstaje, jako rezultat wspomnienia pierwszego udatnego doświadczenia po następnych takich samych nieudatnych doświadczeniach. Wynika z odczuwania braku tego, co już raz było osiągnięte.

W naturze tedy życie jest zjawiskiem pierwotnem, ewolucya — ogólną regułą tego życia, i świadomość—pochodnią, która się zapala w pewnej chwili i oświeca drogę ewolucyi.

W ludzkości, która jest cząsteczką natury, musi być to samo. W ludzkości także jest życie, także rozwój tego życia jednostkowego i zbiorowego, także to, co poniekąd stanowi objektywne kryteryum tego rozwoju, a mianowicie: bio-genetyczne prawo Haeckla (każda istota wyżej rozwinięta w wielkim skrócie za młodu odtwarza wszystkie stadya rozwojowe swoich przodków i dopiero na tem tle nadbudowuje swoje własne «ja»), oraz dziedziczenie cech nabytych (neo-lamarckistów: «funkcya tworzy organ», a nie odwrotnie, — zawsze zwalczałem Weissmana).

Na takich przesłankach metafizycznych, biologicznych i socyologicznych oparłem mój system etyczny.

Zbudowałem go najprzód w stosunku do jednostki,

następnie skorygowałem, wprowadziwszy pierwiastek zbiorowości, aby w ten sposób dojść do imperatywów, obowiązujących jednostkę żyjącą w społeczeństwie.

Jeżeli ludzkość jest cząstką materyi organicznej, podlegającej rozwojowi — to czyż podobna człowiekowi, zapytującemu co ma robić, odpowiedzieć inaczej, niż «przedewszystkiem masz tak robić, abyś żył». Najogólniejszym więc nakazem etycznym, jaki należy dać jednostce, jest ten, aby żyła.

Jednak życie wyklucza stanie w miejscu; co się nie rozwija, to się cofa. «żyj» znaczy więc «rozwijaj się!» Jeżeli porównamy jakiekolwiek niższe stadyum rozwoju z wyższem, to widzimy, że proces wchłaniania, przetwarzania i produkowania jest słabszy, w niższem stadyum, niż w wyższem. Jednostka mniej rozwinięta mniej potrzebuje, gorzej przetwarza i mniej i gorzej produkuje, niż jednostka wyżej rozwinięta. Rozwijaj się — znaczy więc: pielęgnuj twoją zachłanność, przetwórczość i rozlewność, bierz jaknajwięcej, przerabiaj to jaknajstaranniej i produkuj jaknajwięcej.

Dalej należy się zastanowić, w jakich warunkach proces ten może odbywać się jak najintensywniej. Wiemy, że dziedziczność złożyła w każdym z nas całą masę najrozmaitszych zdolności, i to w stopniu bardzo nierównomiernym. Już w dzieciach łatwo zauważyć upodobanie do pewnych zajęć i niechęć do innych. Oczywista rzecz, że człowiek najchętniej robi to, co lubi robić, do czego ma zdolności, co mu się udaje, w czem łatwo robi postępy. Wówczas sam — wiedziony jakby wyższą siłą — będzie zewsząd gromadzić jaknajwięcej materyałów, będzie je przetwarzać jak najstaranniej i będzie produkować najlepsze rzeczy, na jakie go wogóle stać. Słowem—nakaz życia, a więc rozwijania się, a więc robienia go intensywniejszem — bywa wykonywany najlepiej, gdy to życie jest poświęcone pracy, odpowiadającej najwybitniejszej zdolności jednostki.

Ztąd mój wielki kategoryczny imperatyw etyki indywidualnej: z n a j d ź w s o b i e p o w o ł a n i e i p o ś w i ę ć m u ż y c i e. Jest to zresztą fourrierowski «travail attrayant», inaczej tylko umotywowany. Od wszelkiego kantyzmu jesteśmy tu oczywiście o setki mil, natomiast może niezbyt wielka dzieli nas odległość od Spinozy i Leibnitza.

Nakaz ten jednak musi być skorygowany przez wprowadzenie czynnika kollektywu. W tej formie, w jakiej

dotąd jest, mógłby być obalony przez pierwszego lepszego analfabetę w filozofii. Jeżeli ktoś ma powołanie— dajmy na to—do wyciągania cudzych portmonetek z kieszeni i genialnie to robi—toć trudno uważać go za wzór cnoty. A więc trzeba pogodzić nakaz indywidualny z nakazem zbiorowym. Trzeba najprzód sformułować ten ostatni.

Społeczeństwo także podlega ewolucyi i każde stadyum tej ewolucyi posiada pewne minimum pojęć, zasad i doświadczeń, obowiązkowe dla wszystkich swoich członków, każde ma to, co ja nazywam «idée maîtresse». Te ideje także podlegają ewolucyi, lecz każde określone stadyum, jak powiadam, posiada pewną ich ilość w pewnej formie. Otóż jest zadaniem wychowania, aby panujące zdolności jednostki, mogące być substratem jej popowołania, doprowadzić przynajmniej do obowiązkowego minimum pojęć danej epoki. W naszej epoce wyciąganie portmonetek z kieszeni nie uchodzi (istnieją dużo doskonalsze metody całkiem h o n o r a b l e s wyciągania cudzych pieniędzy), lecz nasze indywiduum, które to genialnie robi, jest niewątpliwie zręczne, sprytne, zwinne i — jeżeli przez wychowanie doprowadzimy te zdolności do poziomu idei — maîtresse naszej epoki, to damy mu powołanie żokeja, cyklisty, akrobaty, szofera, w którem sam będzie szczęśliwy i dla ogółu pożyteczny. Całkowicie załagodzić konfliktu indywiduum z kollektywem niepodobna, bo w każdym kollektywie obok przeciętnej masy są spóźnieni, których żadną miarą niepodobna doprowadzić do progu idei panujących danej epoki (uomo delinquente—uomo ritardato, formuła, zdaje się, Garofalo), z tych rekrutują się zbrodniarze, oraz przedwcześni, których cała produkcya jest niezrozumiała i niepożyteczna dla danego kollektywu. Stanie się nią dopiero w przyszłości. Z tych rekrutują się geniusze. W konflikcie kollektywu z przedwczesnymi tkwi zresztą zarodek ewolucyi samego kollektywu. Natomiast konflikt kollektywu ze spóźnionymi jest warunkiem utrzymania się kollektywu na innym poziomie. Kollektyw nic na takim konflikcie nie zyskuje.

Słowem — indywidualny nakaz znalezienia powołania i poświęcenia mu się wymaga kollektywnego skorygowania przez nakaz doprowadzenia zdolności, będących substratem powołania, do poziomu panującej idei danego stadyum ewolucyi.

No — ale bywają wypadki, w których rozwój życia

w kierunku powołania stawia nas u progu ryzyka śmierci. Czy i wtedy obowiązuje nas ogólny imperatyw życia? Czy żołnierz ma unikać bitwy, bo może być zabity? Czy awiator ma przestać latać, bo może upaść?... Czy myśliciel ma przestać pisać, bo może dostać zapalenia mózgu?...

Oczywiście — unikanie niebezpieczeństwa w takich wypadkach byłoby zmniejszaniem życia. Człowiek lubi ryzyko i to także jest cząstką tej pełni życia, do której dąży. Zresztą, czyż nie lepiej umrzeć niespodziewanie, w pełnym biegu działalności, niż pozwolić na powolne, długie, męczące dopalanie się knota w lampie?...

No — ale i kollektyw może być zagrożony; kollektyw ma także swoje walki. Dobrze, jeżeli walka w obronie kollektywu lub w imię jego ekspansyi, jest powołaniem jednostki — wtedy niema konfliktu; lecz jeżeli jednostka ma inne powołanie?

Przedewszystkiem w rozdziale o «etyce społecznej» mówię o specyalizacyi pracy pomiędzy zrzeszeniami, do których jednostka powinna należeć jednocześnie, każdemu poświęcając cząstkę swojego «ja». Największą cząstkę oczywiście powinna poświęcać zrzeszeniu, odpowiadającemu powołaniu (np. lekarz — Towarzystwu Lekarskiemu, nie zaś — dajmy na to — klubowi szachistów), lecz pewną cząstkę musi poświęcać i zrzeszeniom, odpowiadającym innym zdolnościom, a więc i innym kollektywom.

Otóż — o ile istnienie jakiegoś innego kolektywu jest potrzebne do istnienia i do rozwoju mojego kollektywu, to muszę bronić tego innego kollektywu, aby utrzymać mój własny, który z kolei jest niezbędny do intensyfikacyi mojego powołania. Fidjasz powinien był bronić Grecyi przed Persami, choćby dlatego, że Persowie mogli mu byli kazać rzeźbić jakichś ohydnych Baalów i Molochów — zamiast potężnego Zeusa i cudnej Afrodyty...

S. p. prof. Henryk Struve, krytykując całą tę teoryę w «Przeglądzie Filozoficznym», stawia zarzut, że nie daję dostatecznego kryteryum ewolucyi, że nie wskazuję, czem mianowicie różni się wyższe stadyum rozwoju od niższego; zapytuje wreszcie, kto ma być sędzią tej wyższości, lub niższości, dostosowania lub niedostosowania do poziomu idei panującej epoki?

Odpowiedziałem, że dla nas ewolucya — to jest postęp, a postęp ma się w stosunku prostym do panowa-

nia człowieka nad naturą i w stosunku odwrotnym do panowania człowieka nad człowiekiem. Ta lapidarna formuła (Guyot) daje obiektywne kryteryum rozwoju ludzkości, streszcza i uzupełnia biogenetyczne prawo Haeckla. A sędziami oczywiście muszą być wszyscy ci, co doszli do podobnych poglądów.

Nad etyką pracowałem od 1906 roku. Później pochłonęła mnie socyologia czysta i «stosowana». Zresztą później w Warszawie zapanował krańcowo dualistyczny neo-scholastycyzm, w Paryżu paradoksalnie pluralistyczny bergsonizm, w Anglii płytko utylitarystyczny pragmatyzm. Nie zmieniłem mojego monizmu neo-witalistycznego wobec tych prądów. Określiłem jedynie mój stosunek do nich w odczycie p. t. «Twórczość społeczna», wygłoszonym w Towarzystwie Literacko-Artystycznem lewego brzegu na rue Denfert-Rochereau.

Mój system etyczny wyłożyłem w pracach, wydanych książkowo p. t. «Dobro i Zło», «Zasady moralne» i «Moralność i Życie», oraz w wielu pracach, drukowanych w różnych miesięcznikach, z których referat p. t. «Zrzeszenie, jako czyn niketyczny», wygłoszony w sekcyi filozoficznej zjazdu przyrodników i lekarzy we Lwowie, a drukowany w «Przeglądzie Filozoficznym», jest bodaj najważniejszy.

II.

Solidaryzm, moja zasadnicza doktryna społeczna, jest w ścisłym związku z poglądem na życie, jako na zjawisko w swej istocie z konieczności rzeczy częściowo altruistyczne. Istotnie — już w naturze obok współzawodnictwa mamy współdziałanie, obok walki — solidarność. Stosunek solidarności pomiędzy żywemi istotami zachodzi wówczas, gdy jedne z nich dają innym cóś dla nich potrzebnego, samym nic na tem nie tracąc lub nawet zyskując. Stosunek wymiany — gdy zamiast rzeczy ofiarowanej, nam nie potrzebnej, otrzymujemy inną dla nas potrzebną. Stosunki solidarności i wymiany zachodzą zarówno pomiędzy poszczególnemi istotami, jak i pomiędzy najrozmaitszymi kollektywami zwierzęcymi i ludzkimi, neutralizując momenty walki, które bynajmniej nie są regułą. Podniesienie walki o byt, walki ras, walki klas do godności jakichś dogmatów, wszystko tłomaczących, było wprawdzie symptomatem zdziczenia, któremu uległa Europa w drugiej połowie XIX-go wieku, lecz z prawdą naukową nie ma nic wspólnego, gdyż obok

momentu walki mamy w rzeczywistości momenty solidarności i wymiany. W miarę rozwoju społeczeństwa ludzkiego momenty walki ustępują na drugi plan wobec momentów solidarności, gdyż świadomość dąży do takiego zorganizowania ludzkości, aby walki pomiędzy ludźmi ustały, a cała zorganizowana na zasadzie wymiany usług ludzkość zajęła się dostosowaniem natury do potrzeb ludzkich. Towarzystwo akcyjne »Człowiek« ma zająć się eksploatacyą majątku »Ziemia z przyległościami«. I istotnie — w miarę tego, jak ludzkość od dzikości przez barbarzyństwo dochodzi do cywilizacyi, wojna staje się rzadszą, praca ludzka intensywniejszą, wymiana usług żywszą. Jednak moment walki nie znika i prawdopodobnie nigdy nie zniknie.

Ewolucya społeczeństwa ludzkiego idzie podobnie jak ewolucya organizmu, a mianowicie przez wciąż potęgujące się działanie podziału pracy i podziału jednorodnej masy socyalnej na wyspecyalizowane kasty czy klasy. Dopóki wyspecyalizowana grupa oddaje całości społecznej te usługi, do których oddawania została powołana, otrzymuje ona wzamian wynagrodzenie. Jednakże często się zdarza, że prawem inercyi dana grupa jeszcze otrzymuje wynagrodzenie, a już usług nie oddaje i trzeba ją zastąpić inną jakąś grupą lub cały organizm społeczny inaczej jakoś przekształcić. Słowem — organizm społeczny, jak i organizm zwierzęcy miewa zawsze swoje wyrostki robaczkowe, swoje ślepe kiszki, które trzeba wycinać. Nie można przesadzać analogii pomiędzy społeczeństwem, a organizmem. Dlatego w stosunku do społeczeństwa można z góry przyjąć za zasadę, że wszelkie zamiany grup niepożytecznych na pożyteczne, grup pobierających zbyt wielkie wynagrodzenie za swoje usługi na grupy pobierające za nie umiarkowane wynagrodzenie, odbywać się będą najłatwiej i najmniej boleśnie wówczas, gdy wszystkie indywidua, składające społeczeństwo i jego grupy, będą najbardziej uzdolnione do pracy.

W myśl tych przesłanek, solidaryzm dowodzi, że niezależnie od przyszłych przemian, maksymalne uzdolnienie do pracy każdego indywiduum jest niezbędne dla obecnego społeczeństwa. Jest ono bezwzględnie niezbędne, jeżeli przez społeczeństwo rozumiemy zbiór indywiduów. Jest względnie niezbędnem, jest niezbędnem tylko dla grup żywotnych i pożytecznych, jeżeli przez społeczeństwo rozumiemy konglomerat grup socyalnych.

Aby uzdolnić człowieka do pracy, trzeba mu przede-

wszystkiem umożliwić życie. W 1848-ym r. głoszono «prawo do pracy». Solidaryzm głosi «prawo do życia» i dowodzi, że społeczeństwo w imię interesów wszystkich składających go jednostek musi każdemu prawo to zagwarantować. Człowiek silny, zdrowy, mający zawód w ręku — jest zawsze potrzebny innym, zawsze będzie produkować usługi, które inni zechcą we własnym interesie wymieniać. Człowiek słaby źle pracuje, człowiek chory nie tylko wcale nie pracuje, lecz — jeżeli go nie leczyć — zaraża swoją chorobą innych, człowiek niewykształcony nie mógł natrafić na swoje powołanie i marnuje się w pracy, nieodpowiedniej do swojej zdolności. Wreszcie człowiek, który nie umie pracować, często staje się przestępcą, z którym społeczeństwo walczy i wydaje na tę walkę znaczne sumy. A więc w interesie społeczeństwa leży, aby ubezpieczyło ono swoich członków od ciemnoty, która nie pozwala na odnalezienie w sobie zdolności do najprodukcyjniejszej pracy, i od wszelkich katastrof życiowych, które przerywają bieg pracy, wywołują nędzę, choroby i zbrodnie Złagodzenie każdej takiej katastrofy zmniejsza zło indywidualne i zło ogólne, przyczem każdy z nas jest na nie narażony: każdy może zachorować, każdy może wpaść w nędzę, każdy jest narażony na ryzyko zostania ofiarą zarazy i zbrodni. Skoro każdy z nas jest narażony na ryzyko katastrof życiowych, to wszyscy powinniśmy się wzajemnie od nich ubezpieczyć. Chociaż nie każdy otrzyma wynagrodzenie, lecz każdy musi wnosić składki, bo od ryzyka nikt nie jest wolny. Ztąd praktyczny postulat solidaryzmu, wielkiego systemu ubezpieczeń społecznych, któreby ubezpieczały wszystkich członków społeczeństwa od katastrof życiowych, uzupełniony oczywiście systemem powszechnej i obowiązkowej oświaty, która jest ubezpieczeniem od ciemnoty. Postulat ubezpieczeń społecznych jest zupełnie wykonalny, teoretycznie zupełnie wystudyowany, wymaga tylko pieniędzy, mówiąc wyraźnie, wymaga, aby przynajmniej połowa tych miliardów, które idą na cele wojenne, została poświęcona na ubezpieczenia społeczne. Poza tem żadnych innych przemian społecznych praktyczny postulat solidaryzmu nie wymaga. Solidaryzm uzasadnia swój postulat nietylko ogólnym interesem jednostek składających społeczeństwo, lecz i wspólnym interesem żywotnych grup, z których się to społeczeństwo składa. A więc wysokie zarobki przemysłowców bynajmniej nie przeczą interesom robotników: są dowodem,

że przemysł kwitnie i że robotnicy mogą także żądać wyższych zarobków, a w każdym razie są zabezpieczeni od braku pracy. Z drugiej strony krótszy czas pracy robotnika nie przeczy interesowi przedsiębiorcy, bo robotnik wypoczęty pracuje lepiej. Wyższe zarobki robotników także nie przeczą interesom przedsiębiorców, gdyż robotnicy zarabiający więcej, wydają więcej i tworzą ten wewnętrzny rynek zbytu, który jest dla przemysłu najcenniejszą i najdogodniejszą rzeczą, jakiej mogą pragnąć.

Słowem — w obecnem społeczeństwie solidaryzm obok walki klas widzi solidarność klas, obok współzawodnictwa jednostek widzi współdziałanie jednostek, w ciemnocie i nędzy każdej jednostki widzi niebezpieczeństwo publiczne — i w imię tych poglądów żąda wprowadzenia systemu obowiązkowej oświaty, obowiązkowych ubezpieczeń społecznych, oraz sądów rozjemczych pomiędzy przedsiębiorcami i robotnikami, słowem żąda wprowadzenia takich urządzeń, któreby zabezpieczyły każdą jednostkę przed ciemnotą i przed nędzą, oraz pozwalały jej, jak można najmniej, przerywać bieg pracy.

W tej mierze — z mnóstwa rzeczy, jakie napisałem i przetłomaczyłem — mogę wymienić: tłomaczenie klasycznej pracy Leona Bourgeois: «La Solidarité» (wyszło w miesięczniku «Kultura» Pietkiewicza), «Solidaryzm» — według wykładów Gide'a, O Solidaryzmie, Rozejm pomiędzy pracodawcami a pracownikami, (wyszły w wydaniach książkowych), Ubezpieczenia społeczne i robotnicze (drukowane w »Gazecie Sądowej», w «Myśli Polskiej», w «Pracowniku Handlowym», w «Bulletin des Assurances Sociales» i t. d.), książka Esquisse d'evolution solidariste. Nie mogę zapełniać stronnic własną bibliografią.

Solidaryzm jest integralną częścią składową moich teoryi socyalnych, na nim one się jednak bynajmniej nie kończą. Postulaty solidarystyczne muszą być wykonane w imię elementarnych interesów rozwoju rasy ludzkiej, inne — o których teraz zamierzam mówić — powinny być dokonane, już nie w imię elementarnych, lecz wyższych interesów cywilizacyi.

Juz — mówiąc o solidaryzmie — powiedziałem, że społeczeństwo — ów quasi organizm — składa się z klas żywotnych i nieżywotnych. Oczywiście przejście od żywotności do nieżywotności i odwrotnie nie jest dziełem chwili. Żywotność przytem danej klasy polega na tem,

że stwarza ona instytucye-organy, któremi sama kieruje, a które są jednocześnie niezbędne dla życia i dla rozwoju całości. W XIX-ym wieku najżywotniejszą klasą, tą, która organizowała produkcyę i wymianę, zakładała fabryki, banki, koleje, magazyny, była oczywiście burżuazya — i to nie drobna szewcko-sklepikarska, a wielka burżuazya, wiele ryzykująca i wiele zarabiająca. Zasługi tej imponującej klasy dla ogólnego rozwoju są niewątpliwe, lecz i ona — wzorem wszystkich panujących klas, jakie istniały — zaczyna zbierać, o wiele za wiele więcej, niż posiała, zaczyna otrzymywać wynagrodzenie nieproporcyonalnie wielkie do usług, jakie oddaje Oprócz tego — w przodujących krajach świata — proletaryat, który początkowo zdobywał się jedynie na niszczycielskie i bezcelowe bunty, teraz organizuje się gospodarczo i zaczyna bić burżuazyę jej własną bronią, a mianowicie zakładać swoje magazyny, swoje fabryki, swoje banki, swoje koleje, które jeszcze lepiej wykonywują funkcye wymiany i produkcyi, niż odnośna instytucye burżuazyjne, a nie dają nikomu niezasłużonych osobiście przywilejów ekonomicznych, nie dają tego, co Anglicy nazywają, dochodem bez pracy. I w tej mierze organizacya nowych instytucyi zbiorowych, znoszących dochody bez pracy, leży niewątpliwie na wielkiej drodze ewolucyi ludzkości i należy ją w imię rozwoju ludzkości popierać.

Przeciętny inteligent w Rosyi i w Polsce po przeczytaniu tego zdania nie wie, o co chodzi. Trzeba więc kłaść kropki nad i, pomimo konieczności streszczenia się do rozmiarów jednego artykułu.

Roczdalski system kooperatywy spożywczej (który — jak zapewne wiadomo — oprócz teoryi ma za sobą olbrzymie praktyczne już osiągnięte rezultaty) ruguje drogą zwykłej konkurencyi kapitalistyczny handel i przemysł wprowadza natomiast swój kollektywistyczny handel i przemysł, uspołeczniając — w całem znaczeniu tego wyrazu — środki produkcyi. Przedsiębiorcę — jednostkę lub przedsiębiorcę — grupę jednostek zastępuje przedsiębiorca — ogół. Nie wchodzę tu w szczegóły. Przypuszczam, że termin «Kooperatywa roczdalska» jest znany i zrozumiały.

Kooperatywa roczdalska nie ma dziś nieprzyjaciół na lewicy, ma tylko sceptyków, którzy twierdzą primo: że nie może ona poprawić zasadniczo bytu s w o i c h pracowników, secundo: nie może ogarnąć c a ł e g o przemysłu, handlu i rolnictwa.

Co do pierwszego zarzutu, to kooperatywa roczdalska bynajmniej nie wyklucza związku zawodowego i jego działalności; sprawia tylko, że robotnik kooperatywy może być, w jednej i tej samej osobie, członkiem organizacyi pracowników, jako członek związku zawodowego i członkiem organizacyi przedsiębiorców, jako członek kooperatywy spożywczej. Gdy system roczdalski ogarnie całą gospodarkę, obydwie organizacye: kooperatywno-przedsiębiorcza i zawodowo-pracownicza pozostaną, tylko do obydwóch należeć będą ci sami ludzie co z natury rzeczy usunie ostre tarcia.

Drugi zarzut jest racyonalniejszy, lecz nie zapominajmy, że obok przedsiębiorstw kooperatywno-roczdalskich, mamy przedsiębiorstwa gmin, miast, prowincyi, mamy cały imponujący i wciąż wzrastający gmach t. zw. socyalizmu municypalnego. W tego rodzaju przedsiębiorstwach znowu robotnik, jako robotnik, jest tylko członkiem związku zawodowego, lecz — jako obywatel miasta — jest pośrednio swoim własnym przedsiębiorcą. Naturalnie, aby tak istotnie było, robotnik musi być absolutnie równouprawnionym obywatelem miasta, musi istnieć powszechne i równe prawo głosowania.

Zupełnie to samo stosuje się do przedsiębiorstw państwowych. Jeżeli państwo jest demokratyczne, jeżeli jest oparte na powszechnem i równem głosowaniu, na odpowiedzialności rządu i t. d. — to przedsiębiorstwa takiego państwa są przedsiębiorstwami ogółu, a więc przeważnie przedsiębiorstwami proletaryatu, najemników, bo ci stanowią większą część ludności. Obecnie z konieczności rzeczy — rozwój przedsiębiorstw państwowych (monopolów) pójdzie bardzo szybko. Tem ważniejszą jest więc rzeczą, aby państwa były politycznie demokratyczne.

Wogóle na rozwoju przedsiębiorstw kooperatywno-roczdalskich municypalnych i państwowych, które z czasem — o ile będą dobrze prowadzone — zastąpią przedsiębiorstwa prywatne, polega cały socyalizm. Socyalizm niczem innem nie jest i być nie może. I im prędzej we wschodniej Europie zapanuje taki pogląd (w środkowej, t. j. w Niemczech, już faktycznie zapanował: Kautsky produkuje tylko na wschodnie rynki), tem lepiej, tem więcej zyskanego czasu i mniej zmarnowanych wyników.

Ks. prof. Al. Woycicki.

DZIEJE ROZWOJU KLASY ROBOTNICZEJ FABRYCZNEJ W KRÓLESTWIE POLSKIEM.

Monografia historyczno-społeczna.

(Ciąg dalszy).

ROZDZIAŁ II.

Powstanie klasy robotniczej fabrycznej.

Szybki rozrost przemysłu, powstanie dużych przedsiębiorstw kapitalistycznych, ustanowienie Banku Polskiego, rozwój handlu i komunikacyi w Królestwie Polskiem—wszystko to zmieniło do gruntu budowę gospodarstwa narodowego, a jednocześnie odbić się też musiało i na innych stronach polskiego społecznego bytu. Rozwój form kapitalistycznych gospodarstwa narodowego wyraziście odbił się na ogólnym postępie życia społecznego. Dawne stosunki patryarchalne zaczęły ustępować miejsca nowym. Poddaństwo upadło; byt społeczny został oparty na normie prawnej wedle wzoru współczesnego narodów zachodnich.

Nastąpiło znaczne ożywienie w całym organiźmie społecznym, będącym dotąd w stanie apatyi i bierności. W kraju całym dał się odczuć mocny, świeży powiew, którym oddychano lżej, — już nie ten, jakim oddychała dawna Polska szlachecka. W społeczeństwie polskiem przebudziła się dążność do zdobywania zysku, bogactwa. Szybko tworzyć się poczęły wielkie fortuny przedstawicieli mieszczaństwa, zjawiły się zarazem nowe typy działaczy...

Słowem — arystokracyę rodową, ziemiańską zastępować poczęła arystokracya finansowa. Tam, gdzie dotąd płynęło ciche, spokojne życie, teraz szumieć zaczął po-

tok, unoszący z sobą resztki starych form społecznych i oczyszczający miejsce dla nowych [1]). Polska pierwszej połowy XIX wieku — to już nie Polska stulecia XVIII. W dawnej Rzeczypospolitej czasów Stanisławowskich zaledwie śmiano marzyć o prawach równościowych dla mieszczan. Obecnie prawa te stały się udziałem wszystkich obywateli, całej masy prostego ludu; powstają tendencye równościowe, których przedtem nie znano wcale; tylko jeszcze nie zdołano teraz rozwinąć ich należycie.

W szczególności przemysł fabryczny wytworzył na polu społecznem u nas dotąd nieznaną klasę ludzi, żyjących wyłącznie z pracy rąk własnych, zajętych przez kapitał. Warstwa ta tworzy się z przybyszów zagranicznych i z żywiołu ludowego miejscowego, który teraz ma już wolność wyboru zajęcia.

W miarę rozwoju kapitalizmu, klasa ta pracowników przemysłowych rośnie, polszczy się i coraz bardziej demokratyzuje społeczeństwo, będące dotąd czysto szlacheckiem w sposobie myślenia i postępowania. Ciekawy ten proces zasługuje na bliższe rozpatrzenie.

§ 1. Drobni wytwórcy przemysłowi i emigranci zagraniczni.

Widzieliśmy w rozdziale poprzednim, jakie miary dla podniesienia przemysłu w kraju powzięły rządy Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego. Ściągnęły one do nas dziesiątki tysięcy pracowników zawodowych, wytworzyły przemysłowe miasta i kolonie.

Skupienia tego żywiołu były czemś zgoła nowem u nas, do tego stopnia, iż miały swój szczególny wygląd zewnętrzny i mocno pulsujące odmienne życie wewnętrzne. Oto co podaje o nich w r. 1825 sprawozdanie urzędowe z objazdu rejonów przemysłowych [2]). Sprawozdanie rozpoczyna się od opisu Gostynina, który wygląda jako czyste i miłe miasteczko, przypominające miasta czeskie i śląskie. Domy są przeważnie murowane, kryte dachówką. Mieszka w nich zwykle po 3 — 4 rodziny majstrów, bardzo często więcej niż po 30 osób w jednym domu. Rodziny majstrów bezporównania są

---

[1]) Wobłyj—*op. cit.*, str. 273.

[2]) Wobłyj—*op. cit.*, str. 249 i nast. Korzystamy tu szeroko z pracy prof. Wobłyja, ponieważ zawiera ona pierwszorzędny materyał źródłowy i wcale dotąd przez ekonomistów polskich wykorzystaną nie została.

bardziej płodne, niż rodziny naszych rolników — dodaje autor sprawozdania. W całem mieście znajdowało się przeszło 90 majstrów, wyrabiających 900 postawów sukna. Zadowoleni są ze wszystkiego, skarżą się tylko na drożyznę wełny, co przypisują pośrednictwu żydów, — wdzięczni są bardzo za zbudowany dom modlitwy i za szkołę.

W Przedczu liczono 80 sukienników, wyrabiających około 3,500 postawów sukna. Sukno to przeważnie skupują żydzi. Niektórzy fabrykanci, skupując najlepsze sukna w Zgierzu, Ozorkowie, Warszawie i dając im appreturę, wywożą je następnie zagranicę. I w Przedczu wszyscy skarżą się na szybkie podniesienie się cen na wełnę. Żydzi, których jest tu bardzo dużo, hamują rozwój manufaktur i fabryk. Inną złą stroną tej kolonii jest to, że prawie wszyscy pojedyńczy tkacze zobowiązali się dostawić po kilka dziesiątków i setek sztuk sukna Neumarkowi, dostawcy armii, po bardzo nizkiej cenie. Teraz, wobec drożyzny wełny, wszyscy oni tracą dużo. Proszą o pomoc.

Łęczyca ma tylko 16 sukienników; większość ich utrzymuje całe manufaktury sukiennicze: tacy sukiennicy mają własną przędzalnię i wszystkie niezbędne do niej maszyny, po kilka warsztatów, stołów postrzygalniczych i farbiarni wełny. Każdy z nich trzyma robotników—od 20 do 30 ludzi.

W Ozorkowie jest około 400 warsztatów, wśród majstrów jest wielu zamożnych. Szybki swój rozwój miasto zawdzięcza dostawom wojskowym.

W Zgierzu jeszcze w r. 1823 było zaledwie kilka domków żydowskich, pokrytych dziurawymi dachami. W ciągu półtora roku wygląd miasta zmienił się do niepoznania: mnóstwo domów, pokrytych dachówką, ulice szerokie i czyste. Wprost nie chce się wierzyć oczom własnym. Istnieje 500 majstrów, wyrabiających 300 tys. łokci sukna cienkiego i 400 tys. łokci średniego, razem wartości 6 mil. złp. Szybki swój rozwój Zgierz zawdzięcza swemu centralnemu położeniu. Ze wszystkich stron otoczony jest zakładami fabrycznemi i rękodzielniczemi, które z tyloma staraniami zakładał rząd i osoby prywatne nad Wartą, Narwią i Bzurą. To korzystne położenie sprzyjało ześrodkowaniu w nim całego wewnętrznego i zewnętrznego handlu suknem. Zgierz jest zwykłem miejscem zjazdu dla kupców krajowych i zagranicznych. Kupujący sukna może w ciągu kilkunastu godzin zwie-

dzić ze Zgierza wszystkie nasze miasta, zajmujące się sukiennictwem: Ozorków, Koło, Dąbie, Przedecz, Gostynin, Pabjanice, Aleksandrów, Konstantynów, Łódź i t. d.

W Aleksandrowie nie widać postępu. Niema już wielkich przedsiębiorców, są tylko tkacze pojedyńczy. I tu skarżą się również na podrożenie, jakoteż na brak wełny. Wiele warsztatów stoi bezczynnie.

W Konstantynowie słyszy się też same skargi.

Łódź—to niewielkie miasteczko rządowe, drewniane. Przed dwoma laty przeznaczono je na urządzenie różnych fabryk. Położenie jego jest bardzo wygodne dla celu oznaczonego. Łódź ze wszystkiemi swemi obszernemi okolicami leży u wyniosłego wzgórza. Kierunek wody jest tak łatwo uregulować, iż każdy majster w pobliżu swego mieszkania może mieć wodę w ilości potrzebnej. Woda jest czysta. Dla swych warunków naturalnych miejsce to jest bardzo odpowiednie dla wszystkich form manufaktur — bawełnianych i lnianych, nietylko dla sukiennych. W tej chwili znajduje się tam 31 sukienników z 59 warsztatami, majstrów przędzalników bawełnianych jest 27 z 46 warsztatami i majstrów, wyrabiających płótno — 5. Buduje się wiele gmachów dla przedsiębiorstw fabrycznych.

W Pabjanicach powstaje nowa kolonia majstrów wyrabiających tkaniny bawełniane i lniane; przybyło już kilku ludzi. Miejsce jest bardzo odpowiednie dla takich zakładów, ponieważ czysta woda znajduje się w obfitości.

Sprawozdanie omawiane podaje ciekawy opis jednej z największych tego okresu fabryk, mianowicie fabryki sukna Harrera w Sieradzu. Fabryka ta posiada najnowsze maszyny. Dla swego wewnętrznego urządzenia i czystości jest ona wzorową. Jej roczna wytwórczość dosięga 6 tys. postawów sukna [1]. Robota idzie dniem i nocą. W ciągu 24 godzin fabryka daje zajęcie 1,000 ludzi. Zadziwiający porządek panuje w tej fabryce — z zachwytem dodaje autor. Przyjemnie jest patrzeć, jak wczesnym rankiem o wschodzie słońca wesoło biegną z miasta do fabryki tłumy ludzi starych, średnich lat, młodych i dzieci; i jak z zachodem słońca wesoło wracają one do domu, inni zaś na ich miejsce śpieszą z mia-

---

[1] Jeden postaw zawierał 30 łokci.

sta do fabryki. Fabryka ta, jak widać, rozciąga swój wpływ dobroczynny na całą okolicę.

Między innemi Harrer prosił o to, iżby fabrykaty, przewożone z oddziałów tkackich na folusz, do farbiarni, do postrzygalni i z powrotem — były zwolnione od poboru mostowego.

Fabryka sukien Fiedlera w Opatowie, sądząc z planu i obszaru wzniesionych już budynków, będzie przewyższała wszystkie obecnie istniejące w Królestwie. W chwili obecnej w wynajętem pomieszczeniu jest czynnych 45 warsztatów.

W Przedborzu zwiedzający znalazł kilka dużych domów, zbudowanych przez Langego dla majstrów; domy te zresztą nie były jeszcze zajęte. Fabryka ta, urządzona pod firmą Lange i Cocquerill, tymczasem wyrabia sukna z przędzy zagranicznej, której wwóz bez cła został jej przez rząd przyznany. Kiedy fabryka będzie ukończona ostatecznie, wówczas i domy, obecnie puste, zostaną zajęte.

Jako zakończenie do sprawozdania urzędowego dołączony jest szereg próśb fabrykantów, które dość realnie malują zarówno stan przemysłu, jak i stosunek rządu do klasy przemysłowej. Jedni proszą tu o pobudowanie kirchy, inni — o naznaczenie nauczycieli, posiadających język niemiecki, inni jeszcze zanoszą prośbę o to, żeby korespondencya nie zalegała na poczcie. Spotykają się też prośby o urządzenie domów zajezdnych w centrach przemysłowych, gdzieby kupcy przyjezdni mogli znaleźć ostoję spokojną; o naznaczenie chirurgów do ważniejszych centrów przemysłowych, wreszcie o zarządzenia przeciwko przekupywaniu wełny przez żydów.

Ze wszystkich tych próśb wyziera patryarchalność i prostota stosunków. Klasa przemysłowa tak przyzwyczaiła się do troskliwej opieki rządu polskiego, iż żądała od niego zaspokojenia takich nawet potrzeb, jak wznoszenie zborów, urządzanie domów zajezdnych i t. p.

Typem przeważającym podówczas w Królestwie Polskiem była drobna wytwórczość domowa. Drobni wytwórcy zagraniczni nie mogli obejść się bez współdziałania rządu w zaspokojeniu swych najelementarniejszych potrzeb. Tkacze drobni wszędzie skarżą się na brak wełny, na jej drożyznę. Skłonni oni byli winić o to żydów, zajmujących się przekupowaniem. Przyczyna zjawiska rzeczonego — według Wobłyja — tkwiła nieco głębiej. Skargi te—mówi on—pochodziły przeważnie od wytwór-

ców drobnych. Szybki rozwój sukiennictwa w tym czasie wzmógł popyt na wełnę, skutkiem czego ceny na nią podskoczyły znacznie. To podskoczenie cen wprowadziło w kłopotliwe położenie przedewszystkiem drobnych wytwórców. Niektórzy z nich zmuszeni byli wstrzymać swą działalność przemysłową. Przedsiębiorców większych nie dotknęło tak mocno to podrożenie wełny, — tem łatwiej było przełożyć podrożenie surowca na spożywców fabrykatu. Dzięki temu współzawodnictwo wytwórczości wielkiej przechodziło siły wytwórczości drobnej.

Podówczas istniało już, jak wspominaliśmy, w Królestwie Polskiem kilka wielkich, a na owe czasy nawet olbrzymich przedsiębiorstw, np. fabryka Harrera, w której pracowało na dwie zmiany 1,000 ludzi. Z jakim zachwytem i rozkoszą opisuje porządek i dyscyplinę w fabryce tej zwiedzający urzędnik! Jak żywo uderzył go obraz wielkiego przedsiębiorstwa kapitalistycznego, nieznanego dotąd w Królestwie Polskiem! Był on tak zahypnotyzowany wspaniałością tego nowego dla siebie widowiska, iż nie zauważył nawet jego strony odwrotnej, choćby tej naprzykład, że starcy i dzieci musieli pracować dniem i nocą, do tego znaczną ilość godzin. Co prawda, na te sprawy nikt jeszcze podówczas żadnej nie zwracał uwagi. Były to bowiem pierwsze nie tylko u nas, ale i w całej Europie Zachodniej początki industryalizmu, który nie zdążył był jeszcze wykazać swych stron ujemnych, jakie jedynie w Anglii były już podówczas widoczne, a na lądzie europejskim przejawiły się wydatniej dopiero w 20 lat później. Nic przeto dziwnego, iż świadek ówczesny był zachwycony nowym dla się widokiem, tak iż przyznał fabryce tej wpływ dobroczynny na całą ludność okoliczną. Tembardziej jest to zrozumiałe, iż zachwyt swój nad tym wpływem wyrażał urzędnik polski, którego wzrok nawykł do patrzenia na zupełnie co innego: na straszny obraz ubóstwa, nędzy i lenistwa po wsiach i miasteczkach, gdzie co trzeci starzec zajmował się żebractwem, a dzieci ludu cierpiały głód, świecąc nagością swego wychudłego ciała; teraz zaś żywioł ten wynędzniały znalazł chleb w uczciwej pracy fabrycznej.

W jakich częściach kraju osiedli ci pracownicy przybysze?

Pierwsze kolonie fabryczne powstały po lewej stronie Wisły. Ta właśnie część Polski doszła do szybkiego

rozwoju przemysłowego i najgęściej zaludniła się ludem roboczym. Przemysł ześrodkował się, jak widzieliśmy, głównie w dwóch województwach: Mazowieckiem i Kaliskiem. Zjawisko to da się wytłomaczyć faktem, że tu mianowicie skierował się główny napływ wychodźtwa obcokrajowego. Co spowodowało ten wzmożony przypływ wychodźców do województw wzmiankowanych?

Przedewszystkiem województwa te położone są bliżej granicy niemieckiej; zatem z warunkami życia w województwach owych lepiej byli obeznani tkacze z Prus, ze Śląska, którzy właśnie najliczniej przenosili się do Królestwa Polskiego. Przy tem bieda we własnym kraju wypędzała ich z ojczyzny; miast tedy udawać się daleko od kraju ojczystego, za morza, do Ameryki, jak Irlandczycy i Anglicy swego czasu, woleli przesiedlać się do Polski, która leżała tuż obok ich ziemi ojczystej. Zresztą istniały tu już kolonie niemieckie, powstałe jeszcze w okresie niezależnego istnienia Rzeczypospolitej, a zwłaszcza w okresie rządów pruskich po trzecim rozbiorze Polski.

Z pomienionych dwóch województw obcokrajowcy dawali pierwszeństwo Mazowieckiemu, co tłomaczyć należy, zdaniem Wobłyja, większą łatwością zbytu wyrobów tkackich do Rosyi. Po ustanowieniu wolności handlu między Królestwem Polskiem a Rosyą w roku 1819 wymaganem było dla wwozu towarów polskich do Cesarstwa przedstawienie świadectwa, jakie wydawał główny Zarząd Celny w Warszawie. Ponieważ Warszawa wchodziła w skład województwa Mazowieckiego, zatem dla przemysłowców było korzystniejszem osiedlanie się w jej pobliżu. Wszystkie ówczesne centry przemysłowe, jak Ozorków, Zgierz, Konstantynów, Łódź, są położone niedaleko jeden od drugiego, a jednocześnie leżą względnie blizko od Warszawy. Zdaniem Wobłyja doniosłe znaczenie ma tu okoliczność, że przy wywozie towarów do Rosyi Warszawa leżała akurat po drodze. Po roku 1823, kiedy ustanowione zostały nowe przepisy o świadectwach pochodzenia, wydawanych już teraz przez Komisye wojewódzkie, to znowu w pomyślniejszych warunkach znalazła się ziemia Mazowiecka. W województwie Kaliskiem dla otrzymania tego świadectwa z wielu miast trzeba było odbywać długą uciążliwą podróż do Kalisza, położonego w dużem oddaleniu od traktów handlowych do Rosyi. Stąd — według Wobłyja — w województwie Kaliskiem znać było ciążenie przemysłu ku

samemu Kaliszowi, gdzie w samej rzeczy przemysł ześrodkował się najsilniej. Liczni zaś przemysłowcy z powodu niedogodności wywozu sukna do Rosyi porzucali województwo Kaliskie i przenosili się do Mazowieckiego. Stąd — nieustanne skargi żałosne prezesa Komisyi wojewódzkiej Kaliskiej.

W sprawozdaniach z ziemi Kaliskiej Wobłyj nie raz spotykał wzmianki, mówiące o tem, że liczni sukiennicy z miejsc, oddalonych od Kalisza, przesiedlają się do województwa Mazowieckiego wyłącznie ze względu na łatwiejszy zbyt sukna do Rosyi przez skrócenie drogi o 18—20 mil.[1]). A jest to zgoła zrozumiałe, gdy zważy się na trudną komunikacyę ówczesną wobec braku kolei oraz wygodnych dróg bitych.

Na trudności przepisów o wywozie sukna do Rosyi skarżyli się również i sami majstrowie. Tak pełnomocnik m. Koło stara się o to, iżby rząd pozwolił wysyłać sukno, przeznaczone na wywóz dla Rosyi, do Warszawy, a nie do Kalisza, ponieważ to powiększa znacznie wydatki przewozu.

Sukiennictwo dosięgło największego rozkwitu w województwie Mazowieckiem i Kaliskiem w pobliżu samego Kalisza — pisał w prośbie z roku 1827 znany fabrykant Lange — dzięki łatwości ekspedycyi sukna do Rosyi. Kupiec, zakupiwszy sukno w różnych miastach i osadach województwa Mazowieckiego, zwozi je do Warszawy i stąd odsyła do Rosyi. Tymczasem, jeżeli chce on kupić sukno w Przedborzu, to musi najpierw odesłać je do Radomia, odległego o 13 mil. Wydatki na przewóz sukna do kontroli wcale nie pokrywają się zyskiem ze sprzedaży. Dlatego kupcy rosyjscy zupełnie nie jeżdżą poza granice województwa Mazowieckiego. Drobni tkacze tłumnie przenosili się do ziemi Mazowieckiej. Rząd przedsiębrał przeciwko temu odpowiednie kroki, lecz wszystkie one okazały się bezskutecznymi.

Wielkim plusem dla województwa Mazowieckiego było i to, że dostawa sukna dla wojska była oddana wyłącznie tej ziemi.

Dodać do tego trzeba, iż na czele ziemi Mazowieckiej stał podówczas taki przedsiębiorczy a energiczny człowiek, jak Rembieliński, szczerze oddany swej sprawie, nie szczędzący własnych sił dla popierania rozwoju przemysłowego w swem województwie. Umiał on zawsze

[1]) Archiw. Jen.-Gub. — Og. Akta... Rapportu rocznego, 1829.

wystarać się o szczególne przywileje i ulgi dla swego województwa, otrzymywać pożyczki znaczniejsze. Ten rozumny prezes komisyi wojewódzkiej zawsze stał na straży interesów swych przemysłowców; nadto jeszcze bronił on szczególnie interesów wytwórców drobnych. Tak energiczna jednostka mogła wywrzeć pewien wpływ na kierunek wychodźtwa obcokrajowego.

Rząd Królestwa zwrócił też uwagę na województwa, położone po prawej stronie Wisty celem zaszczepienia przemysłu i w tych miejscowościach. Bodziec w tym kierunku dał sam namiestnik, który, objeżdżając w roku 1825 województwa Płockie i Augustowskie, wedle zwyczaju wrażeniami swemi podzielił się z Radą Główną. Miejscowości, położone po prawej stronie Wisły — mówił namiestnik — przedstawiają zupełnie inny wygląd w porównaniu z tem, co znajdujemy w województwach, położonych po lewej stronie. W tych ostatnich drogi pełne są kupców, w miasteczkach znaczne ożywienie, wszędzie widać życie, a przeciwnie, po stronie prawej — drogi puste, miejscowość głucha, mieszkańcy miast pozostają w «gnuśnej bezczynności». W różnicy tej należy upatrywać wpływ zakładów, istniejących po lewej stronie i brakujących po prawej.

Zdaniem namiestnika rząd powinien ułatwić wznoszenie manufaktur w miastach znaczniejszych tej części Królestwa Polskiego, np. w Pułtusku, Ostrołęce, Łomży, Augustowie. By dać początek, namiestnik polecił urządzenie kolonii fabrycznych we wskazanych województwach Duninowi, który przedtem zajmował się urządzeniem miast i fabryk w ziemi Kaliskiej i wykazał dużą energię i porządność.

Dunin przystąpił niezwłocznie do spełnienia danych mu zleceń i już dnia 1 października 1825 roku przedstawił raport o tem, że bracia Patzer chcą urządzić farbiarnię w Pułtusku lub Ostrołęce; dlatego proszą o wydanie im paszportu i zaliczki na drogę. Mimochodem wskazywał on, że bogaci fabrykanci powstrzymują się od przenosin na nowe miejsca.

Trzeba zacząć od biedniejszych — pisze on, — a za nimi pójdą i bogatsi. Pierwiosnki zjawiają się na wiosnę wcześniej od innych kwiatów.

W tymże raporcie Dunin przedstawił swój plan urządzenia Kolonii fabrycznych. Wśród kroków przygotowawczych wskazał tu na regulacyę miast, urządzenie cegielni, sporządzenie planów rzek, wysłanie za granicę emisaryu-

szów celem ściągania majstrów: jednego emisaryusza do Saksonii, drugiego do Sląska, trzeciego do Prus, wreszcie przyznanie wychodźcom większych ulg w porównaniu z temi, jakie dano przybyszom po lewej stronie Wisły, ze względu na niekulturalność kraju i surowość klimatu.

W dalszym ciągu Dunin wylicza te wydatki, jakie pochłonie urządzenie kolonii. Znajdują się tu pozycye takie, jak budowa domów dla majstrów, wynajęcie czasowych pomieszczeń, urządzenie suknowalni, składów dla wyrobów gotowych i t. d. Ogólna suma wydatków została określona 345,000 zł. W raporcie z dnia 3 listopada 1826 roku znajduje się już spis majstrów, którzy osiedli i osiadają w Pułtusku, Ostrołęce i Łomży. Większość ich — to sukiennicy (26 na 35).

W następnym raporcie Dunin między innemi wskazuje, że majstrowie, którzy zgodzili się przybyć do Pułtuska, straszą innych, pragnących przesiedlić się tam, opowiadaniami, że dzieci ich będą pożerane przez wilki, że będą oni musieli mieszkać w zupełnej pustyni, gdzie nie znajdą ani swych rodaków, ani będą umieli rozmówić się z Polakami, nierozumiejącymi ich języka. Taką drogą odmawiają oni innych cudzoziemców od przesiedlania się. Celem przeciwdziałania szerzeniu takich bajek i pogłosek Dunin prosi o pozwolenie wysłania agentów za granicę.

Działalności Dunina w urządzaniu Kolonii fabrycznych w Płockiem i Augustowskiem towarzyszyło pewne powodzenie. Z jego sprawozdania za rok 1827 widać, że w Pułtusku było już 38 rodzin, mających po jednym warsztacie tkackim; w Ostrołęce liczono 12 warsztatów do wyrobu bielizny stołowej, w Łomży — 19 rodzin sukienników.

Za temi pierwszymi kolonistami zaczęli przenosić się i więksi przedsiębiorcy. Atoli mimo te wszystkie starania rządu, oba rzeczone województwa co do poziomu rozwoju przemysłowega stały na ostatniem miejscu. Dodać tu jeszcze trzeba, iż w województwie Augustowskiem szeroko była rozpowszechniona wytwórczość domowa wyrobów lnianych. Nie było wioski, w której nie zajmowanoby się wyrobem płótna. Istniał nawet zwyczaj dawania córkom płótna w posagu.

Tak wyglądało geograficzne rozmieszczenie zawodowców obcokrajowych w Królestwie Polskiem. Ten przypływ imigracyi cudzoziemskiej przy innych warunkach przyjaznych wzmógł przyrost ludności nader wyraźnie.

W roku 1816 na terytoryum Królestwa Polskiego było 2,717,287 mieszkańców, zaś w 1829 roku liczono już 4,137,634 osób płci obojga, innemi słowy — w przeciągu 13 lat ludność kraju wzmogła się o 52%, co daje okres podwojenia w lat 25 [1]). Bez żadnej wątpliwości przyrost ten w znacznej mierze przypisać należy napływowi cudzoziemców.

Jaki żywioł przedstawiała ludność przesiedleńcza?

Z dziejów rozwoju przemysłowego Królestwa Polskiego wiemy, że wśród przybyszów obcokrajowych rolę przeważającą grali drobni wytwórcy. Wogóle tylko bieda pędzi z kraju rodzinnego — pisał w jednym z owych raportów Dunin; dlatego przesiedlający się obcokrajowcy są biedni. Większa ich część przynosi z sobą warsztaty, jako też ręce zdatne a zręczne do roboty. Tacy ludzie nie mogą osiadać tam, gdzie niema dla nich zarobku gotowego. Pracowitość i ręce robocze tylko wtedy podniosą ich z ubóstwa na stopień dobrobytu, kiedy będą oni mieli zbyt na swe wyroby. «Ciśnie się do nas — pisał w roku 1825 prezes komisyi wojewódzkiej — mnóstwo zagranicznych fabrykantów, ale po większej części ubogich» [2]). Zatem do Królestwa Polskiego przenosił się najpierw żywioł ubogi, zajmujący się wytwórczością drobną w kraju własnym i przenoszący na nowe miejsce same tylko warsztaty tkackie oraz ręce robocze do pracy.

Zwykle majstrowie przesiedlali się całemi koloniami, z rodzinami, z całym dobytkiem. Rozumie się, przynosili oni z sobą i te formy wytwórczości, z któremi zżyli się w ojczyźnie. Wzrośli oni jeszcze za panowania organizacyi cechowej, acz już znacznie obciętej, jednak istniejącej jeszcze ciągle w Prusiech i w Austryi. Organizacyę tę przybysze wnieśli do Królestwa Polskiego, co było tem łatwiejsze, iż w Polsce istniały cechy od wieku XIV i aczkolwiek zniesiono je prawnie, to jednak w rzeczywistości przetrwały one do ostatnich czasów. W polskich aktach urzędowych po roku 1816 spotyka się nazwa «cech» w zastosowaniu do organizacyi tkaczy i innych. Jak wiadomo, w Królestwie Polskiem według prawa istniały nie cechy, lecz t. zw. zgromadzenia; a jednak w dokumentach urzędowych często używa się słowa «cech».

---

[1]) Wobłyj *op. cit.* str. 273.

[2]) Archiw. Jen. -Gub. Sek. V, 13 A. vol. 548. III.

Przybysze obcokrajowi, nie znając dobrze praw miejscowych, pozostawali — zda się — w zupełnem przekonaniu, że posiadają oni i w nowym kraju wszystkie przywileje cechowe.

Pod tym względem niezmiernie charakterystyczną jest pewna prośba podana w roku 1834. Burmistrz m. Ozorkowa, właściciel miasta i przedstawiciele majstrów skarżą się na to, że Gotlieb Lause i starozakonny Librach przyjmują do wykończenia sukno od innych majstrów za zapłatę i przez to przynoszą krzywdę «zgromadzeniu» (czyli cechowi) postrzygaczy, ponieważ nie należeli oni do niego. Petenci tedy zanoszą prośbę: iżby osobom pomienionym wzbronionem było branie od majstrów postronnych sukno do apretury. Komisya spraw wewnętrznych odmówiła tej prośbie, powołując się na postanowienie namiestnika z dnia 31 grudnia 1816 roku, wedle którego nikomu nne powinno być wzbronionem zajmowanie się jakiemkolwiek rzemiosłem. Snać tradycye cechowe silnie jeszcze tkwiły w umysłach rzemieślniczych owej doby. Po przybyciu do Królestwa Polskiego imigranci otrzymywali gotowe mieszkania, ziemię, wygony na pastwiska dla bydła, niekiedy wspólną suknowalnię, postrzygalnię i farbiarnię. Pierwsi koloniści często zajmowali się i pracą rolniczą. W jednym raporcie Komisyi spraw wewnętrznych z roku 1820 Wobłyj znalazł ciekawą wzmiankę, iż oprócz kilku niewielkich fabryk są jeszcze tylko «niezamożni tkacze, czyli sukienniki, którzy po większej części trudniąc się rolnictwem w bardzo tylko skromnej ilości sukna dostarczać mogą»[1]. Niekiedy spotykał on prośby tkaczy o przyznanie im bezpłatne pewnych działek ziemi.

W pierwszych tedy szeregach przesiedleńczych szedł żywioł najbiedniejszy. Z danych o ilości warsztatów w roku 1819 i w roku 1823 widać, że olbrzymia większość majstrów miała po jednym warsztacie, w rzadkich wypadkach po 3—4. Te pierwsze partje miały przygotować grunt dla majstrów zamożniejszych, którzy byli w możności wyczekania skutków przesiedlenia swych biedniejszych ziomków. W niektórych wypadkach upełnomocnieni wprost oznajmiali, że bogaci tkacze zdecydują się emigrować wtedy tylko, kiedy dowiedzą się o pomyślnym stanie pierwszych wychodźców.

---

[1]) Archiw. Izby Skarb. Akta og. fabryk i kontrolowania fabrykatów krajowych. Lit. F. Poszyt I.

Organizacya wytwórczości nosiła znamiona przemysłu drobnego, domowego. Zwykle majster pracował u siebie w domu, używając siły swej rodziny. Miał on na swe usługi narzędzia nieskomplikowane, najczęściej ręczny warsztat tkacki, wywieziony z zagranicy. Izba stanowiła pokój mieszkalny zarazem i pracownię. W jednym wypadku Wobłyj spotkał skargę na to, że tkaczowi przeznaczono na mieszkanie tak małe pomieszczenie, iż nie mógł on postawić w niem swego warsztatu i dla tego musiał wynająć ten warsztat innemu. W innych wypadkach nawet majstrowie zajmują się rolnictwem; zawsze mają oni ogrody i trzymają krowy.

Majstrowie zamożniejsi utrzymują i czeladników, najczęściej jednego, rzadko dwóch. O patryarchalności stosunków na tem początkowem studyum rozwoju przemysłu polskiego mówi fakt następujący: starsi cechu sukienniczego m. Ozorkowa zwracają się w roku 1821 do namiestnika między innemi z taką oryginalną prośbą: osiedlić wśród nich farbiarza sukna.

Powstaje pytanie, gdzie ci pierwsi osiedleńcy zbywali wyroby swoje?

Właśnie sprawa zbytu w te początkowe lata postawiła tkaczy w ciężkie położenie. Najczęściej sprzedawali oni towary gotowe żydom. Dzięki temu tkacze odrazu wpadli w szpony pośredników żydowskich. Wszędzie i zawsze słychać skargi na eksploatacyę żydowską.

Przedstawiciele władzy byli zakłopotani jak zapewnić rynek zbytu dla przybywających do Polski majstrów. Rembieliński, prezes komisyi Mazowieckiej, czyni starania w roku 1821 o ułatwienie zbytu dla przenoszących się majstrów, którzy często bywają postawieni w ostateczną konieczność sprzedawania za bezcen wyrobów swych żydom. Wyjście z tej trudności widzi on w oddaniu dostaw dla wojska. Koniecznie trzeba rozdzielić dostawę sukna dla armii między kolonie sukienników stosownie do liczby warsztatów. Jeszcze wcześniej, bo w roku 1819, Mazowiecka Komisya wojewódzka wskazywała na smutne położenie tkaczy. Wedle słów jej położenie wielu z tych ludzi z chwilą przeniesienia się do kraju naszego nietylko nie poprawia się, ale nieustannie się pogarsza. Wielu z nich nie mają możności zapracować tyle, wiele trzeba na wyżywienie. Ratunek fabrykantów zależy wyłącznie od dostaw sukna dla armii.

Rząd, wysłuchując próśb tych, oddał tę dostawę drobnym wytwórcom. W Ozorkowie, głównem centrum wy-

robu sukna, była ustanowiona komisya wojskowa dla przyjmowania sukna od majstrów poszczególnych. Dla określenia dobroci sukna byli wyznaczeni osobni eksperci.

Dzięki temu położenie drobnych wytwórców polepszyło się znacznie. Lecz nie na długo. Dostawy wojskowe nie mogły pochłonąć wszystkich wyrobów przemysłu miejscowego. Wkrótce trzeba było szukać innych rynków zbytu. Znaleziono je, jak wiemy, w Rosyi, wobec zmienionych warunków handlu zewnętrznego. Ponieważ jednak rynek zewnętrzny leżał daleko od miejsc wytwarzania, przeto drobni wytwórcy musieli wkrótce utracić swą niezależność. Nie mogli oni obejść się bez pośrednika w żaden sposób. I oto w roli takich pośredników wystąpili głównie żydzi, a do pewnego stopnia i własni współbracia, tylko rozporządzający kapitałami. Naturalnie, ubogi tkacz pruski lub śląski, nie znający języka, kraju, warunków rynku, nie mógł być niezależnym przy zbycie swych wyrobów. Odrazu więc wpadał w pazury sprytnych, przedsiębiorczych żydów.

Zależność owa nie ograniczała się tem, że drobny wytwórca zbywał żydowi swe wyroby, ale musiał on jeszcze brać od pośrednika na kredyt materyał surowy — wełnę. Takie dawanie na kredyt powstało wskutek tychże przyczyn nieznajomości rynku miejscowego, z drugiej zaś strony wskutek ubóstwa pierwszych osiedleńców. Tkacz mógł żyć tylko z zarobku dziennego. Dlatego, iżby mieć ten zarobek najpierw musiał nabyć surowiec; zaś pieniędzy na to nie było. I oto na pomoc tkaczowi zjawia się kupiec żyd, który pożycza mu wełnę na procent lichwiarski. W tym wypadku mamy system przemysłu domowego, gdzie kapitał handlowy wziął już na się rolę kierowniczą w wytwórczości, poddawszy całą produkcyę sobie. Takiż przemysł domowy istniał w początku XIX wieku i w Niemczech, z tą tylko różnicą, że miał on tam dwie formy: w pierwszej tkacz pracował na rachunek wielkiego przedsiębiorcy z jego przędzy, na jego zamówienie i według jego wzorów, a za to otrzymywał płacę zarobkową: w drugiej — tkacz kupował na własne ryzyko przędzę i wyrabiał z niej półfabrykat, który potem przechodził do wielkiego przedsiębiorcy dla dalszego wykończenia [1]).

---

[1]) G. Schmoller «Die Entwicklung und die Krisis der deutschen Weberei im XIX Jahrhundert» w «Deutsche Zeit-und Streit-Fragen». Berlin. 1873.

Jakie rozmiary i jaki charakter nosiła eksploatacya żydowska, pokazuje nam następujący fakt, wzięty z dokumentów archiwalnych.

Prezes Kaliskiej Komisyi wojewódzkiej wśród miar ku rozwojowi przemysłu polskiego wymienia organizacyę towarzystwa akcyjnego dla prowadzenia handlu wewnętrznego. Taką drogą możnaby — zdaniem prezesa — wyrwać majstrów pojedyńczych z rąk żydowskich, które wyzyskują ich «z braku odbytu». Niemożna opisać nawet, jakiem zdzierstwem wzbogacają się oni na ostatecznej nędzy zawodowców, ciągnąc z nich procenty iście lichwiarskie.

W m. Kole żyd daje sukiennikowi wełnę «który iey nie ma za co kupić», następnie płaci mu tylko 8—9 zł. za czesanie i przędzenie wełny, tkanie z niej jednego postawu sukna prostego i wreszcie za folowanie. Jakkolwiek zdaje się to być przesadą — pisze autor — jednak jest to fakt rzeczywisty. Przypuśćmy — mówi — że folowanie sukna kosztuje tkacza 1 zł. 15 gr.; w rezultacie za całą jego robotę przy wyrobie jednego postawu sukna, zawierającego w sobie 30 łokci, zostanie mu się od 6 do 7 zł. 15 gr. na utrzymanie całej rodziny w ciągu 4—5 dni, jakie musi on użyć na tę robotę. Niepodobna przedstawić sobie większego ubóstwa i nędzy w porównaniu z tem, — do czego doprowadza drobnych zawodowców żydowski wyzysk. Ta okoliczność — dodaje prezes — i pobudziła mię do skłonienia p. Harrera, fabrykanta sukienniczego w Sieradzu, iżby on od siebie rozdawał ubogim tkaczom wełnę na przędzę [1]).

Jeżeli przedstawiciel władzy w tak ciemnych kolorach maluje rolę przekupniów żydowskich, to można sobie wyobrazić, jakie rozmiary musiał przybrać w rzeczywistości ten drapieżny wyzysk. Ostatnie zdanie w doniesieniu prezesa Komisyi wojewódzkiej wyraźnie wskazuje, że widział on całe zło nowego systemu stosunków ekonomicznych nie w tem, iż drobni wytwórcy utracili swą niezależność, lecz jedynie w pośrednictwie żydowskiem. Według jego zdania położenie tkaczy polepszyłoby się, gdyby jeden wielki przedsiębiorca zamienił licznych przekupniów żydowskich. Właśnie w zjawieniu się takich wielkich przedsiębiorców widziano wówczas przyjazny symptom. Jak donosi Dunin, komi-

---

[1]) Archiw. Jen.-Gub. Sek. V, 13 A... v. 348. Sprawozdanie przedstawione namiestnikowi o regulacyi miast i stanie fabryk w województwie Kaliskiem 16 marca 1824 r.

sarz fabryczny, niektórzy tkacze w Ostrołęce nie mają roboty, ponieważ niema jeszcze przedsiębiorcy, któryby dawał im robotę lub skupował od nich tkaniny.

Nie sami tylko sukiennicy wpadali w takie błędne koło. Losu tego nie uniknęli i przedstawiciele innych gałęzi przemysłu. Przynajmniej tyczy się to położenia tkaczy materyi bawełnianych. Znaczny rozwój przemysłu bawełnjanego — podaje prezes Kaliskiej Komisyi wojewódzkiej — dotąd jeszcze nie może zabezpieczyć dobrobytu wytwórcom dla przyczyny następującej: «handel wyrobami tego rodzaju jest wyłącznie tylko w ręku kilku żydów».

Żydzi, rozdając ubogim tkaczom przędzę do przeróbki, tak mało wynagradzają za pracę, «że ci (tkacze) ledwie wyżywić się potrafią».

Następnie tenże prezes komisyi Kaliskiej, donosząc o kwitnącym stanie wytwórczości bawełnianej w Pabjanicach, które miały przewagę nad innemi miastami dzięki obfitości wody i łatwości komunikacyi ze stolicą Królestwa (szosa), zauważył, iż niektórzy drobni tkacze, nie mając możności pracowania na swój rachunek, przerabiają przędzę bawełnianą dla jednego kupca kaliskiego, który, acz daje im dużo roboty, jednak, nie mając współzawodników w zamówieniach dla tych tkaczy, «zbyt mało» opłaca ich płacę: za 113 łokci kitajki płaci tylko 15 zł. Niedostateczność takiej płacy widać stąd, iż przeciętnie na jeden warsztat przypadało podówczas z wytwórczości rocznej około 1200 łokci materyi bawełnianych. Zatem zarobek tkacza przy takiej wypłacie nie przewyższał 150 zł. na rok. W latach początkowych tego okresu spostrzegało się względnie rzadko wypadki eksploatacyi tkaczy ze strony ich własnych ziomków.

W spisach osobistych świeżo przybyłych w roku 1826 majstrów Wobłyj znalazł kilka ciekawych uwag przy tem lub innem nazwisku. Taki to sukiennik jest obciążony liczną rodziną, chociaż jest on pracowity, ale nie ma żadnego zarobku, nie znajdując zbytu dla swych wyrobów. Wobec tego musi on szukać roboty u rodaków. Inny przy swem ubóstwie również zmuszony jest szukać przytułku u majstrów zamożniejszych.

Zresztą wypadki podobne w pierwszych latach rozwoju przemysłu polskiego przedstawiały zjawisko rzadkie. Imigranci wogóle stanowili jednolitą masę co do swego stanu majątkowego. Nie było jeszcze między nimi wielkich różnic co do stopnia zamożności. Dopiero

później, kiedy zaczęli przybywać majstrowie bogatsi, wówczas i oni występowali w roli przekupniów. Ta forma pośrednictwa handlowego rozwinęła się pod wpływem samego rządu, który szczególnie troszczył się o ściągnięcie do kraju bogatych fabrykantów i przedsiębiorców, widząc w tem sposób wyrwania drobnych wytwórców z żydowskiego zaczarowanego koła.

Bardziej przedsiębiorczy i silniejsi ekonomicznie pojedyńczy majstrowie próbowali organizować zbyt swych towarów bez udziału pośredników. Majster Szyndler w skardze swej opowiada co następuje. W roku 1823 wszedł on z jednym farbiarzem z Ozorkowa do spółki handlowej, zobowiązując się wyjechać z suknami do Rosyi. Towar został zatrzymany na granicy wobec niezachowania pewnych formalności. Ostatecznie musiał on powrócić do domu. Wszystko to przyprawiło Szyndlera o wielkie straty. Prosi on tedy o zwrot owych strat w wysokości 600 talarów, ponieważ zatrzymanie to powstało z winy urzędników ekspedycyi w Warszawie. Między innemi Szyndler podkreśla, że on, fabrykant, musiał był właśnie dla celów handlowych zostawić swe gospodarstwo i warsztat w bezczynności na przeciąg całego roku.

Majstrowie m. Turka skarżą się w roku 1825 na to, że ponoszą wielkie straty z powodu kontrabandy żydowskiej. Celem sprzedaży wyrobów swych bez straty, «wszystkie okoliczne jarmarki obiegać muszą». W danym wypadku mamy przykłady samodzielnego, niezależnego istnienia drobnych wytwórców, osobiście organizujących zbyt własnych wyrobów. Zresztą ze skarg przytoczonych widać, że operacya ta była związana dla nich z wielkiemi trudnościami: trzeba było tracić wiele czasu i przerywać swe zwykłe zajęcia.

Wpływ oddalenia rynku na rozwój przemysłu drobnego gruntownie został wyjaśniony w literaturze ekonomicznej. Drobny wytwórca nie ma środków dla zbycia swych wyrobów na rynku dalekim; zysk przezeń otrzymywany nie okupuje wydatków na przejazd i stratę czasu. Korzystniej jest dla niego sprzedawać wytwory swe kupcowi albo majstrowi bogatszemu, bliżej obeznanemu z rynkiem. W ten właśnie sposób przygotowuje się grunt dla przekształcenia majstra niezależnego w prostego robotnika, pracującego na wielkiego przedsiębiorcę [1]).

---

[1]) Patrz «Handw. der Staatswissenschaften 3 Aut. Jena, 1900. Bd IV. Art. Gewerbe.

W lepszym stanie znajdowali się majstrowie, którzy żyli bardziej spoiście i solidarnie. Są wzmianki, że w innych wypadkach związki takie były bardzo mocne. Zgromadzenia czyli cechy majstrów stawały się często rzeczywiście organami pomocy wzajemnej. Tak zgromadzenie w Staszowie posiadało kapitał, utworzony ze składek uczniów, czeladników i z sum ofiarowanych. Z funduszu tego majstrowie otrzymywali pożyczki. Niekiedy na rachunek tego funduszu sprowadzano nowe maszyny fabryczne do użytku ogólnego[1]). Mamy tu więc przykład szeroko rozwiniętego stowarzyszenia kooperacyjnego. Początek dla rozwoju stowarzyszenia w Staszowie dał miejscowy obywatel ziemski hr. Potocki, który ofiarował sumę 20 tys. zł. na przyznawanie majstrom pożyczek dwuprocentowych, wydawanych im przeważnie wełną i farbami, a niekiedy — gotówką. Są wzmianki o tem, że i inni obywatele ziemscy dawali pożyczki pod postacią wełny majstrom, osiadającym w ich dobrach. Powstaniu poczucia solidarności i spójni wśród majstrów oddzielnych mogła sprzyjać i ta okoliczność, iż rząd zwykle wznosił na potrzeby całej kolonii jednę suknowalnię, jednę farbiarnię. Zresztą podobne zrzeszenia spotykają się niezbyt często, a przynajmniej znajdowały się one w okresie zaczątkowym. Zwykle solidarność i spoistość nie rozciągała się dalej po za podanie zbiorowej skargi lub prośby. Takich zrzeszeń, w kótychby przeprowadzono miary pozytywne w celu poprawy położenia gospodarczego członków, jak się zdaje, było niewiele. Z pośród nich wskażemy kasy chorych (np. w Zgierzu), jako formy samopomocy, spotykane najczęściej,—[2]) a przetrwałe dotąd jeszcze wśród majstrów i robotników Czechów, Ślązaków i Niemców. Robotnicy ci zżyli się z tym sposobem pomocy wzajemnej w kraju własnym, oddawna. Zrzeszenia podobne spotykano szczególnie często w Saksonii, jak twierdzi prof. Schmoller [3]). Wiele takich zrzeszeń wytworzyło się z cechów sukienniczych, w których folowanie sukna, farbowanie, przędzenie przędzy odbywało się na rachunek wspólny.

Spotykała się podówczas jeszcze jedna forma systemu przemysłu domowego na czele z wielkim właścicielem

---

[1]) Archiw. Jen.-Gubern. — Og. Ak Rapportu rocznego 1826 (u Vobłyja).

[2]) Wśród górników Królestwa Polskiego kasy chorych istniały już w roku 1821, o czem wspomnimy poniżej.

[3]) Schmoller «Zur Geschichte»... str. 585—6.

ziemskim. Tak właściciel Kromołowa p. Gostkowski zorganizował na szeroką skalę wyrób materyi bawełnianych i lnianych wśród włościan. Nie było tam prawie ani jednego domu, w którym nie zajmowanoby się wyrobem tkanin wełnianych, a głównie bawełnianych i lnianych dla właściciela, a także i na rachunek własny. Jak szeroko zorganizowano ten wyrób, widać choćby z tego, że właściciel Kromołowa za przędzę bawełnianą, sprowadzoną z zagranicy, płacił do skarbu cła rocznego około 30 tys. zł. Dobrobyt mieszkańców podniósł się na tyle, iż wielu włościan wsi okolicznych postanowiło wziąć się tkactwo, tak że warsztaty tkackie w chatach ubogich zaliczano do stałych sprzętów domowych [1]).

Z powyższego widzimy, jak silny liczebnie i zawodowo wyrobiony żywioł pracowniczy napłynął z zagranicy do kraju naszego za mądrych rządów Księstwa Warszawskiego i Królestwa Polskiego. Żywioł ten stał się głównym składnikiem poczynającej wytwarzać się w narodzie polskim nowej warstwy społecznej — klasy robotników przemysłowych.

§ 2. Proces wytwarzania się klasy robotników fabrycznych.

Przekształcenie się form wytwórczości krajowej z drobnej, domowej na wielką, kapitalistyczną sprowadziło narodziny klasy robotniczej przemysłowej. Proces ten odbywać się u nas począł około roku 1820 czyli w okresie konstytucyjnego Królestwa Polskiego. Wszakże daty rzeczonej nie należy brać ściśle, gdyż jeszcze na kilka lat przedtem istniały przedsiębiorstwa większe, zatrudniające sporą ilość robotników, jak np. duża fabryka Rephana, wzniesiona w r. 1817, która, acz była początkowo przedsiębiorstwem niewielkiem, to jednak przed rokiem 1820 nie może być włączaną do kategoryi zakładów drobnych. Ściśle tedy rzecz biorąc, możnaby powiedzieć iż pierwszy słup graniczny procesu, odkąd powstawać zaczęła klasa robotnicza fabryczna, należałoby postawić przed rokiem 1820. My wszakże nie czynimy tego, albowiem 1° uważamy, iż narodziny klasy społecznej nie dadzą określić się ściśle tak, jak przyjście na świat jednostki oddzielnej i 2° że dopiero od roku 1820 w Króle-

[1]) Prof. Ant. Hann «Uwagi nad niektóremi Gałęziami Prz Krajowego» — odbitka z «Pamiętnika Umiejętności fizycznych» (mowa, wypowiedziana 29 września 1830).

stwie coraz liczniej powstawać zaczęły znacznych rozmiarów zakłady przemysłowe, zatrudniające większą już ilość rąk roboczych dzięki otwarciu rynku rosyjskiego dla towarów polskich. Od tej właśnie chwili zaczyna się ten ciekawy proces w rozwoju naszego organizmu społecznego i wzmaga się coraz bardziej w miarę rozrostu u nas kapitalizmu przez cały okres przejściowy, aż do okresu wielkoprzemysłowego, czyli do roku mniej więcej 1864—1870. W przeciągu tego pięćdziesięciolecia przybył Polsce nowy «stan», jakiego nie znała dawna Rzeczpospolita. Zjawienie się jego w łonie naszego społeczeństwa zasługuje na szczególną uwagę.

W okresie konstytucyjnego Królestwa Polskiego istniały następujące formy wytwórczości: przemysł domowy, prowadzony naprzemian z zajęciami rolniczemi; następnie wytwórczość drobna, samodzielna i niezależna z pewnemi znamionami organizacyi cechowej. Ta drobna wytwórczość w wielu wypadkach straciła swą samodzielność. Najpierw straciła ona samodzielność w organizacyi zbytu wyrobów. Szeroko była rozwinięta wytwórczość na handlarza pośrednika, jakim najczęściej był żyd. To stadyum początkowe przemysłu domowego (Verlagssystem) wkrótce przeszło w drugie wyższe stadyum, gdzie zależność drobnego wytwórcy przybrała formy bardziej ostre. Teraz drobny wytwórca nie tylko zbywał handlarzowi swe wyroby, ale nadto otrzymywał od niego na kredyt surowce — przędzę lub wełnę. W danym wypadku mamy przed sobą wielką wytwórczość decentralizowaną. Organizatorami jej byli przedewszystkiem żydzi, dobrze obeznani z warunkami zbytu towarów; niekiedy w roli tej występowali również obywatele ziemscy. Później zjawią się wielcy przedsiębiorcy zagraniczni. Na tem stadyum rozwoju przemysłu domowego rolę kierowniczą w wytwórczości gra kapitalista-przedsiębiorca, dobrze obeznany ze stanem rynku i rozporządzający środkami, niezbędnemi do zakupu surowca i zbytu towarów. Znamienną osobliwość tej formy stanowi kierownictwo scentralizowane wytwórczości przy rozrzuceniu robotników po chatach oddzielnych.

Drobny wytwórca, który w rzeczywistości przekształcony został w prostego robotnika, zachował jeszcze cień swej dawnej niezależności w tem, że pracował w domu, w kole swej rodziny. Tworzy się tu niejako forma federacyjna, w której funkcye dzielą się między organem głównym a podwładnemi w ten sposób, iż pierwszy

troszczy się o zbyt i przystosowanie wytwórczości do warunków rynku, gdy tymczasem drugie ograniczają się tylko do roli wytwórców w wyznaczonych sobie ramkach. Przykład rozwoju przemysłu polskiego potwierdza tylko to, co nauka ustanowiła odnośnie do rozwoju przemysłowego innych krajów.

Okrutna eksploatacya żydowska drobnych tkaczy pobudziła rząd polski do przyjęcia różnych środków celem ulżenia doli wytwórców drobnych. Należy mieć na uwadze, iż w pierwszych latach zapoczątkowania przemysłu polskiego, rząd ze szczególną troskliwością odnosił się do interesów wytwórców drobnych. Tak z ust wybitnego działacza na polu szczepienia przemysłu fabrycznego, Rembielińskiego, słyszymy zdanie następujące: «Należałoby wspierać mniej majętnych sukienników, ażeby tych z pod dependencyi handlarzy, wełną żydowskich wydobydź» [1]) — innemi słowy — pożądanem jest okazywanie pomocy drobnym fabrykantom, a nie wielkim. Zdanie to wypowiedział prezes komisyi Mazowieckiej z powodu prośby fabrykanta Bergena w roku 1823 o pożyczkę 100 tys. zł. Troska rządu o drobnych wytwórców rozciągała się tak dalece, iż rząd ten przyjmował na się obowiązek budowania kirch w tych miejscach, gdzie osiądzie 30 rodzin majstrów.

Celem obrony sukienników przed eksploatacyą żydowską rząd oddał w ich ręce dostawę sukna dla wojska, następnie zaczął wydawać pożyczki na zakup wełny, pobudzony ku temu przez coraz częstsze prośby drobnych wytwórców.

Skargi na brak wełny, na jej drożyznę szczególnie często słychać około roku 1825. Dzięki szybkiemu wzrostowi przemysłu wełnianego i wywozowi sukna do Rosyi, ceny na wełnę znacznie podskoczyły. W roku 1825 podskoczenie cen na wełnę — według słów Rembielińskiego — dosięgło 50%.

Takie podrożenie surowca smutnie odbiło się na położeniu drobnych tkaczy. Rembieliński wystąpił ze staraniami, iżby rząd przyszedł z pomocą majstrom uboższym, którzy, nie mając środków na zakup materyału surowego, znajdowali się w ciężkiem położeniu wskutek zgubnej spekulacyi żydów, zabierających cały ich zarobek. Starał się on o ustanowienie jarmarku w Łęczycy

---

[1]) Arch. Jen.-Gub. Sek. V. 13 A... V. 348. I.

i o asygnowanie 500 tys. zł. celem wydawania pożyczek na zakup wełny.

Rząd przychylił się do tej prośby, asygnował kapitał na cel wyłuszczony. Miara ta wszakże nie mogła uchronić drobnych wytwórców od eksploatacyi żydowskiej ze względu, najpierw na niedostateczność kapitału, zamiast bowiem 500 tys. zł., o jakie prosił Rembieliński, dano mu tylko 100 zł., którą to sumę Rembieliński uznał za bardzo niedostateczną; powtóre, z powodu tego, iż pożyczki wydawano tylko majstrom, mieszkającym w miastach rządowych. Dlatego to prof. Hann powiada, iż dobrze byłoby utworzyć towarzystwa prywatne, na podobieństwo istniejących tymczasem jedynie w Kaliszu, i w innych miejscach dla niesienia pomocy rządowi w urzeczywistnianiu tego zadania.

Uwaga ta ma wartość dla nas pod tym względem, iż wskazuje na istnienie podówczas w Kaliszu towarzystwa prywatnego, które wydawało pożyczki majstrom na zakup wełny. Ale było to bodaj wyjątkowe zjawisko.

W celu zapewnienia niezależności gospodarczej wytwórcom drobnym, rząd pozwolił na wwóz bez cła przędzy dla tkaczów przybyszów w rozmiarach jednego centnara na warsztat tkacki. Zapewniało to wychodźcom, przynajmniej na pierwszy czas, możność zarobku. Nie musieli oni już zwracać się o materyał surowy do nazbyt drogiego pośrednika żydowskiego.

Drobni majstrowie robili jeszcze starania o to, iżby rząd wznosił składy dla ich wyrobów, — ale starania te nie znalazły poparcia w sferach rządowych.

Dla ratunku drobnych wytwórców rząd wymyślił inny sposób, łatwiejszy i bardziej prosty: odebrać rolę kierowniczą w wytwórczości żydom, a oddać ją w ręce przedsiębiorców zagranicznych. W tym celu rząd po r. 1825 zaczyna energicznie sprowadzać z zagranicy wielkich przedsiębiorców, przyznając im szczególne ulgi i wydając pożyczki w szerszych rozmiarach. Kapitaliści owi powinni byli wziąć w swe ręce ostateczne wykończenie towarów, apreturę i następnie hurtowy handel niemi.

W sprawozdaniach z poszczególnych województw, w raportach z objazdu fabryk — wszędzie wypowiada się życzenie ściągnięcia do kraju wielkich przedsiębiorców, którzyby skupowali półfabrykaty od wytwórców drobnych, wykończali je, a następnie sprzedawali. Sądzono, że w taki sposób sama nawet wytwórczość doszłaby do

wyższej doskonałości technicznej, z drugiej zaś strony polepszyłoby się położenie drobnych wytwórców, uwolnionych od wyzysku żydowskiego.

W owem sprawozdaniu prezes kaliskiej komisyi wojewódzkiej za r. 1824 wskazuje na następującą okoliczność, powstrzymującą rozwój przemysłu: «brak kapitalistów, czyli głównych przedsiębiorców fabryk, lub też poprostu kupców», którzy mogliby prowadzić dalszy handel wyrobami, wytwarzanemi przez drobnych wytwórców, jakoteż brak apreterów tych wyrobów, którym prosty tkacz nie jest w stanie dać należytego wykończenia.

Podobna uwaga spotyka się i przy charakterystyce przemysłu bawełnianego w ziemi Kaliskiej. Prezes komisyi wojewódzkiej, wskazawszy na smutne położenie drobnych tkaczy, uwarunkowane wyzyskiem żydowskim, zauważył, iż byłoby zupełnie inaczej, gdyby udało się ściągnąć do województwa z zagranicy zdolnych apreterów i wielkich kapitalistów. Lepszem wykończeniem tkanin mogliby oni podnieść ich wartość, a zarazem mogliby dawać tkaczom wyższą płacę niż żydzi, prości handlarze. Byliby oni nawet zmuszeni to robić, «bo interes apretera z dobrem powodzeniem tkacza zawsze jest nader blizko połączony.»

Rembieliński w sprawozdaniu za rok 1824 wypowiada nadzieję, że uda mu się ściągnąć do kraju kilku przedsiębiorców dla zakupu i apretury tkanin. Prześliznęła mu się tu myśl o możliwości uciskania drobnych tkaczy przez tych hurtowników. Dlatego zaleca ustanowienie określonej płacy za apreturę, sądząc, iż w ten sposób można będzie usunąć rzeczony wyzysk. Zdaniem jego, najlepszym ku temu sposobem jestześrodkowanie danej operacyi w ręku bogatych kapitalistów, którzy mogliby zabezpieczyć oddzielnym tkaczom zbyt wyrobów, dając im zarobek pewny.

Takich przedsiębiorców-apreterów, należących niejako do klasy kupców, należy odróżniać — dodaje Rembieliński — od fabrykantów, trzymających warsztaty i czeladź na rachunek własny.

W sprawozdaniu kaliskiej komisyi wojewódzkiej za rok 1826 Wobłyj znalazł taką uwagę: aczkolwiek spostrzega się postęp w rozwoju przemysłu bawełnianego i lnianego, jednak nie taki, jak w sukiennym. Jedną z głównych przyczyn jest ta okoliczność, iż dotąd niema takiego przedsiębiorcy, któryby dawał przędzę tka-

czom, zajmował się skupem tkanin niewykończonych, a następnie poddawał je wykończeniu i sprzedawał.

Wiadomościom o przesiedleniu się takich wielkich przedsiębiorców towarzyszą nadzieje najbardziej różowe. Zdaniem prezesa komisyi Mazowieckiej, osiedlenie się w Zgierzu (w 1822 r.) hurtownika Zacherta, zajmującego się skupowaniem i apreturą wyrobów tkaczy pojedyńczych, ułatwi im zbyt takowych i niewątpliwie okaże dobroczynny wpływ na ich dobrobyt. Oprócz tego, osiadł tu jeszcze — pisze prezes — Mejsner, który oddawna już zajmował się w Prusiech handlem z Rosyą. Skupuje on wielkiemi partyami sukno od tkaczy miejscowych i okolicznych, a następnie wysyła je do Rosyi. Podobne zjawisko spotykamy również i w Europie Zachodniej.

W Prusiech, na Śląsku, w Saksonii istniał system skupowania wyrobów niewykończonych przez wielkich przedsiębiorców, którzy już od siebie bielili, farbowali towar, puszczali go w obrót handlowy. W roli takich kupców-przedsiębiorców występowali przeważnie wzbogaceni tkacze [1].

Stosunki, powstałe między takim przedsiębiorcą apreterem a drobnym wytwórcą doskonale scharakteryzowane są w jednej prośbie (1827 roku) Langego, właściciela przedsiębiorstwa w Przedborzu. Istnienie drobnych sukienników (tkaczy) — pisał on — zapewnia rozkwit przedsiębiorstw wielkich. Wielkie zakłady z dużym zyskiem mogą zajmować się folowaniem, apreturą i farbowaniem sukna. Tkactwo, jako robota ręczna, nietylko nie odpowiada przedsiębiorstwu, opartemu na wytwórczości maszynowej, ale co więcej, fabryka, która ludziom drogo płacić musi, nie może iść w konkurencyę z sukiennikiem, który, sam dla siebie robiąc, ma w pomoc całą swoją familią.»

Dołącza się jeszcze do tego trudność nadzoru wobec wielkiej ilości robotników nad tem, iżby ci pracowali uważnie, dobrze i tanio, a przytem, żeby jeszcze nie kradli.

Jeżeli fabrykant sam w całości wyrabia sukno, to wypływa stąd jedna jeszcze wielka dla kraju niewygoda: drobny wytwórca (sukiennik) widzi w wielkim bogatym fabrykancie swego głównego wroga. Ubogi sukiennik bez podtrzymania, bez dobrej przędzalni, bez suknowal-

---

[1]) G. Schmoller: «Zur Geschichte der deut. Kleingewerbe...», str 541, 584.

ni, farbiarni i apretury, z niewielkim kapitałem, jest w stanie wyrabiać tylko grube sukno i po wysokiej cenie. Wreszcie sukiennik, tracąc zbyt, wpada w ręce żydowskie. Zubożały, pozbawiony nadziei na lepszą przyszłość, przeniesie on się do Rosyi; za nim zaś pójdą zamożniejsi, a wreszcie — bogaci. Wtedy wszystkie nasze wysiłki — pisze ten fabrykant — sprowadzą się do ułatwiania przenoszenia fabryk z krajów niemieckich do Rosyi.

Zupełnie odwrotnie stanie się, jeżeli rząd weźmie pod swą obronę wielkie przedsiębiorstwa, zwłaszcza te, na czele których stoją wielcy obywatele ziemscy (Lange był nim właśnie). W takim wypadku przy tych zakładach osiądą sukiennicy, którzy będą otrzymywali od właściciela nietylko kredyt na proste folowanie, apreturę i farbowanie do sprzedaży swych wyrobów, ale również często i kredyt na zakup wełny w razie nieszczęścia, potrzeby i t. p.

Fabrykant, mając kapitał i sukienników, osiadłych w danem miejscu, śledząc uważnie za każdym drobiazgiem, będzie mógł dobrze prowadzić interes i zdoła ulżyć położeniu wielu drobnych wytwórców. To umacnia spójnię między tkaczami drobnymi a fabrykantem [1]). Spójnia ta zapewnia zobopólny ich rozkwit, mimo nieszczęśliwe przypadki, jakie zawsze zdarzyć się mogą.

W zakończeniu Lange powołuje się na przykład Belgii, w której, dzięki panowaniu wielkiej wytwórczości, przemysł nie upadł po wprowadzeniu w wielu krajach systemu prohibicyjnego. Przeciwnie zaś, na Kaszubach, w Prusiech, a nawet w Saksonii, gdzie było niewielu sukienników z kapitałami, większość biednych tkaczy została zrujnowana po zaprowadzeniu tego systemu. Kto mógł podtrzymywać ich, kto mógł dać inny kierunek ich działalności, kiedy interes bogatego nie zależał od interesu mniej zamożnego?

Takiego rezultatu doczekamy się i my, jeżeli więksi kapitaliści i przedsiębiorcy nie będą dawali podtrzymania sukiennikom drobnym. W tym celu—powiada Lange—ja właśnie otworzyłem razem z Coquerill'em z Leodium (Liège) przedsiębiorstwo w Przedborzu.

---

[1]) Archiw. Gen.-Gub. Sek. V, 13 A...v. 348 VI. Istota prośby Langego zawierała się w tem, żeby fabryce jego w Przedborzu i kolonii fabrycznej wolno było wwozić sukno do Rosyi przez Warszawę. Prośbie tej stało się zadość na mocy decyzyi namiestnika z dnia 1-go lipca 1828 roku.

Prośba ta wielkiego fabrykanta rzuca jasne światło na położenie drobnej i wielkiej wytwórczości, na ich wzajemne stosunki. Z dokumentu tego wypływa kilka wniosków, a przedewszystkiem ten, iż jeszcze w roku 1827 (data prośby Langego—20 sierpnia 1827 r.) w sukiennictwie rolę panującą grało tkactwo ręczne, znajdujące się w ręku drobnych wytwórców, pracujących przy pomocy swych rodzin.

Wielkiemu fabrykantowi nie powstawała nawet myśl w głowie o możliwości konkurencyi wytwórczości fabrycznej z ręczną w sferze tkactwa przedewszystkiem wobec trudności nadzoru nad robotnikami, wobec braku u nich interesu osobistego. Z drugiej strony, współzawodnictwo to wydawało mu się niebezpiecznem i ze społecznego punktu widzenia, i zaostrzało ono stosunki między drobnym a wielkim wytwórcą: inaczej mówiąc, stwarzało przeciwieństwa klasowe. Kiedy wielka wytwórczość pochwyta w swe ręce procesy wyższe: apreturę, farbowanie i t d., wtedy — zdaniem Langego — między drobnym tkaczem a wielkim fabrykantem ustanawia się pełna harmonia interesów.

Tkacz drobny, dostarczający swych niewykończonych tkanin fabrykantowi wielkiemu i korzystający w szerokich rozmiarach z jego kredytu, jest żywo zainteresowany w powodzeniu swego przedsiębiorcy; również i dla tego ostatniego bynajmniej obojętnem nie jest położenie drobnego wytwórcy. Powstaje pełna solidarność interesów. Widać, że podówczas zgodnie jeszcze żyła wielka wytwórczość z drobną. Walka między niemi rozwija się nieco później. Już w r. 1831 (dnia 21 paźdz.) starsi cechów m. Zgierza, Aleksandrowa, Ozorkowa, Zduńskiej Woli podali prośbę do komisyi spraw wewnętrznych, zawierającą w sobie życzenie, iżby w tych miejscach, gdzie osiedli fabrykanci drobni, zabronionem było dalsze urządzanie fabryk znaczniejszych; zaś obecnie istniejące winny być pozostawione siłom własnym i pozbawione pomocy rządowej. Snadź dobrodziejstwa wielkich kapitalistów nie okazały się zbyt słodkiemi dla tkaczy drobnych. Przegląda tu już wyraźna świadomość przeciwieństwa interesów wielkiego i drobnego wytwórcy.

Tożsamość interesów, o jakiej myślał Lange, tłomaczy się poprostu tem, że podówczas panowała decentralizowana wytwórczość wielka.

Centralizacya odbyła się jedynie na najwyższych stopniach procesu wytwórczościowego, gdzie trzeba było

przysposobień technicznych, inaczej mówiąc, gdzie potrzeba było znacznego wkładu kapitału. Zwykle przy takich zakładach scentralizowanych mieszkała grupa wytwórców drobnych, pracujących na rachunek wielkiego przedsiębiorcy. Ci drobni wytwórcy pracowali u siebie w domu, posługując się siłą roboczą swej rodziny. Z początku zależność ta drobnego wytwórcy od wielkiego była pozorowana operacyami kredytowemi: drobny tkacz otrzymywał na kredyt od wielkiego przedsiębiorcy przędzę, na kredyt farbowali mu i wykończali sukno i t. p. Od tego niedaleko już było do zupełnej utraty samodzielności gospodarczej, kiedy wytwórca drobny zaczynał pracować poprostu na rachunek wielkiego kapitalisty. Co prawda, pracował on u siebie w domu ze swemi narzędziami i w kole swej rodziny, ale była to już tylko złuda samodzielności dawniejszej.

W dokumentach archiwalnych spotykamy wzmianki o istnieniu takiej właśnie formy wytwórczości. Istniały wielkie przedsiębiorstwa scentralizowane, zajmujące się ostatecznem wykończeniem towaru, a następnie jego sprzedażą. Zwykle znajdowały się przy nich niewielkie zakłady tkackie, ale główną masę sukna przedsiębiorstwa te otrzymywały od tkaczy pojedyńczych.

Ze sprawozdania Sandomierskiej komisyi wojewódzkiej za rok 1827 widać, iż w Przedborzu pojedyńczy tkacze pracowali częściowo na fabrykę Langego, częściowo—na żydów. W sprawozdaniu za rok 1825 Kaliskiej komisyi wojewódzkiej mówi się o zbudowaniu nowej fabryki sukna Pola i Sp. Bogaty ten kupiec — powiada sprawozdawca — urządza tylko gmach dla apretury, mając na widoku skupowanie sukna od drobnych wytwórców, celem wywożenia go do Rosyi i Chin. Przedsiębiorstwo rzeczone powinno polepszyć położenie tkaczy drobnych, którzy nie posiadają kapitału dostatecznego do prowadzenia handlu z Rosyą, a w szczególności z Chinami.

W ostatniem zdaniu znajdujemy wyraźne podkreślenie tej okoliczności, która wywołała utratę niezależności gospodarczej drobnych wytwórców, mianowicie: oddalenie rynku.

O fabryce pod firmą «Pol i Sp.» rzeczywiście znajduje się taka uwaga: daje ona jeszcze robotę drobnym tkaczom i w ten sposób wybawia ich z rąk żydowskich.

W sprawozdaniu tejże komisyi za rok 1829 znajduje

się następująca uwaga o fabryce Possarta: Fabryka ta dawała zarobek 1,145 robotnikom. Zakład, znany dla swych wielkich rozmiarów, nie mieścił się w budynkach własnych, lecz «był rozrucony po różnych domach miasta Sieradza, a nawet okolicznych miasteczkach i wsiach, co czyniło dozór iego trudnym, a nawet często niepodobnym». Celem usunięcia tej niedogodności, obecni właściciele zamierzają w roku bieżącym zbudować wielki gmach fabryczny o dwu piętrach, pięć domów jednopiętrowych dla tkaczy i duże pomieszczenia dla 36 koni [1]).

Jest to bardzo cenna wiadomość.

Lange uważał za bardziej korzystną wytwórczość decentralizowaną; gdy przeciwnie zaś właściciele fabryki Possarta przyszli już do przekonania o niezyskowności tej formy i zamierzali utworzyć jedno przedsiębiorstwo scentralizowane. Główna jej niedogodność zawierała się w trudności, a nawet niemożliwości nadzoru. Tam, gdzie tysiąc drobnych wytwórców, rozrzuconych po różnych domach, pracowało na rachunek kapitalisty, trudno było urzeczywistnić jako tako skuteczny nadzór. I oto kapitalista łączy swych robotników w jedno przedsiębiorstwo scentralizowane, gdzie jego władza kierownicza może nadać kierunek i ton każdemu członkowi poszczególnemu organizmu przemysłowego.

W ten sposób około roku 1829 spotykamy pierwsze kroki na drodze przejścia wielkich przedsiębiorstw decentralizowanych w scentralizowane. Prawdopodobnie na tejże podstawie zorganizowano i inne wielkie przedsiębiorstwa owoczesne.

Znane były też podówczas dwie fabryki sukna: Rephana w Kaliszu (założona w 1817 r.) i Fiedlera w Opatówku (1825 r.). O pierwszej wiadomo, iż w r. 1825 posiadała 58 warsztatów tkackich; nadto jeszcze, rozdawała przędzę wełnianą drobnym wytwórcom. Świadek współczesny, opisując ją po zwiedzeniu jej w r. 1828 — powiada, że wyrabiała ona 5,000 postawów sukna, codzień pracowało w niej 500 ludzi — w takim porządku, jak gdyby oddawna byli oni do tego przysposobieni. Większą część robotników stanowili, zdaje się, Polacy. Właściciel fabryki zaczął interes z niewielkim kapitałem, posiadając nie więcej ponad 5 tys. talarów. Rząd ustą-

[1]) Arch. Jen. - Gub. Og. Akta..., tyczące się Rapportu rocznego 1829 r.

pił mu młyn na Prośnie i budynek dwupiętrowy naprzeciw kościoła św. Ducha, na urządzenie farbiarni. Z młyna Rephan zrobił suknowalnię i przędzalnię, poruszaną siłą wody.

Dotąd Rephan wyrabiał sukno wyłącznie dla Rosyi, ale teraz dwaj kupcy—jeden z Petersburga, drugi z Moskwy — zrobili u niego znaczne zamówienia dla Chin. Sukno, przeznaczone na ten wywóz, winno mieć w postawie 50 łokci długości [1]).

Sprawozdanie za rok 1829 podaje, iż fabryka ta zatrudniała 1,102 ludzi. Ponieważ w latach tych na fabryce Rephana nie pobudowano żadnych zgoła budynków, to, naturalnie, w jednym i tym samym budynku nie można było pomieścić podwójnej liczby robotników. Przeto wnosimy stąd, iż sprawozdanie do liczby robotników włączyło i tych, którzy pracowali u siebie w domu, ale na rachunek fabrykanta. To przypuszczenie da się potwierdzić i tym faktem, że, według słów wspomnianego świadka, w roku 1828 wyrobiono na fabryce Rephana około 5,000 postawów sukna; wedle zaś danych sprawozdania w 1829 r — 148 tys. łokci (rozdzieliwszy na 30 łokci, zwykłą długość postawu, otrzymamy 4,700 postawów).

Zatem wytwórczość roczna sukna w latach 1828 — 1829 pozostała bez zmiany, tymczasem ilość robotników w ostatnim roku podano w sprawozdaniu o dwa razy większą. To dziwne zjawisko niewątpliwie tłómaczy się tem poprostu, iż Łubieński, zwiedzający fabrykę, wzmiankuje o liczbie robotników codzień w niej zajętych, nie wspominając o tych tkaczach, którzy w swych domach pracowali na fabrykę; w sprawozdaniu zaś, przeciwnie, wyliczeni są wszyscy, otrzymujący zarobek u Rephana. Ciekawa rzecz, iż liczba tkaczy, pracujących u siebie w domu, przewyższała nieco nawet ilość robotników, zajętych w fabryce (600 przeciwko 500).

Fabryka Fiedlera uważaną była za najpierwszą w kraju pod względem doskonałości techniki oraz dla swych wielkich rozmiarów. Używała ona już siły pary. Wszystkie maszyny były poruszane przez dwie maszyny parowe: jedna o sile 24 koni, druga 12 koni; były one sprowadzone z Leodyum (Liège). Przy fabryce istniał zakład dla wyrobu wszystkich narzędzi i maszyn, nie-

---

[1]) Rog. Łubieński: «Generał Tomasz Pomian hr. Łubieński». Warszawa, 1799, t. I, str. 480—481.

zbędnych w wytwórczości tkackiej. Zastosowanie siły pary, najpierw urzeczywistnione na fabryce Fiedlera, okazało się pożytecznem i dla innych zakładów [1]). W sprawozdaniu za rok 1826 znajduje się wzmianka o tem, że suknowalnia parowa Fiedlera okazała wielką usługę innym sukiennikom. Z powodu ostrej posuchy liczne suknowalnie, używające siły wody skazane zostały na bezczynność; tymczasem suknowalnia parowa pracowała bez przerwy; dlatego z jej usług korzystali i inni fabrykanci.

Według opisu Łubieńskiego z dnia 16 marca 1828 roku należy ona do najlepszych fabryk tego rodzaju. Maszyna parowa o sile 20 koni porusza wszystkie maszyny w fabryce, druga zaś o sile 10 koni postawiona jest w suknowalni [2]). Znajduje się już 60 warsztatów, ale Fiedler chce ilość ich podnieść do 100. Fabryka wyrabia głównie sukna cienkie wartosci 14—40 zł, za łokieć; zamówień ma dużo. Obecnie Fiedler buduje nowy gmach czteropiętrowy wyłącznie na warsztaty z ogrzewaniem centralnem [3]). Widać, że Fiedler bardzo się troszczył o techniczną organizacyę swej fabryki. Celem poznania najnowszych udoskonaleń technicznych w sferze przemysłu wełnianego posłał on w roku 1829 syna swego do Holandyi, Francyi i Anglii. W fabryce tej według danych roku 1829 pracowało 150 ludzi, przyczem sprawozdanie podaje, że ilość ta jest niższą od lat poprzednich, ponieważ na fabryce nastąpiła przerwa w apreturze sukna.

Jak wiemy z opisu sieradzkiej fabryki Harrera, w wielkich przedsiębiorstwach owoczesnych praktykowano nawet robotę nocną. W fabryce Harrera pracowały dwie zmiany: nocna i dzienna. Taka intensywna wytwórczość tłomaczyła się wzmożonym popytem, jak twierdzi Wobłyj, ze strony Rosyi na sukno polskie. Autor powiada, że spotykał w dokumentach archiwalnych wzmianki, iż ta lub owa fabryka zaledwie zdąży wykonać swe zamówienia. Bardziej spostrzegawczy przedsiębiorcy domyslili się właśnie urządzić pracę na dwie zmiany.

Oprócz wielkich przedsiębiorstw prywatnych istniały w Królestwie Polskiem i zakłady rządowe. Owszem,

---

[1]) Warto zauważyć, że pierwsza maszyna parowa zjawiła się w Królestwie Polskiem w fabryce Langego i Sp. w Przedborzu roku 1824. Była to niewielka maszyna postrzygalnicza o sile 3 koni; u Fiedlera zaś motor parowy był zastosowany do wszystkich stadyów procesu wytwórczego,

[2]) Dokumenty archiwalne podają nieco wyższe cyfry.

[3]) Rog. Łubieński *op cit* t. I, str. 484.

przedsiębiorstwa wielkie najpierw utworzone zostały przez rząd polski, — dopiero później powstawać zaczęły wielkie fabryki właścicieli prywatnych. Jedna tylko fabryka Rephana wyprowadza swój początek od roku 1811, ale w pierwszych latach była ona przedsiębiorstwem niewielkiem. Wogóle wielkie fabryki sukna powstają dopiero po rozwoju ożywionych stosunków handlowych z Rosyą.

Z wcześniejszych przedsiębiorstw rządowych w przemyśle wełnianym wymienić należy fabrykę sukna cienkiego w Warszawie pod firmą Poland. W roku 1822 w fabryce tej liczono 54 warsztaty i 180 robotników; w roku zaś 1824 sprzedano ją Frenklowi za 1½ mil. zł. Posiadała ona maszynę parową o sile 18 koni; część warsztatów była wprawiana w ruch przez tę właśnie maszynę. Wedle słów Nagla pomieniona fabryka dawała zajęcie 600 robotnikom [1]).

Drugiem wielkiem przedsiębiorstwem rządowem była fabryka dywanów w Warszawie.

Wedle danych roku 1822 pracowało w niej 309 robotników. W roku 1829 rząd sprzedał ją Janowi Spigmerowi, Z raportu za rok 1825 widać, że fabryka dywanów używała jeszcze 150 przędzalników, mieszkających w Warszawie oraz w jej okolicach.

Fabryki rządowe są pierwszemi wielkiemi przedsiębiorstwami, zorganizowanemi kapitalistycznie.

Wyliczenie to wielkich przedsiębiorstw w przemyśle wełnianym wskazuje, iż podówczas w Królestwie Polskiem istniało już kilka przedsiębiorstw, które nazwać trzeba w całem znaczeniu słowa fabrykami czyli takiemi zakładami przemysłowemi, w których pracowała znaczna ilość robotników i stosowano już maszyny. Istniały fabryki sukna z motorami parowemi jedna w Opatowie, druga w Warszawie; kilka fabryk używało siły wody i siły koni.

Rząd zwracał wielką uwagę na techniczną organizacyę przedsiębiorstw fabrycznych i dokładał wszelkich starań, iżby postawić ją na należnej wysokości. Przeto sprowadził on na model maszynę do przędzenia wełny od znanego w dziejach przemysłu na lądzie europejskim Cocquerill'a, który zajmował się rozpowszechnieniem maszyn przędzalniczych, wywiezionych przez się z An-

---

[1]) Nagel: «Rys przemysłu tkackiego w Królestwie Polskiem od 1815 roku» patrz «Ekonomista» № 18 z roku 1880.

glii, brał udział w organizacyi technicznej fabryk polskich i był współwłaścicielem fabryki Langego w Przedborzu [1]). Zanim przeprowadzono ten model komisarz fabryczny zwracał się do Cocquerill'a z prośbą o zrobienie maszyny przędzalniczej siłami robotników miejscowych. Cocquerill odpowiedział na to, że taka maszyna będzie kosztowała dwa razy drożej i nie będzie odznaczała się akuratnością wykończenia. Majstrowie miejscowi nie są jeszcze w stanie zrobić doskonałego modelu.

Rząd polski troszcząc się o najlepsze postawienie techniki w fabrykach, wysłał znanego wynalazcę maszyny przędzalniczej, Girard'a, do Anglii z poleceniem dostawienia wszystkich nowych wynalazków. W liście z dnia 22 marca 1826 roku Girard wyraża swój podziw dla doskonałości angielskich maszyn tkackich.

«Wszystkie one bez wyjątku absolutnie lepsze są od tych, jakie spotykałem na lądzie» — pisze ten wielki znawca techniki ówczesnej «Ujrzawszy je, przestaniemy się dziwić wielkiej różnicy, istniejącej między produktami tych różnych maszyn (de la grande différence qui existe entre les produits de ces diverses machines»).

W listopadzie 1829 roku została zawarta ze Steinkellerem umowa na dostawę maszyn z Anglii [2]).

Dzięki staraniom rządu z jednej strony, z drugiej zaś warunkom przyjaznym, przemysł sukienniczy stał podówczas na czele innych dla swego rozwoju i dla doskonałości organizacyi technicznej. Pod tym względem Królestwo Polskie stanowiło wyjątek w historyi przemysłu. «Wszędzie — powiada Kuliszer [3]) — motory parowe wprowadzano najwcześniej do wytwórczości bawełnianej, gdzie praca ręczna była już zastąpiona przez maszynową, a dopiero potem zaczęły one rozszerzać się i w innych gałęziach wytwórczości, w miarę wypychania z nich drobnego przemysłu fabrycznego». Przeciwnie zaś w Polsce motory parowe najpierw zjawiły się w przemyśle sukienniczym.

W wytwórczości bawełnianej nie było takich wielkich przedsiębiorstw, jak w wełnianej. Wspomnieć należy o fabryce bawełnianej Paschalisa w Lipkowie, zbudowanej w roku 1823. Fabryka ta była jedyną w kraju, która

---

1) Więcej szczegółów podaje o nim Kuliszer w pracy p. n. «Ewolucja pribyli s kapitała». Petersburg, 1908, t. II, str. 91.

2) Arch. Jen.-Gub. Akta... tyczące się sprowadzenia różnych machin z Anglii. V. t. I.

3) Kuliszerz *op. cit.* t. II, str. 99.

obejmowała wszystkie działy wytwórczości bawełnianej, poczynając od przędzenia bawełny, a kończąc apreturą tkanin wyrobionych. Pisarz współczesny wychwala wzorowy porządek, panujący w fabryce Paschalisa. Jest to — powiada on [1]) — okoliczność nie bez znaczenia, gdy zwrócimy uwagę, że robotnicy zagraniczni «zepsuci dobrem powodzeniem w kraju naszym, zwłaszcza w początku, przy najmniejszem napomnieniu ze strony gospodarza o porządku grozili porzuceniem warsztatów.

Z innych większych przedsiębiorstw w tej gałęzi wytwórczości wymieńmy jeszcze zakład rządowy, wyrabiający perkale w Marymoncie. Według danych odnośnych już w roku 1822 pracowało w tem przedsiębiorstwie 68 ludzi.

Około roku 1829 zamierzono wznieść olbrzymią przędzalnię bawełny. Myśl urządzenia tego przedsiębiorstwa podał anglik Tonnes Zwrócił się on z propozycyą urządzenia przędzalni bawełny o 36,658 wrzecion z wytwórczością roczną 786,240 funtów przędzy przy 1,500—2,000 robotników. Maszyny miały być poruszane siłą wody. Propozycyę tę gorąco popierał wielki właściciel ziemski hr. Ostrowski, w którego dobrach zamierzano właśnie urządzić przędzalnię bawełny. Zdaje się życzliwie przyjęto ją i w sferach rządowych, jak wskazuje list ks. Lubeckiego do hr. Ostrowskięgo, gdzie obiecano pomoc pieniężną przedsiębiorstwu nowemu.

Tonnes zamierzał sprowadzić z Anglii 20—25 majstrów z rodzinami jako instruktorów po to, iżby fabryka miała zupełnie angielski charakter, nie zaś niemiecki. Miejsce na fabrykę zostało wybrane ostatecznie w Sernikach pod Lubartowem (w województwie Lubelskiem). Dnia 30 grudnia 1829 roku zawarta została umowa, według której Tonnes zobowiązał się urządzić przędzalnię bawełny o 30,204 wrzecionach w ciągu trzech okresów (co dwa lata po 10,068 wrzecion). W roku 1830 zostały rozpoczęte roboty nad urzeczywistnieniem tego przedsiębiorstwa; atoli powstanie listopadowe powstrzymało jego ukończenie. Wreszcie śmierć od cholery w roku 1831 samego założyciela przędzalni wełny ostatecznie podcięła to wielkie przedsiębiorstwo w samym jego początku [2]).

W przemyśle lnianym, który podówczas rozwijał się

---

[1]) Prof. Hann. *op. cit.* str. 13

[2]) Arch. Izby Skarb. Dyrekcya Przemysłu i Kunsztów. Lit. J. № 1/547. Akta Kom. Rz. Sp. W. i Pol. tyczące się zakładu angieskiey przędzalni Tonnes w Sernikach Woiewództwie Lubelskioem. V. I—IV.

znacznie słabiej, niż przemysł sukienny, a nawet bawełniany, fabryk nie było wcale. Istniało wielkie przedsiębiorstwo Kopisza, ale nie była to fabryka, tylko raczej zakład handlowy spekulujący na prawie wwozu bez cła przędzy lnianej i lnianych wyrobów. W ostatnich latach była urządzona przędzalnia mechaniczna Rutzingera w Łodzi, lecz stała ona bezczynnie, jak twierdzi pisarz współczesny, prof. Hann [1]). Według słów właściciela przędzalni lnu bezczynność tę wywołała niedostateczność kapitału obrotowego i przywileje, dane Kopiszowi (przywóz przędzy bez cła). Prof. Hann doszedł nawet do wniosku, iż przędzalnia mechaniczna lnu i konopi była dla Królestwa Polskiego jeszcze przedwczesną.

Dopiero w roku 1830 została puszczona w ruch akcyjna fabryka lnu z motorem parowym w pomieszczeniu czasowem w Marymoncie. Jest to przyszła fabryka żyrardowska, o której wspominaliśmy wyżej.

Tak więc przekształcenie się form wytwórczości przemysłowej aż do formy fabryki scentralizowanej kapitalistycznej wydało oddzielną warstwę ludu pracującego, zupełnie uzależnioną od kapitału.

W rozwoju tych form ogromną rolę odegrał kapitał handlowy. W początku kapitał ten zawładnął wyłącznie sferą wymiany produktów, nie okazując wyraźnego wpływu na samą wytwórczość. Taki wpływ kapitału kupieckiego w Królestwie Polskiem uwarunkowywał się przeważnie oddaleniem rynku i tem ponadto, że wytwórcy przybysze nie znali warunków zbytu. Kupiec, dobrze obeznany z rynkiem, musiał był wziąć na się rolę pośrednika między wytwórcą a spożywcą. Przeniknięcie kapitału handlowego do procesu wytwórczości uwydatniło się wyraźniej tam, gdzie skupujący (handlarz) otwierał kredyt drobnym wytwórcom. Pożyczając im wełnę, przędzę, niekiedy nawet narzędzia, skupujący stopniowo uzależniał od siebie całą wytwórczość. Tutaj już całe gospodarstwo wytwórcy wpadało w wyraźną zależność od kapitału handlowego. Drobny wytwórca zaczynał już pracować dla dostarczenia dochodu właścicielowi kapitału. To stadyum przejściowe od dawnych sposobów wytwarzania do nowych obserwujemy w Królestwie Polskiem od pierwszej zaraz chwili powstania przemysłu. Jego zjawienie się tłomaczyło się ubóstwem imigrantów, nie posiadających nic oprócz warsztatu tkackiego i robo-

---

[1]) Prof. Hann *op. cit.* str. 16.

czych rąk. Odrazu też wpadli oni w mocne szpony handlarzy żydowskich, którzy otworzyli im kredyt z pobieraniem lichwiarskich procentów. Wprawdzie rząd i niektóre osoby prywatne (wielcy właściciele ziemscy) próbowali w ten lub inny sposób uwolnić wytwórców drobnych od wyzysku żydowskiego, ale to, jak widzieliśmy, nie zawsze im się udawało.

Utrata niezależności gospodarczej przez drobnego wytwórcę przybrała inne formy charakteru czysto kapitalistycznego. Kapitalista-handlarz ustąpił miejsce przedsiębiorcy kapitalistycznemu, który wziął pod swój nadzór i w swoje zawiadywanie nietylko sferę zbytu, ale i sferę wytwórczości. Teraz już kapitalista zjawia się nie tylko w postaci kupca, lecz nadto i w postaci fabrykanta apretera, biorącego udział bezpośredni w procesie wytwórczościowym, przynajmniej na jego wyższych stadyach. Ten fabrykant kupiec daje robotę mniej lub więcej znacznej ilości wytwórców drobnych; tymczasem robota wykonywa się jeszcze nie w pomieszczeniu przedsiębiorcy, lecz w domu u pracownika. Wytwórczość prowadzi się na rachunek przedsiębiorcy. Puszcza on w ruch wytwórczość, reguluje ją, niekiedy daje towarom ostateczne wykończenie, troszczy się o ich zbyt i zabiera stąd dochód [1]). Cień dawnej samodzielności wytwórcy drobnego zachowuje się w tem tylko, że praca odbywa się jeszcze tymczasem w jego mieszkaniu.

W Królestwie Polskiem istniało podówczas kilka przedsiębiorstw, zorganizowanych na takiej podstawie. Nazwijmy w przemyśle sukienniczym firmę Possart i Sp., Zacherta, Pol i Sp., w przemyśle bawełnianym — Gostkowskiego, w lnianym — Kopisza i t. d. Do jakich rozmiarów doszły przedsiębiorstwa podobne, widać stąd, że u firmy Possart i Sp. pracowało w domu przeszło tysiąc robotników.

Wymienione tu formy przemysłu znane są w nauce pod ogólną nazwą «systemu wytwarzania na przekupnia» («Verlagssystem» Buchera) albo «systemu przemysłu domowego» (Hausindustrie według terminologii dawniejszej) [2]).

Jest to bezwarunkowo forma kapitalistyczna wytwórczości. Podstawy socyalne i ekonomiczne kapitalistycz-

---

[1]) Patrz «Wörterbuch der Volkswirtschaft» Elstera, 2 Auf. 1906. Bd. II, art. Gewerbe, str. 1011.

[2]) Patrz «Handw. der Staatswissenschaften, 3 Auf. 1900, Bd. IV art. Gewerbe, str. 380.

nego przedsiębiorstwa zjawiają się tu w kształcie prawie zupełnie rozwiniętym. Przedewszystkiem istnieje tu już całkiem uzależniona warstwa pracowników najemnych.

Jak wykazuje analiza poprzednia rozwój formy przemysłu w Królestwie Polskiem i wytworzenie klasy robotników przemysłowych nosiły zgodne rysy z rozwojem takowych w innych krajach z tą różnicą istotną, że ewolucya form odbywała się tu bardziej szybko.

Przejście od wielkiej wytwórczości decentralizowanej do scentralizowanej — manufaktury i fabryki zakończyło się w pewnych wypadkach między rokiem 1820 a 1830. Powstaje sporo wielkich przedsiębiorstw scentralizowanych, w których była już urzeczywistniona pełna koncentracya całego procesu wytwórczości, a przeto zajętą była spora ilość proletaryatu. Z przedsiębiorstw takich znane są nam: fabryka Fiedlera, Rephana, Harrera, Paschalisa i t. d. Wielkie przedsiębiorstwa scentralizowane przedstawiały sobą zjawisko częstsze w przemyśle sukiennym, niż w innych gałęziach wytwórczości i w każdym razie ogólna ich ilość do roku 1830 była względnie niewielka, jak również i zajęta w nich liczba robotników nie mogła być znaczną. Rzecz charakterystyczna, iż te przedsiębiorstwa scentralizowane nie zrywały łączności z systemem domowym przemysłu. Wielcy kapitaliści trzymali przy swych przedsiębiorstwach scentralizowanych wielu drobnych wytwórców, pracujących na ich rachunek w domu. Wymieńmy fabrykę sukna Langego i Sp. w Przedborzu, Rephana w Kaliszu i inne. Obok więc zupełnie uzależnionych od kapitalisty rzesz robotniczych pracowały dla fabryki tysiące wytwórców drobnych na poły od niego zależnych.

Taki sam proces centralizacyi kapitalistycznej odbywał się u nas od pierwszych początków rozwoju przemysłu we wszystkich innych gałęziach wytwórczości krajowej. Acz na skromniejszą, niż to widzieliśmy w przemyśle tkackim, skalę, wszakże coraz szerzej i szerzej rozwijał się w Królestwie kapitalizm, wydając coraz to nowe przedsiębiorstwa i pociągając ku nim setki pracowników, którzy nic tu nie przynosili oprócz swej siły fizycznej, a stąd całkowicie uzależniali się od przedsiębiorcy.

Po roku 1830, kiedy nadwyrężone zostały stosunki handlowe między Polską a Rosyą, i zatamowany był nasz przemysł fabryczny, ludność przemysłowa znacznie się zmniejszyła: wielu zawodowców przeniosło się z Królestwa do Cesarstwa na lepsze warunki materyalne. Atoli

rychło przemysł polski znalazł sposób wyjścia z ciężkiego, w jakiem się znalazł, położenia w udoskonaleniu swej wytwórczości, i jeszcze mocniej rozwinął produkcyę fabryczną. Obok takich fabryk, jak Fiedlera i Rephana zjawiają się większe przedsiębiorstwa: Margulesa Szai w Ozorkowie, liczące 22 ręczne warsztaty z 45 robotnikami; Sztumpfa w Tomaszowie — warsztatów ręcznych 30, mechaniczny 1 o wrzecionach 660, robotników 80; Kruschego i Sp. w Pabjanicach—450 ręcznych warsztatów robotników 580; tam-że Kindlera—warsztatów ręcznych 110, robotników 160; w Pilicy Moesa—40 warsztatów ręcznych, wrzecion 2,400, robotników 600. Ludność pracująca przy fabrykach sukna oraz innych wyrobów wełnianych wynosiła w 1850 roku — 9,600 osób, zaś w 1864 roku — 8,274 osoby. Jeszcze znaczniejszy rozrost liczebny ludności pracowniczej znajdujemy w przemyśle bawełnianym w 1850 roku w fabrykach bawełnianych pracowało 14,326 osób, w 1860 roku — 17,044 osoby, zaś w 1864 roku — 11,867 osób płci obojga [1]. W zakładach tkackich wyrobów lnianych i konopnych, z powodu upadku tej gałęzi przemysłu, ilość robotników fabrycznych była nieznaczną. Jak mówiliśmy wyżej, urządzoną została w Żyrardowie pierwsza i jedyna w kraju przędzalnia mechaniczna przez spółkę p. f. Karol Scholtz & Comp., na którą Girard przelał wszelkie prawa i obowiązki, jakie na mocy umowy uprzedniej zaciągnął względem rządu polskiego. W roku 1833 powstała przy tym zakładzie tkalnia z blichem oraz z wszelkiemi pomocniczemi urządzeniami. Zakład ten w samym początku wsparty przez rząd pod postacią machin, materyałów i pieniędzy w kwocie 27 tys. rb., nieustannie zasilany pożyczkami z funduszów Banku Polskiego, mimo wysiłki jego właścicieli chwiać się począł. Bank Polski tedy, ratując to przedsiębiorstwo od upadku, nabył w roku 1847 całą fabrykę i na rachunek własny prowadził ją przez lat 10 czyli do roku 1856, w którym to roku sprzedał ją przedsiębiorcom Hille i Ditrich, udzielając im obok wielu przy kupnie ułatwień znaczną jeszcze pożyczkę. Zakład ten po roku 1864 zatrudniał 950 ludzi, miał 24 machin przędzalnianych, 360 warsztatów tkackich i wyrabiał webę, kopówkę, bieliznę stołową, drelichy i t. p. Z innych tego rodzaju zakładów wspomnijmy przedsiębiorstwo Dombrowicza w Dobrowoli (ziemi Augustowskiej), zatrudniające przy pracy 56 ludzi.

[1]) «Encyklopedya Powszechna» t. 24, str. 82 i nast. (Warszawa, 1867), art. «Statystyka Królestwa Polskiego».

Oprócz tego było jeszcze 5 znaczniejszych zakładów, a przytem 2,225 rękodzielni pomniejszych, mających po 10 warsztatów i pojedyńczych rzemieślników, tudzież dwie przędzalnie bawełny. W roku 1864 zakłady powyżej wzmiankowane zajmowały 5,527 robotników. Przedsiębiórstwa wyrobów jedwabnych i mieszanych z jedwabiem (w ilości 19) zatrudniały tegoż roku 4 pojedyńczych tkaczy i 92 robotników przy 62 warsztatach.

Wogóle całe tkactwo zatrudniało w tym czasie 25,760 robotników i wydawało produkcyi na sumę 10,440 tys. rb.

Z zakładów, przerabiających płody roślinne, cukrownie zajmowały w 1850 roku — 3,026 robotników, zaś w 1864 roku—już 10,252 płci obojga; gorzelnie w 1864 roku — 8,133 osoby; browary — 2,474 pracowników; fabryki likierów, wódek, araków, wina szampańskiego — 359 robotników; fabryki tytoniu i tabaki — 1,736 ludzi; fabryki octu — 77 robotników; olejarnie — 569 pracujących; fabryki cykoryi — 138 ludzi; młyny parowe i amerykańskie — 650 pracowników; młyny wodne, wietrzne oraz deptaki — 5,565 osób; fabryki powozów i bryczek — 276 pracowników; fabryki fortepianów — 58 ludzi; papiernie — 1,012 robotników; fabryki obić papierowych — 39 ludzi zajętych; fabryki plecionek łyczkowych, kapeluszy słomkowych i kwiatów sztucznych — 67 pracujących; fabryki zapałek chemicznych — 41 robotników; fabryki krochmalu — 82 osoby; zakłady wyrobów dziegciowych, terpentyny i smoły — 493 pracujących, fabryki laku — 248 ludzi; zakłady, wyrabiające sztyfty drewniane, forniry i t. d. — 52 pracowników.

Wogóle wszystkie zakłady tego działu zatrudniały 32,056 robotników i wytwarzały na sumę 28,820 mil. rb.

Przyjrzyjmy się dalej liczbie ludności pracującej podówczas w zakładach przerabiających płody zwierzęce. Z tych garbarnie i białoskórnie zatrudniały w 1864 roku — 2,561 robotników;

fabryki świec stearynowych i woskowych — 351 zajętych ludzi;

fabryki świec łojowych i mydeł — 174 osoby; fabryki kleju stolarskiego — 29;

zakłady wyrobów włosiennych i sitarskich — 2,865.

Ogółem zakłady tego działu zatrudniały w 1850 roku — 5,053 ludzi, w 1860 roku — 5,426 osób, w 1864 roku — 6,056 pracujących.

Ludność górnicza i hutnicza była mniej liczną i roz-

wijała się mniej szybko, niż należałoby się spodziewać, a to dzięki zaniedbaniu, w jakiem aż pod koniec XIX wieku znajdowało się górnictwo i hutnictwo polskie. W r. 1816 górnictwo nasze powierzono oddzielnej dyrekcyi, której oddano w zarząd pola dawnych kopalń olkuskich, chęcińskich, miedzianogórskich, tudzież fabryki żelazne w Samsonowie, Suchedniowie, Radoszycach, Pankach.

W r. 1825 zarządzanie górnictwem oddano komisyi skarbu i zamierzono otworzyć Olkusz, rozwinąć kopalnie węgla i huty cynkowe, wznieść zakłady żelazne. Powstał wkrótce zakład wyrobu machin w Białogonie pod Kielcami, warsztaty machin na Solcu w Warszawie. Pobudowano wielkie piece. Atoli nie dopięto zamierzonych celów rozwinięcia produkcyi żelaza na wielką skalę tak, iżby wywozić je na rynki zagraniczne. Niektóre przedsiębiorstwa pozostały nieukończonemi, — inne zaś, pozbawione ruchu, chyliły się do upadku. Stan ten skłonił Bank Polski, iż całe górnictwo zostało oddane tej instytucyi finansowej, pod której zarządem zostawało od r. 1833 do r. 1842, zaś w r. 1843 przeszło pod zarząd oddzielnego wydziału przy Komisyi Skarbu.

W r. 1867 górnictwo rządowe dzieliło się na dwa okręgi: wschodni, obejmujący części powiatów — Kieleckiego, Opoczyńskiego, Opatowskiego, i zachodni, rozciągający się w powiatach Olkuskim i Wieluńskim; obok tego istniały zakłady w Warszawie i w Ciechocinku.

W r. 1864 kopalnie węgla kamiennego zajmowały 711 górników; produkcya węgla drzewnego zatrudniała 300 węglarzy, kopalnie rudy żelaznej — 331 górników, wielkie piece i huty—285 hutników, zakłady odlewów żelaznych — 95 ludzi, fabryki odlewów mosiężnych — 10 pracowników, kuźnice — 163 hutników, walcownie żelaza— 235 pracujących, walcownie blachy żelaznej—40 robotników, kopalnie galmanu—213 górników, huty w Będzinie—80 hutników, walcownia w Sławkowie—25 pracowników. Wreszcie z zakładów górnictwa rządowego warsztaty mechaniczne w Białogonie zajmowały 110 pracowników, warsztaty ręczne kowalskie w Suchedniowie, Kamiennej i Bobrzy—156 ludzi.

Ogólna liczba pracujących w górnictwie rządowem wynosiła 2,754 osoby przy produkcyi wartości 1,462,600 rubli.

Prywatne zakłady górnicze w tymże czasie dawały pracę 14,450 robotników przy wartości produkcyi na su-

mę 5,574 tys. rb. Liczba ogólna ludności pracującej w przemyśle fabrycznym przedstawiała się, jak poniżej:

Rodzaj wytwórczości	Lata 1850	1860	1864
w zakładach tkackich osób . .	29,367	36,677	25,760
„ przerabiających płody roślinne . . .	6,847	15,815	32,056
„ przerabiających płody zwierzęce . .	5,053	5,426	6,057
„ wyrobów kruszcowych i ziemnych prywatnych . . .	8,799	16,704	14,450
Razem	50,066	74,622	78,323

Dane te wskazują, że kapitalizm przemysłowy w Królestwie ciągle szedł naprzód wielkiemi krokami, wydając z każdym dziesiątkiem lat coraz liczniejsze tysiące proletaryatu fabrycznego: w r. 1850 pracowało 50,066 robotników, w 1860 r. — 74,622 osoby, w 1864 r. — 78,323 ludzi.

Z jakich źródeł czerpała w tym czasie robociznę fabryka polska?

Pierwszem źródłem, jak widzieliśmy, była nader liczna imigracya z zagranicy. Trzeba ją obliczać na mnogie dziesiątki tysięcy ludzi.

Drugie źródło stanowili rzemieślnicy miejscowi. Rzemiosłami zajmowało się w 1850 r. 78,875 osób, w 1860 r. — 90,853 ludzi, w 1864 r. — 85,860 rzemieślników. Następujące rzemiosła liczyły najwięcej majstrów, czeladzi i innych robotników stałych [1]):

	W latach: 1850	1860	1864
	rzemieślników		
Szewctwo	15,093	18,022	17,420
Krawiectwo . . .	11,089	12,638	12,258
Kowalstwo	8.163	8,513	8,575
Młynarstwo . . .	5,859	6,201	5,865
Piekarstwo . . .	4,177	4.818	4,895
Rzeźnictwo . .	3,966	4,493	4,508

Innych rzemieślników w r. 1864 było: bednarzy — 3,400, blacharzy — 792, bronzowników — 65, brukarzy —

[1]) «Statystyka Królestwa Polskiego» w «Encyklopedyi Powszechnej», *l. cit.* str. 91.

277, cieśli—3,234, czapników—1,528, grzebieniarzy—264, gwoździarzy — 961, introligatorów—503, jubilerów—171, kamieniarzy—212, kapeluszników—286, kołodziei—2,471, kominiarzy—548, konwisarzy — 12, kotlarzy — 700, kuśnierzy — 1,081, lakierników — 116, liniarzy i powroźników—605, malarzy pokojowych—384, mosiężników—220, murarzy—3,849, nożowników—43, pasamonników i szmuklerzy—237, perukarzy i fryzyerów—91, pieczętarzy—27, piernikarzy—109, puszkarzy—41, rękawiczników — 250, rymarzy—1,141, siodlarzy—125, stelmachów—729, stolarzy—4,182, szczotkarzy — 67, szklarzy — 873, ślusarzy — 1,190, szmuklerzy—223, tapicerów — 99, tokarzy — 516, waciarzy — 371, zdunów i garncarzy — 2,281, zegarmistrzów—359, złotników—192.

Z tej to wielotysięcznej masy rękodzielników niezależnych—maszynizm, zabijając rzemiosła drobne, wytwarzał nowoczesny proletaryat fabryczny.

Trzeciem wreszcie źródłem, z którego początkowa fabryka kapitalistyczna czerpała robociznę prostą, była nasza ludność wiejska. Od roku bowiem 1807 rozpoczął się w Polsce powolny *exodus ruralis* do miast i fabryk. Tysiące ludu wiejskiego rzucały wieś w poszukiwaniu zarobków przy zakładach przemysłowych.

Zaraz po uśmierzeniu powstania, w r. 1864, zaszedł wypadek niezmiernej wagi dla rozwoju klasy robotniczej: reforma włościańska, będąca uzupełnieniem reformy rolnej z r. 1807. Przed tą reformą w ciągu całego pięćdziesięciolecia, jako skutek połowicznej reformy 1807 r., odbywał się bezustannie proces proletaryzacyi faktycznej wśród ludu wiejskiego. Aczkolwiek prawnie chłopi w swej olbrzymiej większości—jak to widzieliśmy w rozdziale drugim części pierwszej — z dawien dawna stanowili proletaryat bezrolny, gdyż ziemia należała do dworu, *de facto* wszakże oni, jako użytkownicy, mieli w swem posiadaniu ziemię i korzystali z niej, mając w tem jedyny sposób swego utrzymania.

Reforma 1807 roku gruntownie zmieniła to odwieczne położenie. Nadając «równość wobec prawa» z «prawem wymówienia miejsca» wraz z posiadaną przez chłopa ziemią po upływie każdego roku, wydała ona całe masy ludowe na pastwę stopniowej proletaryzacyi w przeciągu wielu dziesięcioleci [1]). Na skutek tego, w chwili wprowadzenia reformy 1864 r., Królestwo Pol-

[1]) St. Koszutski: «Rozwój ekonomiczny Królestwa Polskiego w ostatniem trzydziestoleciu». Warszawa, 1905, str. 198.

skie, obok 2 miljonów włościan, użytkujących z ziemi na prawach pańszczyźnianych lub czynszowych, miało z górą 1,300 tys. bezrolnych, mianowicie: wyrobników, parobków i służby dworskiej [1].

Z tej to właśnie masy proletaryackiej, nietylko z napływających imigrantów zagranicznych, korzystał nasz przemysł fabryczny, wytwarzając coraz liczniejszą armię pracowniczą.

Zatem armia robotnicza fabryczna powstała w omawianym okresie z kilkudziesięciu tysięcy rękodzielników fachowców, których proces koncentracyi kapitalistycznej w przemyśle naszym sprowadził do rzędu prostych robotników; następnie z szeregów rzemieślników i rękodzielników zubożałych miejscowych, których tenże proces wywłaszczył z ich narzędzi pracy i zamienił na robotników najemnych; wreszcie z półtoramilionowej blisko ludności wiejskiej, która, cierpiąc nędzę na wsi, w poszukiwaniu zarobku napływała do centrów przemysłowych ówczesnych i zaprzęgana była do pracy przez fabrykę ówczesną.

Jak szybko wzmagała się liczebnie ta armia pracownicza, świadczą dane poniższe [2] w liczbach okrągłych:

w roku	1845	pracowało	w przemyśle	46,400	robotn.
„	1850	„	„	50,000	„
„	1860	„	„	74,600	„
„	1864	„	„	78,300	„
„	1870	„	około	80,000	„

Tak więc w przeciągu mniej więcej jednego pięćdziesięciolecia, t. j. od chwili zjawienia się u nas fabryki kapitalistycznej (około r. 1820), aż do tej pory, kiedy poczęła ta początkowa fabryka przyoblekać się w kształty wielkoprzemysłowe (1864—1870), zrodziła się na gruncie tejże fabryki nowa klasa ludności pracującej, pod koniec omawianego okresu licząca już do 80 tys. osób zajętych w przemyśle, zaś z rodzinami swemi 300—400 tys. dusz płci obojga, licząc na każdego robotnika 4—5 głów ludzkich. Liczna ta warstwa żyła wyłącznie z pracy fabrycznej i różniła się w swym bycie od wszystkich innych klas społecznych. Stanowi ona przeto zupełnie odrębną, nieznaną dotąd w Polsce nową warstwę ludową.

---

[1]) «Wiejska ludność bezrolna w 10 gub. Król. Polsk.» Zeszyt XIV Warsz. Komit. Statyst.

[2]) Koszutski, *op, cit.* str. 198—199.

§ 3. Skład etniczny i położenie klasy robotniczej.

Z jakiego żywiołu etnicznego składała się klasa pracowników, zajętych w początkowej fabryce kapitalistycznej?

W jakiem położeniu, w jakich warunkach bytu znajdowała się młoda ta warstwa społeczna?

Na obydwa pytania powyższe możemy dać tu odpowiedź bardzo jeszcze niedostateczną wobec nazbyt skromnego materjału faktycznego, jakim obecnie rozporządzamy.

Warunki, w jakich żyli i pracowali robotnicy owocześni, były nieco odmienne w fabrykach przemysłu tkackiego i tym podobnych, inne zaś w kopalniach i hutach. Dlatego powiemy o nich z osobna, by w miarę możności lepiej uwypuklić byt i warunki pracy robotników przemysłu tkackiego, oddzielnie zaś — górników i hutników.

a) W przemyśle tkackim i w innych gałęziach wytwórczości.

Ciekawej kwestyi o położeniu klasy robotniczej owoczesnej niepodobna rozpatrzeć tu gruntownie, albowiem nic prawie nie mówią o tem źródła odnośne. Przyczynę tego zjawiska upatrywać należy w tem, iż podówczas jeszcze kapitalizm początkowy nie zdążył był wykazać czarnych swych stron na bycie pracowników przemysłowych; przytem nikt podówczas nie zajmował się żywiej dolą rzesz ludowych, a tembardziej losem nielicznego jeszcze pracownika przemysłowego. Rząd i społeczeństwo patrzyli na położenie mas pracujących — jak słusznie mówi prof. Wobłyj — przez różowe okulary. Bezsprzecznie, pewne fakty, malujące stosunki wzajemne robotnika i przedsiębiorcy, powinny były zachować się w różnego rodzaju sprawach sądowych, skargach i t. p. I rzeczywiście, dokumenty podobne istniały w Archiwum Warszawskiem spraw Dawnych, jak wskazują na to spisy odnośne. Niestety, sprzedane one zostały na makulaturę, tak iż te wielce ciekawe karty z początkowego okresu rozwoju fabryk w Królestwie Polskiem pozostaną może na zawsze niezbadanemi.

Damy więc w tej sprawie tylko ogólne uwagi. Klasa robotnicza w pierwszych latach istnienia fabryk polskich składała się przeważnie z obcokrajowców, aczkolwiek znaczną jej część stanowić musiał żywioł polski. Wy-

twórczość krajowa nie da się bowiem prowadzić wyłącznie siłami cudzoziemskiemi, co bezwarunkowo nie wystarczyłoby do normalnego rozwoju przemysłu. Przemawia za tem i ta okoliczność, że początkowe fabryki kapitalistyczne nie znały już pod względem najmu robocizny tej trudności, na jakie natknęły się fabryki XVIII wieku: w roku 1807 zniesiono poddaństwo; lud mógł swobodnie napływać do fabryk i przedsiębiorstw przemysłowych. Wreszcie rząd polski podobnie jak i przedsiębiorcy prywatni dokładali wszelkich starań, iżby stworzyć kadry robotników miejscowych z Polaków i Żydów. Często bardzo spotykają się wzmianki o tem, że w takiem a takiem przedsiębiorstwie przemysłowem byli uczniowie Polacy i żydzi. W sprawozdaniu za rok 1823 jest następująca wiadomość o rządowym zakładzie wyrobów perkalowych w Marymoncie: było w nim zajętych około 60 robotników i uczniów z ludności miejscowej, przeważnie żydowskiej. Rząd polski dążył do tego, iżby wytworzyć kadry robotników przygotowanych z ludności polskiej. W roku 1823 zawarł on umowę z Majem na urządzenie fabryki wyrobów lnianych i bawełnianych. Ten ostatni zobowiązał się po upływie roku trzymać w fabryce 600 obcokrajowców, a oprócz tego uczniów z ludności miejscowej w ilości 150 osób.

Robotnicy zagraniczni trzymali się dość niezależnie w stosunku do przedsiębiorców. Można wnosić o tem ze słów cytowanych przez prof. Hanna o porządku w fabryce Paschalisa. Robotnicy cudzoziemcy — wedle słów jego — nie znosili najdelikatniejszych nawet napomnień o porządku. W odpowiedzi na taką uwagę gospodarza grozili mu bezrobociem. Zrozumiałą jest ta niezależność, gdy weźmiemy pod uwagę wyższy poziom kulturalny cudzoziemców, co ważniejsza, położenie bez wyjścia gospodarzy, którzy w żaden sposób nie mogli obejść się bez pracy obcokrajowej.

Przedsiębiorcy, zrozumiawszy swe położenie, znaleźli wyjście w tem, iż zaczęli przygotowywać sobie robotników z Polaków i żydów. Sądzili oni, że tacy robotnicy będą posłuszniejsi i bardziej pokorni. Typowem pod tym względem nazwać można postępowanie znanego fabrykanta Paschalisa. Jak powiada prof. Hann, udało mu się przezwyciężyć hardość cudzoziemców do pewnego stopnia przez przywiązanie wielu z nich do kraju związkami małżeńskiemi z Polkami, pracującemi z nimi razem w fabryce. Praca wspólna okazuje również duży a zbawien-

ny wpływ na moralność ludu pracującego — powiada prof. Hann.

Głównie atoli udało mu się dopiąć tego przez urządzenie szkoły zawodowej dla młodzieży polskiej. Szkoła ta, oddzielona od innych robotników, pod kierunkiem specyalnego majstra przy troskliwości właściciela daje mu corocznie kilkunastu dobrze wyuczonych i wydyscyplinowanych czeladników. Ilość tych wyćwiczonych robotników co rok wzrasta w jego fabryce i przez to samo doprowadza obcokrajowców do przekonania, że można będzie z czasem obejść się i bez nich, że tylko pracowici a moralni z pośród nich mogą uważać za ojczyznę tę ziemię, którą pierwej tak często chcieli porzucać lekkomyślnie [1]).

Widać z charakterystyki powyższej, iż od początku powstania fabryki kapitalistycznej czyli od roku mniej więcej 1820 aż po rok 1830 rolę główną, tak co do swego kierowniczego stanowiska, jak może i co do liczby pracowników, grali robotnicy obcokrajowi, aczkolwiek w fabryce tego okresu pracowała też wielka ilość robotników z pośród ludności polskiej. Mówi o tem świadectwo Łubieńskiego, opisującego fabrykę Rephana, w której większą część robotników stanowili, jak się zdawało świadkowi, Polacy. Wszakże niepewność tego twierdzenia, a zarazem pragnienie podkreślenia takiego szczegółu wskazują, iż podówczas przewaga polskiej ludności robotniczej nie musiała być zjawiskiem powszechnem. Znamienną jest również w tym względzie uwaga prof. Hanna: «i im to (cechom) zapewne winni jesteśmy, że dotąd tak mało czeladzi polskiej po fabrykach widzimy». Dodajmy do tego jeszcze uwagę Rembielińskiego w raporcie z dnia 7 lutego 1831 roku o tem, że fabryki, utworzone w Królestwie Polskiem przez cudzoziemców, nie odrywały rąk roboczych od rolnictwa [2]), aczkolwiek wzmianka ta sama przez się niema siły przekonywającej, ponieważ mówi ona tyle tylko, że fabryki nie pociągały ludności wiejskiej, nie zaś licznego proletaryatu wolnego, osiadłego po miastach i osadach.

Wszakże około roku 1830 stosunek procentowy narodowości niemieckiej i polskiej pracowników fabrycznych musiał przechylić się na korzyść tej ostatniej. Wymownym tego dowodem służy tu świadectwo Łubień-

---

[1]) Hann *op. cit.* str. 13.

[2]) Arch. Jen.-Gub Og, Akta., tyczące się stanu fabryk zapomogą Rządową wspartych. Lit. Z, v. II.

skiego o większej liczbie Polaków w fabryce Rephana. A jeszcze bardziej przekonywającym jest fakt, że w tym właśnie czasie Tonnes zakładał fabrykę o 2 tys. robotników, do których zamierzał sprowadzić z Anglii tylko 25 instruktorów, i to właśnie z Anglii specyalnie w tym celu, iżby zakładowi nadać znamię przedsiębiorstwa angielskiego, nie zaś niemieckiego. Stąd wypada, że na fabryce tej nie pracowaliby byli Niemcy, z których głównie składała się u nas warstwa pracująca, lecz jedynie Polacy; i powtóre, że obcokrajowy żywioł miał w niej liczyć zaledwie tylko 25 rodzin; a przeto cały ogół robotników stanowiliby Polacy, co dowodzi, iż fabryki około roku 1830 rzeczywiście używały w większości robocizny miejscowej.

Podobnych przykładów, z których takie same wypływają wnioski, naliczyćby można znacznie więcej, jak np. fakt pertraktacyi rządu z Cocquerill'em o wyrób modelu maszyny siłami wyłącznie miejscowemi, jako też odmowa Cocquerill'a dla tej przyczyny, że majstrowie krajowi jeszcze nie są w stanie wykończyć żądanego zamówienia. Wnosimy więc stąd, iż około roku 1830 fakt zatrudniania w większości pracowników polskich nad niemieckimi i wogóle zagranicznymi upowszechniał się coraz bardziej. Skład ludności pracującej zawierał pod względem etnicznym, jak to widać z powyżej powiedzianego, głównie narodowość niemiecką, polską i żydowską. Znajdowali się tu i ówdzie Czesi, Ślązacy, Belgijczycy, Francuzi, niekiedy i Anglicy. Olbrzymią wszakże większość imigrantów stanowili Niemcy z Prus, ze Śląska i z Saksonii.

Jeżeli weźmiemy teraz pod uwagę skład ludności pracowniczej pod względem płci i wieku, to jeszcze mniej tu powiedzieć będziemy mogli, niż o składzie etnicznym, dla braku danych pewnych.

Z oderwanych przypadkowych uwag i wzmianek można wnioskować, że w fabrykach pracowali mężczyźni i kobiety, starcy i dzieci. W opisie fabryki sukna Harrera, pracującej na dwie zmiany — dzienną i nocną, znajduje się wzmianka o tem, że w fabryce pracowali starcy i dzieci.

Dla charakterystyki położenia klasy robotniczej ówczesnej ciekawa jest następująca uwaga, znaleziona w jednej prośbie Paschalisa. Fabrykant ten, opisując swe ciężkie położenie, zaznacza mizerny dochód z propinacyi, ponieważ robotnicy, otrzymawszy swą płacę zarobkową

w sobotę, udają się w niedzielę do Warszawy, położonej w odległości dwóch mil, i straciwszy tam wszystkie pieniądze, wracają do domu z niczem. Wnosić stąd należy, iż wśród robotników ówczesnych szerzył się alkoholizm akurat tak samo, jak to dzieje się i dzisiaj. Snać robotnik nasz nigdy nie praktykował wielkich dwóch cnót — wstrzemięźliwości i oszczędności. Łatwość zarobku — przy braku tych cnót — powoduje w nim łatwość utraty grosza. Ale Wobłyj z wiadomości takiej wyciągnął zgoła inny wniosek: wzmiankę tę razem z całą skargą Paschalisa na to, że propinacya przynosi mu nader nizki dochód, Wobłyj opatruje komentarzem, jakoby to był owego rodzaju truck-system polski [1]). Twierdzenie najniesłuszniejsze, gdyż propinacye były u nas zjawiskiem ogólnem, istniejącem w każdym niemal szlacheckim i duchownym majątku; nie stanowiły zaś bynajmniej właściwości życia fabrycznego.

Co do Paschalisa, to on, jako fabrykant zarazem i właściciel ziemski, również posiadał własną propinacyę; i zgoła słusznie — wedle pojęć ówczesnych — mógł narzekać, że pieniądze jego robotników tonęły nie w jego kieszeni, jakby wypadało według praktyki ogólnej, lecz w traktyerniach i szynkowniach warszawskich.

O jakichkolwiek ruchach robotniczych z doby ówczesnej brak wiadomości pozytywnych.

W swych pracowitych poszukiwaniach archiwalnych prof. Wobłyj natrafił na ślady pewnego wielkiego ruchu wśród czeladników cechu sukienniczego w m. Zgierzu. Wskutek rozporządzenia Kom. spr. wewn. z dn. 7 lutego 1827 roku Mazowiecka Komisya wojewódzka podaje do wiadomości publicznej co następuje: Komisya Rządowa, ceniąc gorliwość i poświęcenie obywateli a zarazem i majstrów sukienników starego i nowego miasta Zgierza, okazane przez nich «przy okazyi sprawionego w tymże Mieście przez Czeladź rękodzielniczą i rzemieślniczą w d. 30. i 31 października r. z. rozruchu, celem uśmierzenia onego», wyraża pochwałę zasłużoną osobliwie za to, iż obywatele ci, a zarazem i majstrowie jedynie w celu spełnienia obowiązku obywatelskiego nie zawahali się pójść przeciw wyraźnemu niebezpieczeństwu.

Nie mniejszą pochwałę zasłużyli przy tym wypadku p.p. Samuel Grzegorzewski i Gedeon Hedel, burmistrze miast Zgierza i Aleksandrowa, jednocześnie też Jan Za-

---

[1]) Wobłyj op. cit. str. 207.

chert, starszy «zgromadzenia sukienników» w Zgierzu, dzięki ich sprytowi w tem zdarzeniu, tak zgubnem dla spokoju publicznego i przemysłu. Zachowaniu się wszystkich tych osób Komisya spr. wewn. i pol. postanowiła oddać sprawiedliwość należną. Ze swej strony komisya wojewódzka podaje o tem do wiadomości publicznej jako o przykładzie naśladowania godnym [1]).

Takie krótkie wiadomości o poważnym ruchu czeladników podaje gazeta urzędowa. Niewiadomo atoli, jakie przyczyny wywołały ruch ten osobliwy, jakie były jego cele i jakiemi środkami zdołano go stłumić. Jedno tylko powiedzieć można, że ruch ten przejawił się w ostrych formach, skoro trwał aż dwa dni, objął naraz dwa duże centry przemysłowe, jak Zgierz i Aleksandrów, odległe o milę drogi jedne od drugiego; i zakłócił do tego stopnia spokój publiczny, że przy jego uśmierzaniu wystąpiły pierwsze powagi miejscowe razem z ogółem obywateli i majstrów, a szczegółowa o nim wiadomość doszła do wyższych władz warszawskich. O innych podobnych wystąpieniach zbiorowych niema żadnych wzmianek.

Co godnem jest uwagi, to ten fakt, że już wówczas istniała u nas inspekcya fabryczna, ta instytucya, jaką kraje zachodnie wprowadziły dopiero pod koniec XIX wieku celem nadzoru nad wykonywaniem prawodawstwa ochronnego. W Królestwie Polskiem inspekcya fabryczna miała inne zgoła zadania, niż kontrolę nad zdrowiem pracownika i nad umową najmu. Celem jej był nadzór i obrona interesów rodzącego się przemysłu fabrycznego. Początkowo istniała ona tylko w województwie Mazowieckiem i Kaliskiem; następnie jednak w miarę rozwoju przemysłu i w innych województwach organa inspekcyi fabrycznej zjawiły się we wszystkich obwodach przemysłowych. Najwyższe kierownictwo znajdowało się w ręku ministeryum spraw wewnętrznych (Dyrekcya Jeneralna przemysłu i kunsztów). Na czele tej dyrekcyi stał początkowo znakomity działacz i pisarz ksiądz Stanisław Staszic, który bardzo wiele zdziałał u nas dla sprawy uprzemysłowienia kraju.

Fabrykant, majster, rzemieślnik, znajdował opiekę i obronę w tym dobrze urządzonym organie nadzorczym. Inspektor fabryczny obowiązany był odbywać objazd wszystkich fabryk swego województwa dwa razy do ro-

---

[1]) Dziennik Urzędowy Województwa Mazowieckiego, Rok 1827, № 576.

ku — w maju i grudniu, celem zebrania wiadomości szczegółowych o fabrykach i rzemiosłach. Należał też do niego nadzór nad zgromadzeniami czyli cechami rzemieślniczemi; miał on też czuwać, iżby organizacye te nie krzywdziły przemysłu drobnego, domowego, ani zmuszały jego wytwórców do należenia do cechów. Do inspektora fabrycznego należała również kontrola nad działalnością owych zrzeszeń, nad ich funduszami, kasą pomocy i t. d. Winien on był pomoc okazywać majstrom i fabrykantom, komunikować w swych sprawozdaniach o powstaniu lub zamknięciu zakładów przemysłowych, załatwiać sprawę zasiłków, żądanych przez fabrykantów. Wreszcie był on obowiązany sporządzać wykazy statystyczne o przemyśle fabrycznym i nadzorować stan dróg publicznych. Były to więc obowiązki liczne a ciężkie, z których wszakże inspektorowie polscy wywiązywali się chlubnie, co z nadzwyczajnemi pochwałami przyznaje im tak krytyczny badacz dziejów przemysłu naszego, jak prof. Wobłyj. Do zespołu inspektorskiego, będącego pod kierownictwem ks. Staszica, należeli wybitni pionierzy życia fabrycznego — Lelowski i Dunin, którzy wielkie położyli zasługi dla rozwoju przemysłowego w naszym kraju.

Jak widzimy tedy inspekcya fabryczna, acz miała inne zgoła zadania bezpośrednie, niż ochronę zdrowia i umowy najmu pracownika, to wszakże pośrednio przyczyniała się do jego dobra, już to przyjmując różne petycye i skargi majstrów i czeladników, już nadzorując nad prawidłowością pracy zgromadzeń czyli cechów. Bądźcobądź dla położenia klasy robotniczej ówczesnej wykazywała ona działalność dodatnią.

Bytu i warunków pracy klasy robotniczej początkowej nie możemy tu przedstawić wszechstronnie, jak mówiliśmy wyżej. Dlatego przedstawienie powyższe nie wiele nam mówi. Nie poruszyliśmy np. wcale ujemnych stron bytu pracowniczego, których musiało być bardzo dużo. Trzeba bowiem pamiętać, że okropne stosunki, w jakich znajdował się podówczas wieśniak polski, razem z nim przeszły do fabryki i długo, bardzo długo jeszcze panowały w fabryce polskiej. O ile robotnik zagraniczny trzymał się w stosunku do pracodawcy «hardo» i niezależnie, o tyle prosty robotnik polski, ciemny, nieumiejętny, gnębiony przez wiekową niedolę, był potulnym, pokornym, nie wymagającym, tak iż żadnych nie wywoływał skarg ze strony przedsiębiorcy. W wielu fabrykach

traktowanie robotnika miejscowego przez majstra i pracodawcę niczem nie różniło się od traktowania parobka dworskiego przez ekonoma i samego pana. Ów bowiem parobek, otrzymawszy w 1807 roku osobistą wolność, wniósł na swym zbatożonym ręką pańską grzbiecie resztki feodalizmu społecznego do fabryki polskiej. Zwłaszcza w początkowych naszych cukrowniach, gdzie robotnikami byli ci parobcy i dziewki dworskie, warunki pracy i sposób traktowania pracujących niczem nie różniły się od warunków bytu ludu poddanego z doby przedwolnościowej. Wobec nader pierwotnych, wielce niedoskonałych urządzeń technicznych naszych cukrowni [1]), jak i innych fabryk, praca w ówczesnych zakładach przemysłowych była niesłychanie ciężka, wyczerpująca. Robotnik na własnych barkach wnosił i znosił ciężary, jakie dziś podnoszą nie ludzie, lecz maszyny specyalne.

Nietylko warunki pracy fizycznej były pierwotne, a niezmiernie uciążliwe dla robotnika, lecz nadto stosunek pracodawcy do pracownika—jak to widzieliśmy dopieroco—przez cały okres przygotowawczy naszego przemysłu trącił dawną niewolą. Coprawda, niepodobna było żądać, iżby podówczas wytworzyły się między pracodawcą a praeownikiem stosunki inne, niż natury patryarchalnej. Większość przedsiębiorstw znalazła punkt oparcia w ekonomii rodzinnej przedsiębiorcy. Ten ostatni nie znał innych stosunków możliwych zwierzchnictwa nad siłami pomocniczemi do swego rozporządzenia ponad ten stosunek, jaki już istniał między nim, jako ojcem rodziny, a jego podwładnymi: służbą, czeladzią i parobkami.

Przytem sami robotnicy nie byli świadomi swej godności osobistej, trzymali się wobec przedsiębiorcy w stosunku głębokiej subordynacyi. Samo zresztą prawodawstwo i administracya nie znały innego stosunku. Wobec większości pracowników tego okresu pewne prawa opieki i pewien obowiązek kierownictwa ze strony przedsiębiorcy były zupełnie wskazane. Dokąd przedsiębiorstwa były nieznacznemi, dokąd pracownicy, wzięci z okolicy, byli znani przedsiębiorcy, jako sąsiedzi i jako należący do tej samej gminy, stosunki, istniejące między przed-

---

[1]) «Księga jubileuszowa Towarzystwa przemysłowego «Leśmierz» (1913) podaje ciekawe szczegóły nader pierwotnej organizacyi technicznej w jednej z pierwszych u nas cukrowni w Leśmierzu, skąd widać, jak ciężką była praca robotnika ówczesnego.

siębiorcą a jego robotnikami, zachowały charakter patryarchalny.

Zmiana gruntowna dopiero wtedy nastąpiła, odkąd przedsiębiorstwa stały się wielkiemi, odkąd robotnicy napływali z daleka, kiedy zaczęto zajmować większe ilości robotników pewnego wieku i żonatych, kiedy mieszkanie pracowników znajdowało się najczęściej w dużej odległości od zakładu pracy, kiedy stosunki między ludźmi pojedyńczymi a sąsiadami stały się rzadszemi i mniej ścisłemi — między pracodawcą i jego rodziną z jednej strony, a robotnikiem oraz jego rodziną — z drugiej. Zmianę tak radykalną widzimy u nas dopiero w okresie następnym.

Zmienność rynku pracy, możność dla wszystkich zmieniania miejsca pobytu, walka o płacę, praktyka wydalania z fabryki bez troszczenia się o los wydalonego— zmieniły stosunki dawne osobiste między pracodawcami a pracownikami, zwłaszcza w wielkich miastach i w ośrodkach fabrycznych. Stosunek patryarchalny został zastąpiony przez prosty stosunek interesu [1]). Ale stosunki te nastąpiły u nas pod sam koniec XIX wieku, czyli dopiero w fabryce wielko-przemysłowej; zaś w początkowej fabryce kapitalistycznej aż do roku 1870 stosunek między robotnikiem a przedsiębiorcą nosił czyste znamię patryarchalne.

b) W kopalniach i hutach.

Rozrost liczebny pracowników górniczych i hutniczych szedł u nas początkowo tempem o wiele słabszem, niż pracowników innych gałęzi wytwórczości. Nasza bowiem produkcya węgla i żelaza znajdowała się prawdziwie niby w powijakach aż do r. 1870, t. j. do chwili, kiedy wydano prawo górnicze, pozwalające na wydobywanie węgla bez zgody właściciela ziemi za pewnem tylko wynagrodzeniem i służące za bodziec do rozwoju przemysłu zarówno węglowego, jak i ogólno-górniczego i hutniczego.

I w tej dziedzinie pracy gospodarczej imigracya zagraniczna zrobiła bardzo wiele. Dała ona kierownictwo główne oraz siły fachowe. Natomiast brzemię pracy najprostszej niósł żywioł ludowy polski.

W r. 1807, odkąd powoli dźwigać się mógł doszczę-

---

[2]) Gustav Schmoller: «Principes d'Economie politique» (traduction de G. Platon). Paris, 1905, t. II, str. 542.

tnie zrujnowany przemysł górniczo-hutniczy, zostało zniesione poddaństwo. Chłop nasz, aż do tej chwili całkowicie poddany panu, prawnie staje się człowiekiem wolnym, mogącym dowolnie rozporządzać swą osobą. Pozostała wszakże nadal pańszczyzna, ciążąca nad wieśniakiem. Dlatego chłopi pańszczyźniani odbywali ten ciężar właśnie w kopalniach rządowych i prywatnych. Z drugiej znowu strony istniały u nas liczne tysiące małorolnych, którym drobne działki ziemi żadną miarą nie wystarczały do opędzenia najskromniejszych nawet potrzeb życiowych.

Z tego to właśnie nadmiaru rąk roboczych, wytwarzanego przez wieś polską, mógł teraz czerpać robociznę prostą podnoszący się przemysł górniczo-hutniczy. Fakt ten miał wielkie znaczenie.

Robotnik rolny o nader nizkiej stopie życiowej, przechodząc do kopalń, hut i fabryk żelaznych, był wielce dogodnym przedmiotem eksploatacyi: potulny i pokorny, znosił bez szemrania wyzysk na nowem miejscu swej ciężkiej pracy; przyczem nowym jego panem był często ten sam magnat-obszarnik, — albo rząd — w którego wsi niedawno jeszcze, jako chłop, pracował ten górnik i hutnik.

Ponieważ w zaraniu powstawania wielkiego przemysłu do budowania hut i zakładania kopalń brali się przeważnie magnaci-obszarnicy z rządem na czele i dlatego, że materyał roboczy pochodził ze wsi polskich, dlatego przeniosły się do stosunków przemysłowych górniczo-hutniczych zwyczaje wsi pańszczyźnianej: traktowanie z batem w ręku robotnika; praktykowano nizką płacę zarobkową, napędzano do roboty nietylko mężczyzn, ale kobiety i dzieci.

Resztki feodalizmu ze wsi przedostały się do stosunków górniczo-hutniczych, jak zresztą do całego przemysłu.

O położeniu ludności górniczej i hutniczej okresu początkowego nie posiadamy wiadomości. By jednak przedstawić je sobie w przybliżeniu, dajemy obraz bytu górnika górnośląskiego, pracującego «o miedzę» w takich samych, co i górnik Królestwa warunkach. W zasadzie nie będzie to właściwie przedstawienie bytu i warunków pracy górnika i hutnika w Królestwie, jednak ułatwi nam pogląd na położenie pracowników górniczo-hutniczych u nas, zwłaszcza, że całe tysiące Górnoślązaków pracowały w tej właśnie gałęzi przemysłu naszego.

O stosunkach mieszkaniowych czytamy w sprawozdaniu tarnogórskiego urzędu górniczego z d. 4 stycznia 1818 r. co następuje:

«Jeżeli górnik dobre półmili mieszka od Zabrza wynajmem, ma małą izbę drewnianą, z podłogą z gliny, prawie bez światła dziennego dla siebie, swej rodziny i swego bydlęcia, musi się z mozołem starać o swój opał, codzień chodzić do pracy i od niej przy najokropniejszej drodze i pogodzie, to jednak nie zamieni się on — przynajmniej rzadko — na znacznie lepsze i bliżej położone wolne mieszkanie w jednym z domów w kolonii Małe Zabrze, gdzie ma opał prawie darmo i bez trudu. A dlaczego? Ponieważ w takim domu nie może on mieszkać tak, jak sam chce, ponieważ nie może zakopać swej kapusty i swych kartofli w izbie i zmuszony jest trzymać bydlęta swe poza izbą, dlatego też musi wyjść z domu, aby je opatrzyć; słowem, ponieważ mieszkanie to jest dla niego za dobre» [1]).

Słowa te dowodnie świadczą — mówi Caspari — jak małe wymagania musiał mieć ówczesny robotnik, jeżeli czuł się dobrze w jednej zatęchłej izbie społem z bydlęciem.

Jeszcze w r. 1840 poziom kulturalny ludu pracującego w takich warunkach nie mógł podnieść się znacznie. «Zabobony, ciemnota wielka, bigoterya, lenistwo, kłótliwość i pijaństwo — oto główne cechy charakteru Górnoślązaka polskiego» [2]).

O stosunkach przy pracy w kopalniach można mieć pojęcie z poniższego świadectwa współczesnego:

«Stosowanie chłosty na kopalniach i hutach jest zasadą nieuniknioną. Praca odbywa się podług szycht 12 godzin; robotnik po ukończeniu swej szychty zapija się i wtedy częstokroć niema go przy zmianie na posterunku. Po dniu wypłaty pijaństwo trwa przez kilka dni z rzędu, a nieraz i cały tydzień. Urzędnik na «werku» nie ma wtedy innego środka dla utrzymania respektu i ciągłości pracy, oprócz batoga. Wódka, jako inny łagodniejszy środek, zbyt szybko działa ujemnie».

O życiu towarzyskiem i zabawach górników ówczesnych czytamy w temże świadectwie, co następuje:

«W niedzielę kobiety razem z dziećmi zabiera się do

---

[1]) «Ekonomista», t II, zesz III. 1909 r., str. 13.

[2]) Schlesische Zustände im ersten Jahrhunderte der preussischen Herrschaft. Ein Beitrag zur Cultur—und Sitten—Geschichte Schlesiens. Breslau, 1840.

gospody, gdzie są one już od wczesnej młodości świadkami scen, w których brutalność ludzka przejawia się najbardziej jaskrawo. Przy akompaniamencie nędznych skrzypek z szaloną szybkością tańczą rozochoceni w ciasnej izbie. Trzyfenigowa świeczka, umieszczona na szynkwasie, nadaje izbie pewien rodzaj półmroku. Ciemność jednak zalega, skoro tylko ten lub ów z natłoczonej masy pijących chwyta za świeczkę, aby zapalić sobie resztki tytoniu w swej łajce. Im bardziej twarze rozpalają się od wódki, tem jaskrawiej uwypukla się brutalność powszechna. Ci, którzy nie tańczą, przyśpiewują podczas każdej przygrywki, tańcujący zaś wyrażają swą radość urywanemi dźwiękami. Siwucha przytem wypełnia natychmiast butelki, skoro tylko zostały one wypróżnione. Nie zapomina się tu o kobietach i dzieciach. Ogólne podniecenie alkoholiczne powoduje szybko kłótnię; z pewnością matematyczną przechodzi ona w bijatykę. Gospodarz, bądź po dobroci, bądź też przemocą, wyrzuca wtedy całe towarzystwo. Taki przebieg mają i tak się kończą zawsze te zabawy niedzielne» [1]).

W zakładach górniczych i hutniczych ówczesnych pracowali mężczyźni, kobiety i dzieci. Robotnicy owej doby dzielili się na stałych i niestałych. Niestali robotnicy byli to naogół ludzie bez określonego zajęcia, chwytający się wszelkiej pracy, należący do kategoryi pracowników, których dziś zowią robotnikami. Sposób ich życia był zgoła pierwotny. Świadek ówczesny tak się wyraża o tem: [2])

«To, co zarabiają, to też i spotrzebują. Tylko mała część ich stara się coś niecoś zaoszczędzić. Odznaczają się zupełnym brakiem poszanowania dyscypliny, są brutalni, oddają się rozpuście, a częstokroć popełniają zbrodnie...»

Robotnicy stali — były to zazwyczaj pracownicy wykwalifikowani. Tworzyli oni, zależnie od rodzaju swego zajęcia, rozmaite grupy, z których każda posiadała swe właściwości. Przedewszystkiem wyróżniali się z pośród nich górnicy. Jakie były ich warunki pracy? Naogół pracowali w kopalniach węgla dniem i nocą. Dzień roboczy wynosił dla każdej zmiany 12 godzin. Co tydzień następowała zmiana. W kopalniach galmanu pracowali

---

[1]) «Schlessische Zustände»... str. 337.

[2]) Hugo Solger «Kreis Beuthen in Oberschlesien». Breslau 1860.

po. 8 godzin. Praca nocna wtedy była wymagana, kiedy trzeba było wykonać nie cierpiące zwłoki obstalunki.

Drugą grupę stanowili hutnicy. Dzień roboczy na hutach trwał również 12 godzin. Praca odbywała się na dwie zmiany—dzienną i nocną. Szczególnie uciążliwemi były warunki pracy robotników w hutach cynkowych. Solger powiada, że pracownicy ci bardzo często chorowali na reumatyzm i choroby płuc. Wskutek złych warunków zdrowotnych nie żyli oni dłużej - ponad 45 lat przeciętnie.

Wypłata odbywała się raz na miesiąc. Dzień ten wyróżniał się zwiększoną liczbą pijanych ludzi. Wtedy robotnicy robili rozmaite «potrzebne i niepotrzebne» zakupy «Do nowej wypłaty żyje robotnik z konieczności na kredyt, który chętnie bywał mu udzielany, załeżnie od wysokości spodziewanego zarobku. Szynkarz był dla robotnika najważniejszą osobą; dawał mu kredyt i wódkę, naturalnie tak, że robotnik rychło wpadał w uciążliwe dla się długi. Stąd rzecz jasna, iż przy takim trybie życia wielu robotników nie mogło prowadzić porządnego gospodarstwa. Demoralizacya była tego następstwem nieuniknionem.

O stosunkach mieszkaniowych Solger podaje, że więcej niż połowa robotników stałych znajdowała się w niesłychanie nędznych warunkach. «Chociaż w ogólności powiększenie domów mieszkalnych co rok znacznie postępuje, gdyż od spisu w r. 1855 przybyło 1,096 nowych domów mieszkalnych, w tem wiele domów rodzinnych, to jednak ciągle jeszcze jest więcej ludzi, niż w istniejących pomieszczeniach, z których większość składa się z małych chałup dla rodzin, złożonych najwyżej z 5-iu osób. Następstwem tego jest szkodliwe dla zdrowia przepełnienie mieszkań, zwłaszcza w takich miejscowościach, gdzie jest wielka podaż pracy oraz włóczęgostwo pewnej części najniższych warstw ludności bez dachu nad głową. Latem dają dość miejsca na nocleg cegielnie, dziury wiertnicze i pola zbożowe. Można liczbę takich bezdomnych ocenić latem na tysiące. Zimą nocuje reszta tych ptaków przelotnych, która nie powróciła do swych stron rodzinnych po ukończonym sezonie letnim, w rozkopach hut cynkowych, na dymiących haldach (zwałach), po piecach wapiennych i palących się miejscach kopalń, wszędzie, gdzie znajduje się ciepłe miejsce, i dziesięć razy wypędzona, dziesięć razy znowu powraca. Choć czasami niektórzy uduszą się lub spalą, nie powstrzy-

muje to wcale reszty od powrotu do tego samego noclegu...»

Jescze gorzej działo się z robotnikami niestałymi. znajdowano ich często z żoną i dziećmi w nizkich, podobnych do jaskiń, lepiankach ziemnych, podczas deszczu w błocie, a w dni skwarne w zatęchłem powietrzu. Często następstwem takich warunków był skorbut lub inne choroby zakaźne. Pracodawcy, niestety, bardzo mało dbali o umieszczenie tych ludzi, których siły zużywali Był to wzór niewolnictwa europejskiego.

Poziom kulturalny klasy robotniczej był podówczas bardzo nizki. «Większa część ludności, stan robotniczy, jest biedny; przy swej biedzie jednak jest on nad wyraz mało wymagający. Czuje się on zadowolonym, jeżeli do pewnego stopnia może się nasycić, karmiąc się żurem i kartoflami. Dopiero w nowszych czasach chleb należy do zwykłych artykułów spożywczych. Praca wyczerpująca w mokrych kopalniach, przed rozpalonemi piecami w hutach zahartowuje ciało tak dalece przed wpływem niepogody, iż robotnik nawet zimą potrzebuje mało ubrania. Dzieci skoro tylko pozostawione są samym sobie, a dzieje się to bardzo wcześnie, biegają w lecie odziane co najwyżej w brudną koszulinę, zimą — nieco lepiej; przyzwyczajają się one w ten sposób wcześnie już znosić żar, zimno i wilgoć. Często godnem jest podziwu, co ludzie ci pod tym względem, zwłaszcza przy tak skąpem pożywieniu, wytrzymują. Gdy wreszcie nadejdzie dzień wypłaty, wtedy szybko idą w niepamięć wszystkie niewygody; robotnicy, żyjąc jedynie chwilą, przez jeden dzień przepuszczają nieraz więcej, niż wydali na życie przez cały miesiąc».

Wobec takich warunków życiowych niepodobna było mówić o podniesieniu poziomu kulturalnego górników i hutników w okresie początkowym. Złe odżywianie się przy ciężkiej pracy a nizkich zarobkach powodowało, że ludność robotnicza umysłowo i cieleśnie wyrodniała coraz bardziej. Solger podaje, ze na każdą rodzinę robotniczą przypadało podówczas najwyżej 4 osoby. «Przyczyna tego tkwi nie w rzadkości urodzeń, lecz w śmiertelności większej części dzieci w wieku najmłodszym. Ciasne mieszkania, brak powietrza i światła, niedostateczna opieka i liche odżywianie robią swoje».

A kiedy dzieci uchowały się, to przez wczesne napędzanie do niestosownej dla nich pracy nie dawało się im możności należytego rozwoju fizycznego. Albowiem

«skoro tylko dzieci podrosną, zabiera je ojciec do pracy jako swych pomocników». Za lichą płacę pracował ojciec razem z dzieckiem, żyjąc w nędzy i ciemnocie... Oprócz dzieci, pracowały jeszcze w tych okropnych warunkach całe tysiące kobiet w kopalniach pod ziemią. Stąd karłowaciały fizycznie całe pokolenia Jak fatalnie praca kobiety w kopalni przyczyniała się do zwyrodnienia fizycznego klasy robotniczej, dowiadujemy się z książki lekarza «knapszaftowego» dr. Schlokow'a. Według autora tego, śmiertelność dzieci w wieku 1—5 lat wynosiła w latach 1864—1866 w Prusiech 47 na 1 tys.; zaś w powiecie Bytomskim aż 80 na 1 tys. Po wsiach tegoż powiatu śmiertelność wynosiła nawet 91 na każdy tysiąc dzieci w tym wieku [1]). Te straszne spustoszenia wśród dzieci były następstwem zatrudnienia kobiet przy szkodliwej dla zdrowia pracy w kopalniach i hutach. Praca ta wywoływała liczne przedwczesne porody. Dziecko po przyjściu na świat miało w sobie zarodki wycieńczenia i śmierci przedwczesnej... Następnie brak należytej opieki macierzyńskiej wobec zajęcia matki w kopalni lub hucie, dobijał do reszty dziecko słabowite. Spustoszenia wskutek podziemnej zwłaszcza pracy kobiet były tak widoczne, iż wrocławski urząd górniczy widział się zmuszonym zabronić jej rozporządzeniem z dnia 18 grudnia 1869 roku.

W tak okropnych warunkach żyła i pracowała ludność górnicza i hutnicza górnośląska. W takiem również, a częstokroć gorszem położeniu znajdował się górnik i hutnik Królestwa Polskiego przez ciąg 6—7 dziesiątków lat minionego wieku. Snać musiało to położenie być nader smutnem, skoro sam rząd polski musiał wcześnie zająć się dolą górnika naszego.

Mianowicie w obszernych swych przedsiębiorstwach górniczych utworzył on dekretem z roku 1817 Królewską Korporacyę Górniczą, której jednem z zadań było wydawanie zapomóg górnikom chorym. niezdolnym do pracy lub starym. Według przepisów, zatwierdzonych przez tę Główną Dyrekcyę Górniczą, od roku 1821 stali robotnicy górniccy t. zw. przysięgli, zapisani do ksiąg specyalnych, płacili $3^1/_2$ % od swych zarobków, wzamian za co mieli prawo do pomocy bezpłatnej w czasie choroby dla siebie i swych rodzin i zapomóg pieniężnych

---

[1]) Dr. Schlokow «Der oberslesische Industrie-bezirk mit besonderer Berücksichtigung auf seine Kultur — und Gesundheitsverhältnisse». Breslau. 1876

oraz do emerytury w razie niezdolności do pracy, tudzież do wsparć pogrzebowych. Skarb atoli nic ze swej strony nie dopłacał. Ale z biegiem lat, gdy zwiększyła się liczba emerytów, «Towarzystwu Górniczemu» grozić poczęła ruina. Powstały projekty reorganizacyi; lecz tylko część projektu w roku 1842 przyjęta była za podstawę działalności Towarzystwa; dotyczyła ona strony finansowej: podwyższenia składek robotników stałych do 6%, pociągnięcia do składek 4% robotników czasowych, którzy otrzymywali tylko pomoc lekarską w razie choroby i wsparcia pogrzebowe, ściągania 1% na rzecz Towarzystwa od sum, wypłacanych przedsiębiorcom i dostawcom górniczym, pobierania 4% od pensyi, wypłacanych emerytom górniczym i t. p. Skarb państwa pokrywać musiał dość znaczne deficyty Towarzystwa. Od chwili powtórnego objęcia zakładów górniczych przez zarząd skarbowy (od roku 1833 do 1842 zarządzał niemi Bank Polski) ponawiały się projekty zorganizowania Towarzystwa, zbierały się Komisye z udziałem przemysłowców górniczych, które opracowywały szereg projektów stworzenia ogólnego stowarzyszenia centralnego dla górników w zakładach rządowych i prywatnych i kas wzajemnej pomocy przy poszczególnych przedsiębiorstwach [1]). Tymczasem rząd pozbył się największych zakładów górniczych, odstępując je przedsiębiorcom prywatnym. Przedsiębiorcy, którzy nabyli od rządu zakłady górnicze, mając w szeregach swych robotników «przysięgłych», musieli liczyć się z nabytemi przez nich prawami do emerytur i zapomóg. Prócz tego, ponieważ byli oni prawie wyłącznie cudzoziemcami i zatrudniali pewną część robotników ze Slązka pruskiego w Galicyi, musieli starać się o zabezpieczenie im tych korzyści, jakie dawały instytucye wzajemnej pomocy, które najwcześniej właśnie rozwinęły się w przemyśle górniczym [2]). Naśladowano zatem pruskie «Knappschaftskassen», austryackie «Kasy brackie» (Bruderladen), francuskie «caisses de secours». Kasy te powstawały w rozmaitych terminach (począwszy od r. 1859), posiadały swoje statuty przez władze rządo-

---

[1]) Krótką historyę Towarzystwa górniczego podaje inżynier W. Choroszewski w art. «O gornozawodskom towariszczestwie w Carstwie Polskom» w czasopiśmie «Gornyj Żurnał», r. 1879, t. IV, str. 375 i następne.

[2]) Kasy zapomogowe na Górnym Slązku powstały bardzo wcześnie w górnictwie, a to celem zapewnienia kopalniom robotników stałych. Dla kopalń węgla kamiennego istniała już od roku 1769 t. zw. kasa bracka.

we rosyjskie nie zatwierdzone i przez czas długi działały bez kontroli rządowej [1]).

Atoli nie wielką one przynosiły pomoc ogółowi górniczemu. Pozostawało wiele, bardzo wiele jeszcze do zrobienia. Przedewszystkiem górnik i hutnik nie miał swego mieszkania w pobliżu miejsca pracy, lecz musiał już to mieszkać we wsi okolicznej, przeważnie o kilka wiorst odległej od kopalni lub huty, już też kryć się po norach na podobieństwo zwierząt. Przedsiębiorcy w celu utrzymania niezbędnej ilości pracowników przy zakładach, poczęli budować domy robotnicze. Ale z mieszkań tych korzystała bardzo szczupła garstka robotników. O zaspokojeniu innych potrzeb pracownika nikt wówczas ani myślał. Słowem byt i warunki pracy w kopalniach i hutach okresu początkowego były bardzo ciężkie dla ludu naszego. Wymownym tego dowodem służy fakt, że ludność pograniczna Królestwa gromadnie szła do kopalń śląskich, tak iż, jak oblicza Schück [2]), napływ tych robotników około roku 1857 wynosił około 40 tys. osób płci obojga.

* * *

Tak więc skład ludności robotniczej w początkowej fabryce kapitalistycznej był zgoła inny niż w fabryce szlacheckiej, jak i wogóle w rękodzielniach XVIII wieku: tam przy warsztacie pracował robotnik pańszczyźniany, do fabryki przywiązany wolą pańską, i będący pod kierunkiem zwierzchnika-majstra obcokrajowca; tu przy maszynie stanął do roboty pracownik wolny, ściągnięty do fabryki nie wolą pańską, lecz na mocy dobrowolnej umowy z przedsiębiorcą i postawiony w tychże, co i robotnik zagraniczny, warunkach prawnych. Zmianę tę wywołał szereg przyczyn natury prawno-społecznej i techniczno-gospodarczej: jak zniesienie poddaństwa i wolność ludu wiejskiego, zniesienie przywilejów stanowych i wprowadzenie kodeksu Napoleona, które to reformy urobiły grunt dla rozwoju nowych form wytwórczości; następnie, sprowadzenie obcokrajowców, udzielenie im wielu ulg i przywilejów, regulacya miast, ściągnięcie do kraju fabrykantów-kapitalistów, wyznaczenie dla nich specyalnych funduszów pożyczkowych, organizacya inspekcyi fabrycz-

---

[1]) „Ekonomista" tom I z roku 1913, str. 155—167.

[2]) Th. Schück „Ober-Schlesien. Statistik des Regierungsbezirks Oppeln mit besonderer Beziehung auf Landwirtschaft, Bergbau, Hüttenwesen, Gewerbe und Handel. Iserlohn 1860.

nej, cała polityka gospodarcza wewnętrzna i zewnętrzna rządu polskiego, popierająca kapitalizm w pierwszych jego początkach — wszystko to sprowadziły narodziny dotąd nieznanej w Polsce nowej warstwy społecznej — klasy robotników przemysłowych. Sam rząd przyczynił się wielce do wytworzenia tej warstwy; on bowiem pierwszy wznosił wielkie przedsiębiorstwa, zatrudniające znaczną ilość robotników. Za tym przykładem poszli przedsiębiorcy prywatni, tak iż po roku 1820 powstało sporo fabryk scentralizowanych, używających siły pary i zatrudniających coraz liczniejsze szeregi wolnych, najemnych pracowników. W ciągu zaledwie dziesięciu lat (1820—1830) odbyło się przejście, zwłaszcza w przemyśle tkackim, od wytwórczości drobnej, od rękodzielni domowych do wielkich fabryk scentralizowanych, urządzonych według ostatniego słowa techniki ówczesnej. Proces ten rozwijał się wzdłuż — co do czasu i wszerz — co do wszystkich gałęzi przemysłu aż do lat 1864—1870. On to właśnie wytworzył właściwą klasę robotniczą przemysłową.

Klasa ta składała się w pierwszych zaraz latach fabryki kapitalistycznej przeważnie z zawodowców zagranicznych; rychło wszakże, bo już około roku 1830, pod naporem coraz mocniejszego rozwoju kapitalizmu i proletaryzacyi ludności wiejskiej liczebnie przeważać w klasie tej począł miejscowy żywioł — polski i żydowski.

Do szybkiego polszczenia się warstwy pracowniczej przyczynił się również rząd jak i przedsiębiorcy prywatni, przykładający wszelkich wysiłków w tym celu, iżby wytworzyć sobie rodzimą klasę robotników przemysłowych. Jak pomyślnym skutkiem zostały uwieńczone te wysiłki, świadczy fakt, iż około roku 1870 czyli w przeciągu jednego pięćdziesięciolecia stan roboczy polski wyrósł w siłę liczącą około 80 tys. pracowników, zajętych w przemyśle krajowym, zaś w życiu domowem obejmującą 300—400 tys. płci obojga.

Jeżeli porównamy ten proces, jaki odbył się na polu gospodarczo-społecznem Królestwa Polskiego, do takiegoż procesu, obserwowanego w Europie Zachodniej, to przekonamy się, że u nas odbył się on nieco później, niż np. w Anglii, we Francyi, w Belgii lub w Niemczech; natomiast nierównie szybciej, niż trwał on na Zachodzie. W Europie Zachodniej trwał on mniej więcej od r. 1770 do 1850, czyli przeszło 80 lat, gdy tymczasem w Królestwie Polskiem odbywał się w okresie lat 1820—1870, czyli około 50 lat.

W każdym razie odbył się w społeczeństwie polskiem pierwszych 5—6 dziesiątków lat minionego wieku przewrót nadzwyczajny: gdy na Zachodzie oddawna istniały już rozwinięte formy wytwórczości kapitalistycznej, które znalazły dobrze przygotowaną w wiekach ubiegłych klasę pracowników przemysłowych, to w Królestwie Polskiem formy te prawdziwie s t w o r z o n o jednym zamachem i w przeciągu nierównie krótszego czasu, szybciej, w y t w o r z o n o młodą warstwę robotniczą fabryczną, jakiej wcale nie znała Polska wieków minionych, ani do jej wytworzenia niczem się nie przyczyniła.

Fakt ten znamienny dowodzi, iż jesteśmy duchowo bardzo mocno zrośnięci z Europą Zachodnią, skoro na Zachodzie poczęty industryalizm początkowy tak krzepko a rychło przyjął się na gruncie polskim i skoro Polska tak szybko uległa temu samemu co i Zachód procesowi społecznemu.

A powtóre — dowodzi on też nader wymownie nadzwyczajnej żywotności polskiego organizmu narodowego, który, mimo tak ciężkie warunki, jak elementarny brak wolności, zdołał skruszyć przeszkody do swego rozwoju i w krótszym niż silniejsze od niego organizmy społeczne przeciągu czasu wytworzył sobie nowy czynnik postępu — klasę robotników fabrycznych.

LISTY Z ZACHODU

PO DWU LATACH

Paryż, w sierpniu.

Dwa lata minęło tej «Wielkiej Wojny», o którą prosił Boga Adam Mickiewicz—i czynią rachunek sumienia rządy i narody: jak sprostały zadaniom swoim? Czynią rachunek sumienia i jednostki, organizacye pomocy, organizacye pracy zbiorowej.

Wojna poruszyła wszystkich, wstrząsnęła całym organizmem narodowym aż do najdrobniejszej komórki społecznej. Wcieliła mężczyzn do szeregu, wyrzuciła na front, na linię bezlitosnego ognia, a kobietę oderwała od domowego ogniska, od gospodarstwa rodzinnego i wypełniła nią fabryki, stare fabryki i nowe, z woli Wojny do życia powołane. Tych kobiet są setki tysięcy. Po ministeryach kobiety zastąpiły mężczyzn... Nie tylko w tramwajach pracują kobiety, ale i w ministeryum wojny. Czytamy, że Lloyd-George, obejmując dziedzictwo po lordzie Kitchenerze, szefem sekretaryatu swego mianował niewiastę.

Głęboko ta wojna worała się w życie społeczne. poza linią frontu dokonała wywrotowych wprost przeobrażeń, i często zadawać sobie trzeba pytanie, jak się stosunki ułożą po wojnie, co z tych przeobrażeń zostanie, a co wróci do dawnego, tradycyą uświęconego porządku? (Już cała w tym względzie istnieje literatura).

W tych warunkach nic dziwnego, że ludzie zadają sobie pytanie, jak zachowali się w toku lat ubiegłych, czy byli na wysokości zadania? Nie jest to zwyczajem człowieka bić się w piersi, kajać się... Chyba, że włosiennicę kładzie na się, w roli proroka występuje, biczuje sam siebie ku zbudowaniu otoczenia, z wyższego jakoby nakazu. Człowiek jest zarozumiały, często bywa pyszny i lubi dzieło swoje; gdy czego dokona — powta-

rza za pierwszymi rozdziałami «Genesis»: dobre jest! I tylko opinia publiczna, a gdy chodzi o możnych świata tego — historya przywołuje go do porządku, najczęściej wykazując, że nie było dobre, jeno puste i próżne... Dobre rodzi się z ofiary, z głębokiej, serdecznej Ofiary, do jakiej człowiek, zasnuty pajęczyną egoizmów, kompromisów, drobnych namiętności, miłości własnej— rzadko bywa zdolny. Piętnuje bliźnich swoich, ale sam *deteriora sequitur.* Proklamuje głośne hasła «zgody» i «jedności», ale sam, jak ów pisarz francuski, pragnie zdobyć wolność — ale dla siebie tylko, aby jej nikomu nie dać.

Taki oto człowiek, nie na miarę Fidyaszową skrojony, zadaje sobie dzisiaj wszędzie pewnie i we Francyi pytanie: cóżeś zdziałał, mości Dupont, w ciągu tych dwudziestu i czterech miesięcy, w toku których dzieci twoje położyły kości swoje za ojców swoich, za matki, za braci i siostry, za przyjacioły swoje?... Każdy Dupont jest potrochu zadowolony ze siebie (nie pozowałby Flaubertowi, gdyby był inny!): oddał złoto, jakie miał (czy wszystkie?) do kas ministra skarbu, popiera instytucye opieki nad rannymi, chodzi do szpitali, czytuje komunikaty i tłómaczy je optymistycznie. Lokatorzy nie płacą panu Dupont'owi komornego — czyż może być większa ofiara kamienicznika? Rząd skrócił dzień o godzinę — posłusznie kładzie się spać o dziewiątej, aby światła nie palić i oszczędzać węgla, o który tak trudno. Zaprowadził oszczędności—on, który i tak służyć może za wzór oszczędności ludziom, tysiąckrotnie od niego biedniejszym. Pan Dupont jest przeważnie ze siebie zadowolony...

A my, Polacy w Paryżu osiadli? Jeżeli zadamy sobie podobne pytanie — cóż odpowiemy? Jest tu nas cała, wielka gromada. Luźna, słabą tylko obręczą związana— dlatego gromada, tłum, nie organizm. Wewnątrz tej gromady są ogniska krystalizacyjne: interesy, cele, programy grup poszczególnych. Ale jest i wspólny interes narodowy, interes polski, który gromadzić winien wszystkich bez wyjątku Polaków.

Teoretycznie — jest to jasne i proste. Praktycznie— jakże trudne do wykonania. Interes narodowy, jako taki, jest abstrakcyą. Nie on organizuje, jeno ludzie, jeno człowiek, który interes ten wyobraża. Owóż tak się ludzkie układają sprawy, że ludzie publiczni, dziś czynni, mają za sobą dzień wczorajszy ich publicznego życia:

dzień nie zgody—jeno walki, mocnej, zarysowanej. Oblicze wyraźne. Zmieniają się słowa, programy, ale oblicze zostaje. Zostaje oraz wspomnienie. U narodów, które korzystają z odmiennych warunków życia publicznego, słowem — z wolności, to znaczy: z wolnych instytucyi politycznych, wspomnienia nie są tak wiecznotrwałe i oblicze nie tak rznięte z kamienia. Dyskusya ścina kanty, a konspiracya je petryfikuje. Dlatego tak trudno porozumieć się ludziom wychowanym w konspiracyi. Dlatego ich gniewy takie straszne, ich nienawiści takie okrutne, ich wszelakie uczucia takie bezwzględne.

Ze stanowiska artystycznego ten stan rzeczy jest piękniejszy i daje pole do rozlewnej twórczości powieściopisarskiej. Ze stanowiska publicystyki — ten stan rzeczy stwarza również warunki bardzo wdzięczne dla piór polemicznych. Ale ze stanowiska współżycia i pracy zbiorowej ten stan rzeczy dawać może tylko ujemne rezultaty. Nie ustępuje jeden, nie może ustąpić drugi; zamiast energie indywidualne jednoczyć, paraliżuje się je przez tarcia wewnętrzne, przez brak zaufania. *In omnibus autem caritas* — piękne to zawołanie, niestety, jakże dalekie od życia społecznego w rzeczywistości jego walki. Często powtarzamy też mądrą radę: «maszerujmy oddzielnie, bijmy łącznie». W życiu bywa inaczej.

Życie kolonii polskiej w Paryżu z daleka wydaje się pełnem jak owoc słonecznika i lśniącem jak pawi ogon. Życie to ma wielkie tradycye sto i kilkanaście lat trwającej Emigracyi. Tu płynęła mleczna droga geniuszu polskiego, — tu nie tylko Polsce, ale i światu kazał Adam Mickiewicz,—tu żyli, cierpieli i tworzyli najwięksi w narodzie pieśniarze,—tu męczeństwo cyzelowało w marmurze Historyi oblicza, Plutarchowego godne rylca. Tu pomiędzy rokiem 1830 a 1850 paliło się całe prawie duchowe życie narodu, żyło wolne słowo, żył język, promieniała dusza polska... Tu wykute zostały w męce, w srogiem wątpieniu, także w tytanicznej walce — najwyższe wartości, jakiemi żył Naród w czasach późniejszych, jakże długich, jakże pełnych tragicznego patosu, załamań, troski i nadziei... Tu także prowadzono w ciągu lat, jakże długich, tak zwane dyplomatyczne zabiegi o postawienie, o wznowienie, o nieprzedawnienie sprawy polskiej, — zabiegi, które wypełniły szafy archiwów polskich, francuskich, angielskich... Zabiegi te przeżyły Ludwika-Filipa, przeżyły p. Lamartine'a, przeżyły księcia-prezydenta, a później cesarza Napoleona III, wybeł-

niły życie dwóch pokoleń książąt Czartoryskich, Władysława Zamoyskiego, generała; wyssały talenty Waleryana Kalinki, Juliana Klaczki — iluż innych. pomniejszych! Koło roku 1868—1870 urywa się ta praca. ale jej wspomnieniem żył kraj długo — i długo, aż do dni naszych kołatało się po kraju wspomnienie interwencyi europejskiej, oparte na tradycyi g i e s t u, który w perspektywie tak odległej wydawał się c z y n e m, a był zawsze s ł o w e m tylko nieważkiem, często lekkomyślnem, niekiedy — źródłem nieszczęść nieopisanych.

W chwili, gdy rozpalała się na szerokim widnokręgu Europy ta wielka wojna,—kolonia polska w Paryżu znalazła się wobec zagadnienia polskiego, jak domniemany dziedzic pewnego skarbu, o którym kraj sądzi, iż istnieje napewno, głęboko ukryty w ziemi Miała to być tradycya dyplomatyczna. Od lat czterdziestu spoczywała ona w zapomnieniu, wywołanem zmienionymi warunkami życia.

Ale warunki odmieniły się nanowo. Została ogłoszona odezwa W. Księcia Nie było już księcia Czartoryskiego, ani jego kancelaryi. Nie było już urzędowego przedstawicielstwa, pozostali — amatorzy, *franctireurs*'rzy. Ale jeżeli niełatwo jest zagrać teatr amatorski, — o ileż trudniej stworzyć przedstawicielstwo dyplomatyczne!... Z kim mówić i o czem?...

Nie brakło memoryałów, podawanych na własną odwiedzialność autorów. Memoryały wywoływały protesty. Ich autorowie nie zgadzali się ze sobą, — a adresaci kiwali głowami. «Ach, ci Polacy! nie wiedzą sami, czego chcą!» Oczywiście kiwali głowami dlatego, że najchętniej żadnych memoryałów nie pragnęli otrzymywać, widząc w każdym nowy dowód trudności, jakie spiętrzą się przed przyszłym kongresem pokoju. «Kwestya polska będzie—widzimy to już teraz —jednym z najboleśniejszych «kamieni obrazy» przyszłego kongresu» — mówi dyplomata do Polaka. «Górą kamieni» — odpowiada Polak — jakżeby mogło być inaczej! Kto w Boga wierzy upomina się o «prawa» swoje, historyczne, nieprzedawnione. Czesi mają swoje przedstawicielstwo tutaj — Masaryków, Durichów, mają swoje komitety w Szwajcaryi, w Paryżu, w Londynie, mają pisma. Znakomity historyk Sorbony, p. Ernest Denis, oddał na ich usługi swoje cenne, uczone, pełne autorytetu pióro i wydaje im organ «La Nation Tchèque» w duchu ich programu m a k s y m a l i s t y c z n e g o.

Znany publicysta p. A. Chéradame ogłosił dużą książkę, bardzo czytaną i bardzo w prasie omawianą, w której pragnienia polityczne czeskie wyraz znalazły sympatyczny, rozlewny, interesem politycznym francuskim oskrzydlony, a więc w przekonaniu publicysty — murowany.

Wystąpili na widownię Słowianie południowi, *Yougoslav*'ami tutaj od niedawna zwani. Mają swoje komitety, swoich rzeczników — swojego naczelnego rzecznika, p. Victora Bérard, profesora helenistyki w Szkole praktycznej przy Sorbonie, znanego bardzo homerysty, a także publicysty z otoczenia p. Delcassé, wieloletniego kronikarza politycznego «Revue de Paris», bardzo wymownego, bardzo błyskotliwego mówcy, o dużem oczytaniu w różnych językach świata. Zaczął od Serbów, rozszerzył swoje sympatye bałkańsko-słowiańskie, poparte podróżami po Grecyi i wielką znajomością geografii świata heleńskiego—na całą południową Słowiańszczyznę. Sympatye te znalazły wyraz, ujście—w wielu odczytach, które p. Bérard wygłosił wobec zawsze natłoczonej sali wymownie, szeroko, z dużą emfazą. Niekiedy zahaczał i o Polskę.

Ze stanowiska ogólnego, bardzo ogólnego, abstrakcyjnego, jest on polonofilem, życzy Polsce jak najlepiej, współczując jej. Rozwodził się w Sorbonie szeroko na temat, który całe otoczenie uderzył: czemu Francya nie umiała przeciągnąć na swoją stronę tłumów polskich, emigrujących z kraju do Westfalii, albo za Ocean?... W Westfalii ci Polacy — twierdził p. Bérard z prawdziwie poetycką przesadą — stworzyli potęgę... Kruppa, w Ameryce—jest ich trzy miliony. Oglądałem—wołał— robotnika polskiego na buraczanem polu pod Coulommiers. Jest to robotnik doskonały, mocny, wytrwały; posiada zalety, jakich brak francuskiemu. I my, zamiast pozyskać dla kraju, który od dziesięcioleci cierpi na brak rąk na roli—te tłumy, pracy szukające po świecie — pozwoliliśmy zapędzić ich w podziemia węglowe Westfalii i Pensylwanii!...» Ale gdy chodzi o realizacyę pragnień polskich w instytucyach politycznych, w formach politycznych, p. Bérard narzuca swojej szlachetnej myśli dyscyplinę politycznych konieczności.

«Kamieniowi obrazy» — owego dyplomaty, który nie jest wcale dziełem wyobraźni a realnością, z którą z całą pewnością spotkamy się w dobie Kongresu Pokoju—odpowiada inny jeszcze, *ejusdem farinae* zarzut, spotykany

często na Zachodzie: zarzut «wygórowanych pretensyi». «Wy. Polacy, za wiele żądacie. Pokazać wam paluszek, żądacie «zaraz» obu rąk, z dodatkiem nóg, a także paru palców u obcej ręki...»

Ten, kto tak mówił, uważał, że oddaje pogląd bardzo rozpowszechniony w «sferach wyższej polityki»; sam uważając siebie za wielkiego przyjaciela Polski, za znawcę polskiej sprawy i historyi i geografii.

«Rzecz cała — odparł Polak — co uważać za «paluszek». Dla nas jest to «Polska»; my—mielibyśmy żądać zbyt wiele, — a «cóż» nam dają, jeżeli to, czego Polacy żądają—uważane jest, jako postulat «zbyt obszerny»?

Wspomniałem wyżej o mówcach, o rzecznikach Mieliśmy w ciągu dwu lat ubiegłych i swoich tutaj rzeczników. Przedewszystkiem hołd oddajmy Francuzom. Aby do nich nie wracać — nasamprzód przypadkowym Francuzom. Pani Zamoyska urządziła szereg odczytów o Polsce, których miało być kilkanaście, a odbyło się kilka. Przemawiali tu pp.: Welschinger, znany historyk, biograf J. Klaczki, przyjaciel i następca Charles Edmond'a (Chojeckiego) na urzędzie w senacie — o wielkich poetach polskich [1]), p. Marius Leblond o «Kobietach polskich», p. G. Mourey o «Sztuce polskiej».

Odczyty te nie przyciągnęły licznej publiczności, a przypuszczaliśmy, że wypełnią olbrzymią salę Ogrodników Francuskich na rue de Grenelle. W stowarzyszeniu protestanckiem *Foi et Vie* (o charakterze pojednawczym wobec wszystkich wyznań) przemawiał p. Fortunat Strowski o Polsce (w miesiącach zimowych 1915 r.), kreśląc cały w słońcu skąpany obraz Polski, która zginęła, bo była «za dobra, za szlachetna, za piękna». Idylla ta zakończona została odczytaniem odezwy W. Księcia, która to odezwa wywodzi się z ducha Adama Mickiewicza...

Sala była przepełniona, entuzyazm ogromny. Owacyjnie witano p. Władysława Mickiewicza, który przewodniczył. (Następny odczyt w cyklu urządzonym przez pastora Doumergue'a — był poświęcony Rosyi; wygłosił go p. P. Boyer pod przewodnictwem pana Izwolskiego). Odczyt p. Strowskiego był odpowiedzią na bardzo nieprzyjemny odczyt p. Fryderyka Massona, akademika, który w cyklu, urządzanym przez znane w świecie dobrze i bogato urządzonych *the upper ten thousand* stowa-

---

[1]) P. Welschinger zakomunikował odczyt swój Akademii Nauk Moralnych, której jest członkiem.

rzyszenie *«Foyer»*—znęcał się w ciągu godziny nad Polską, procesując dzisiejszą z powodu skandalicznych wyborów Korybuta-Wiśniowieckiego i pornograficznych pamiętników Stanisława-Augusta, świeżo podówczas ogłoszonych przez p. Goriainowa. P. Masson wskazywał nam przytem za wzór—Serbię.

Na sali Towarzystwa Geograficznego było dużo Polaków (rozdano mnóstwo biletów gratisowych) i nastrój panował ponury, tak iż p. Kozakiewicz, ratując oczywiście sytuacyę, pospieszył uścisnąć dłoń Nieśmiertelnego, który odniósł był herkulesowe zwycięstwo nad trupem państwa polskiego XVIII stulecia.

Nieuctwo p. Massona było zadziwiające — znał tylko Rulhière'a. Politykiem jest z rodu upraszczających zagadnienia najbardziej złożone [1]).

W tym samym czasie, co odczyt niefortunny p. Massona, odbywały się—poczęści w tej samej sali Towarzystwa Geograficznego—odczyty p. George'a Bienaimé, który nie jest przypadkowym tylko rzecznikiem polskiej sprawy. Ożeniony z Polką, doktorką praktykującą w Paryżu, panią Dowojna—od lat wielu zajmuje się w granicach możności kwestyą polską. Był parokrotnie w Polsce i na Litwie. Napisał dysertacyę o Sejmie galicyjskim. Zna wielu Polaków, u których informuje się chętnie i z dużą dla sprawy sympatyą. Jest członkiem stronnictwa radykalno-socyalistycznego, ale w sprawie polskiej nie zajmuje stanowiska partyjnego. Słucha równie uważnie p. Dmowskiego, jak i jego przeciwników politycznych. Prowadzi od początku wojny kronikę polityczną w dzienniku Gustawa Hervé, który nazywał się dawniej «La Guerre Sociale», a od początku r. 1916 nosi nazwę «La Victoire».

W dzienniku tym p. Bienaimé ogłosił w ciągu lat ubiegłych wiele bardzo artykułów w sprawie polskiej, nacechowanych wielką sympatyą dla Polski, którą pragnąłby widzieć szczęśliwą, t. j. wolną i niepodległą. Tłumaczy czytelnikom swoim wypadki dnia, w miarę jak je ujawnia kalejdoskop historyczny chwili. Jest w stałej wojnie z cenzurą.

Ale p. Bienaimé nie pisze tylko,—mówi on również. W Szkole Nauk Społecznych co roku wygłasza parę pogadanek z zakresu kwestyi polskiej, geografii i polityki

---

[1]) Zapowiedziany na rubieży 1916 roku odczyt bardzo wybitnego działacza lyonskiego, mera Lyonu, senatora E. Herriot'a nie przyszedł do skutku dotychczas.

polskiej. Jest to mówca bardzo szczęśliwy i przez audytoryum lubiany. Wybiera tematy dostępne, unika szczęśliwie raf i łodzi podwodnych, a także sieci żelaznych, na te łodzie nastawionych. Słuchacze francuscy lubią go i są mu wierni.

Przemawiał i w merostwach V i IX okręgu Paryża, także na peryferyi wielkiego miasta, także w Genewie, Lozannie, Fryburgu szwajcarskim. Służy mu zawsze powodzenie, któremu towarzyszy wielkie uznanie kolonii, wielokrotnie poświadczane przez entuzyastyczne wzmianki «Polonii».

Większa część odczytów p. Bienaimé odbyła się w sali Wyższej Szkoły Nauk Społecznych *(Ecole des Hautes Etudes Sociales)* przy ul. Sorbony. W tej oto Szkole, w której wykładają w latach zwykłych najpiękniejsze nazwiska świata naukowego francuskiego—na tematy, nieuwzględniane przez Uniwersytet francuski, której administratorem jest dziekan wydziału historyczno filologicznego Sorbony, p. Alfred Croiset, a sekretarką generalną panna Dick-May, osoba odważna, energiczna i nadzwyczajnie inteligentna, — p. Zygmunt L. Zaleski z trudem niemałym, z wytrwałością graniczącą z heroicznym uporem, wśród przeszkód, piętrzonych nietylko przez obcych, ale i przez swoich, przez niechętnych, przez zazdrosnych — zorganizował od r. 1912 wykłady o Polsce, o literaturze i sztuce polskiej nasamprzód, a później, gdy wojna postawiła zagadnienie «Polski»—o różnych ogniwach wielkiej, złożonej, tragicznej sprawy polskiej.

Subtelny krytyk literacki, autor nader ciekawego i cennego studyum, zatytułowanego: „O pierwszem na dzieło spojrzeniu", poeta i muzyk, p. Zygmunt Zaleski — jak widzimy — nie u jednej Muzy jest w łaskach. Jest prócz tego jeszcze o r g a n i z a t o r e m. Jemu to zawdzięczamy, że o d l a t c z t e r e c h w wyższym zakładzie naukowym Paryża mówi się co zima o Polsce: o historyi, o literaturze, o sztuce Polski. Sam mówił już trzy zimy z rzędu o poezyi polskiej, o ideale moralnym literatury polskiej, o muzyce polskiej. Urządził w tej samej Szkole trzy seanse muzyki polskiej, poprzedzone przez *Causeries*, na których grano i śpiewano (pani Jarecka, p. Jarecki, p. Lubelski, p. Żulińska), solo i chóralnie, pod egidą p. L. Rogowskiego. Mówił o Muzyce Polskiej i w popularnej instytucyi *Aide Moral*, która z inicyatywy kilkorga obywateli francuskich (pani Moll-Weiss, prof. Matruchot), od początku wojny urządza koncerty i odczyty w me-

rostwach Paryża dla szerokich tłumów. Rozwijał tedy p. Zygm. Zaleski działalność bardzo różnostronną i oddał sprawie, którą kocha, nieocenione wprost usługi.

Cykle odczytów poprzedzane bywają w tej Szkole przez allokucyę przewodniczącego. W r. 1914 przewodniczył cyklowi p. Ernest Denis, w r. 1915 pp. Ernest Lavisse i Władysław Mickiewicz. W pierwszym roku wojny przemawiali tutaj pp. Wacław Gasztowt, który w ciągu jednego wykładu dał zarys dziejów polskich (wydany 1916 r. nakładem «Polonii»), p. Bienaimé (dwa odczyty), Zygmunt Zaleski (dwa odczyty), oraz piszący te słowa; w drugim roku przemawiali ci sami, z dodatkiem p.. Pawła Boyer, dyrektora «Wyższej Szkoły języków wschodnich żywych», który mówił o języku i literaturze polskiej, oraz pp. Jacques Dampierre i Henryka Bidou, krytyka dramatycznego «Journal des Débats» — który mówił o teatrach warszawskich w sposób bardzo udatny, z dużem zrozumieniem rzeczy i niemałym talentem.

Gdyby odczyty te — albo pewna ich część — zostały wydane w jednej książce, dałyby obraz całości kultury polskiej w dobie dzisiejszej w oświetleniu historycznem, w widnokręgu wielkich zagadnień społecznych i politycznych, wypełniających olbrzymi problemat sprawy polskiej. Wydać książkę — rzecz niełatwa, w szczególności niełatwa człowiekowi wolnemu, niezależnych przekonań, niezwiązanemu z koteryą, z sejmikiem, z kabzą bogaczy. Wypowiadam tedy tylko dezyderat, który może pochwyci i urzeczywistni jaki szlachetny wydawca polski. Tyle wychodzi teraz książek o Polsce, tak krzątają się drukarze lozańscy, fryburscy, genewscy, londyńscy, paryscy...

Marzymy, że spocznie na tych wyrazach oko życzliwe obywatela, posiadającego książeczkę czekową w kieszeni i polskie w sercu uczucia [1]).

W tej samej «Szkole Nauk Społecznych» odbył się i odczyt p. W. Lutosławskiego o charakterze mistyczno-politycznym, daleko zabiegający w przyszłość konstelacyi państwowych świata.

Gdy mowa o przyjaciołach naszych, przemawiających publicznie w obronie spraw naszych, należy wymienić pp. Charles'a Richet i Gabriela Séailles. W liczbie tych,

---

[1]) Stanisław Krzemiński w chwilach rozgoryczenia mawiał: «żyję lat siedemdziesiąt, a nie widziałem człowieka, któryby kochał Polskę, a nie był — gołym».

których dało się dla sprawy pozyskać, te nazwiska są najcenniejsze. Na widnokręgu intelektualnym Francyi świecą jasno, jak gwiazdy pierwszej wielkości, rzucając dalekie w świat promienie! Dokąd ich słowo nie doleci! Gdzie nie trafi! Gdzie, na jakiej półkuli nie zdobędzie przyjaciół, wyznawców!? Charles Richet nie od dzisiaj jest przyjacielem Polski. Był nim zawsze. Z usposobienia, z tradycyi domowej, z przyjaźni, jaką związał się był od lat trzydziestu z Julianem Ochorowiczem. Uczniów i uczennice miał między Polakami licznych i pozostawiał zawsze wrażenie człowieka szczerze oddanego sprawie, człowieka odważnego, który mówił wtedy, gdy inni milczeli albo przemawiali po to, aby powiedzieć: «nic nie możemy».

W toku wojny p. Richet przystąpił do komitetu «Mickiewicz—Michelet», a gdy się przekonał, że jest tam ze swoim na sprawy poglądem w mniejszości — stanął na czele innego ugrupowania, będącego dziełem p. Edmond'a Privat, które stawia wyraźnie kropkę nad *i*. P. Richet ogłosił książkę p. t. *Les Coupebles* i w tej książce rozdział poświęcony Polsce pełen jest uczucia, drżącego oburzeniem i przerażeniem na myśl o tem, czem stała się Polska w toku tej strasznej wojny — cmentarzem, zoranym i wielokrotnie spalonym, polem walki morderczej, w której mordują się wzajem bracia... Ale jest i myśl, która nie widzi innego dla świata wyjścia, jak postawienie i rozwiązanie sprawy polskiej w duchu naszych na tę sprawę poglądów, pożądań i nadziei narodu polskiego.

Profesor Séailles jest, jak wiadomo, profesorem filozofii w Sorbonie, estetykiem, specyalistą jednym z najbardziej cenionych od Leonarda da Vinci. Jest też w zarządzie «Ligi praw człowieka» i z ramienia «Ligi» wygłosił odczyt o «Polsce» w sali merostwa IX-go okręgu miasta Paryża (na rue Drouot), — odczyt, wydany przez «Ligę» w czerwcowym zeszycie *Bulletin*'u i oddzielnie w dwu wydaniach. Ogłosił też główne ustępy odczytu w *Dépêche de Toulouse*, której jest stałym współpracownikiem. Dziennik ten jest bardzo rozpowszechnionym na południu Francyi, wychodzi w 13 wydaniach dla 13 departamentów. Jest to najważniejszy organ radykalny we Francyi.

Na południu — w Nicei — przemawiał p. Jan Styka w Bordeaux, w Lyonie wygłosił też odczyt o Polsce p. Józef Lipkowski, inżynier z zawodu. Ogłosił kilka prac

o Polsce zaraz na początku wojny, a obecnie wypowiedział odczyt, który nietylko na południu, ale i w Paryżu zgromadził licznych słuchaczy i zyskał poklask prasy miejscowej. W Paryżu przewodniczył ten sam profesor Ch. Richet, w Lyonie—socyalista i pomocnik mera, profesor prawa na uniwersytecie miejscowym p. Emanuel Lévy.

P. Lipkowski czytał też w Lyonie poezye swoje. Ale występował tam i szczery poeta, który pragnie pracować w interesie polskiej sprawy, p. Hellens. Ten już przed wojną był przyjacielem Polski. Był przyjacielem bowiem Polaka, powieściopisarza Juliusza Kadena, którego odwiedzał w Krakowie, gdzie poznawał pamiątki i zaznajamiał się z dziejami naszemi. Obecnie znajduje się we Francyi i los własnego kraju podwoił jeszcze uczucia jego dla Polski; poznał — jak sam mówił — co to jest niewola. Uczy się sam, chcąc uczyć innych, dając coś więcej, prócz zdawkowych frazesów i komunałów. Wypowiedział odczyt o Polsce w Nicei, brał udział w *tournée* p. Lipkowskiego.

Uczyć się... Czy wielu jest Francuzów, którzy chcą naprawdę wiedzieć coś na seryo o Polsce? Zapewne, że są tacy. Są Francuzi, bywają Francuzi, którzy zaczynają dziś uczyć się po polsku. Wierzymy, że takich będzie więcej, ale nie złorzeczmy, że ich dotąd tak mało było. Nikt nie da wiary, jak mało było Francuzów przed wojną, którzy umieli—po rosyjsku, i to pomimo interesów, pomimo pożyczek, pomimo agitacyi politycznej. Francuz nie zna języków cudzoziemskich. Znam profesorów, wielkich uczonych, nie umiejących po niemiecku.

Zawiązał się tu świeżo komitet, mający na celu propagandę zbliżenia się aliantów—i ten między innemi zastanawiał się nad tem, co uczynić, aby Francuzi uczyli się mówić i czytać po rosyjsku. A jednak w Petrogradzie istniał przed wojną «Instytut Francuski» i w gimnazjach rosyjskich na całej bezkresnej przestrzeni państwa Francuzi uczyli się języka swojego po rosyjsku. My jednak, pomimo braku propagandy, doczekaliśmy się takich oto zjawisk, że córeczka p. Fortunata Strowskiego, nie umiejącego już po polsku, z własnego impulsu zaczęła się na gwałt uczyć po polsku. I nie ona tylko. Wiele dzieci emigrantów polskich z 1831, 1846 i 1863 roku, wychowanych przez matki Francuzki, zaczęło żywo czuć po polsku pod wpływem wypadków. Pani Noir, żona lekarza Francuza, córka emigranta, doktora Korab-

Bożewskiego—nie umiała już po polsku (matkę ma Francuzkę). Zapaliło się w niej gorące uczucie polskie, któremu dała czynny wyraz, nietylko uczęszczając na prelekcye polskie, obcując z Polakami, organizując w liceum żeńskiem kwestę na rzecz Polski, ogłaszając odezwy w tej sprawie, ale oraz prowadząc agitacyę na rzecz Polski na prawo i na lewo. Z tej agitacyi urodziła się jedna drobna rzecz, o której głucho w oficyalnej prasie polskiej: wychodzące tu czasopismo dla dzieci robotniczych «Notre Journal» poświęciło numer Polsce. Redaktorka tego pisemka, pani (a właściwie towarzyszka) Alicya Jouenne, zgłosiła się do kilku Polaków o pomoc — i powstał numerek, w którym jest i hymn narodowy (z muzyką), i parę wdzięcznych rysunków Nawroczyńskiego, i artykuł o sztuce polskiej Zygmunta Zaleskiego, i artykuł o Polsce pani Jouenne, i «legendy polskie» pani Noir de Korab; rzecz najważniejsza, że ten numer wyszedł z własnej inicyatywy organizatorek. Rozeszło się pięć tysięcy egzemplarzy pisma ludowego, czytanego pewnie więcej przez rodziców, niż przez dzieci.

Opowiadano nam, z jaką wszędzie został przyjęty wdzięcznością. Pokazywano nam listy z frontu dziękczynne. W jednym departamencie inspektor oświecenia publicznego polecił nauczycielkom rozdawać pismo dzieciom i rodzicom. Na obchodzie dorocznym, gdzie uczy pani Jouenne, była obecna pani Poincaré. Przyjęła numer jej ofiarowany i gorąco pochwaliła pomysł nauczycielek...

Jeżeli posuniemy się wyżej na drabinie pracy popularyzacyjnej, znajdziemy p. H. Grappin'a, nauczyciela historyi w szkole wojskowej w La Flèche, który ogłosił wykład «Dziejów Polskich» po francusku (w wydawnictwie Antoniego Potockiego). Inicyacyę polską otrzymał p. Grappin przed wojną jeszcze od p. Cazin'a, tłomacza utalentowanego i znawcy nieposledniego literatury polskiej. W toku wojny ogłosił kilka artykułów z dziejów Polski w duchu obrony przed zarzutami, w rodzaju niefortunnego p. Masson'a; obecnie dał zarys dziejów polskich.

Nie podajemy tu recenzyi krytycznej tej pracy,—podkreślamy fakt jej istnienia. Od czasu, kiedy pierwsza emigracya ogłosiła zarysy dziejów polskich Chodźki, Lelewela i Adama Mickiewicza—głucho było z dziejopisarstwem naszem we Francyi.

P. Kazimierz Waliszewski z zapałem pisał książki,

poświęcone Rosyi (jest ich jedenaście, romansów historycznych, obejmujących dzieje Rosyi od Iwana Groźnego aż do Pawła I, oraz dzieje «Literatury Rosyjskiej», a jeden tom tylko poświęcony «Marysieńce»), wydawał pamiętniki pani Gołowin. Może to czasów wina, czy zasługa...

Ale uderzmy się w piersi: cóżeśmy czynili, aby było inaczej? Gabriel Monod stworzył w «Revue Historique» dział polskiemu dziejopisarstwu poświęcony: prowadził go Pawiński, później J. K. Kochanowski. Czyśmy starali się inicyatywę tu daną rozszerzyć? Czyśmy tłumaczyli dzieła Korzona, Wojciechowskiego, Smoleńskiego czy Askenazego, Chmielowskiego czy Brücknera na język francuski? Nie było wydawcy. Nigdy niema wydawcy na nic, — rzecz to wiadoma autorom. Sami powinniśmy byli stać się wydawcami.

Gdy istniała tu w Paryżu «Księgarnia Luksemburska», z takim nakładem pracy i ofiar prowadzona przez p. Władysława Mickiewicza, nie podtrzymano jej; pozwolono upaść w chwili, gdy najbardziej wobec zmienionych czasów stawała się potrzebną. I dlatego nie było od Lelewela do Grappin'a podręcznika dziejów polskich po francusku. Dlatego prof. Brückner pisał dla Niemców o literaturze polskiej; dlatego, gdy Francuz pyta o urządzenia polityczne Polski, o których mu mówią, że były takie obłąkane i dziecinne—dać mu musimy podręcznik Kutrzeby, wydany w tłumaczeniu niemieckiem. A książka francuska w świat idzie, nie zna Pirenejów, ocean nie jest dla niej przeszkodą...

Zmieniły się czasy, odmieniły się może warunki, powinno być lepiej — i zwiastunem tych lepszych czasów jest książeczka p. Grappin, która napewno tu mieć będzie licznych czytelników.

*
* *

Praca wydawnicza, płynąca przed wojną leniwie, bezbarwnie, pod hasłem: *ut aliquid fieri videatur* — zmieniła trochę swój charakter. Nie możemy się pochwalić tak poważnymi numerami bibliograficznymi, jak dzieło zasłużonego polityka, lorda Eversley (Shaw Lefevre) o «Rozbiorach Polski», jak profesora Lorda (z Harvardu), bardzo piękna, źródłowa praca o «Drugim rozbiorze Polski» — obie te prace były pomyślane i w znacznej części wykonane przed wojną — jak kilka innych książek angielskich. Ale zawsze zabiegi polskie na terytoryum fran-

cuskiem znalazły sobie wyraz w kilkudziesięciu broszurach i artykułach, umieszczonych w poważnych czasopismach francuskich. «Revue des Deux Mondes» i «Revue de Paris» — nie zamieściły ani jednego artykułu o sprawie polskiej w ciągu dwu lat ubiegłych, i to pomimo, że pierwszej stałym współpracownikiem jest Teodor de Wyzewa, a drugiej naczelny redaktor, słynny historyk Ernest Lavisse na początku wojny ujawniał duże i gorące sympatye dla sprawy polskiej (ostygł z biegiem czasu i cofnął nawet przyrzeczenie napisania wstępu do wydawnictwa encyklopedycznego p. Erazma Piltza). Były natomiast artykuły o Polsce w «Grande Revue». «Mercure de France», «Revue du Clergé» oraz w kilku pomniejszych.

Wyszło kilka zeszytów «Revue de Pologne», redagowanej przez p. Antoniego Potockiego (niestety z wielkiemi przerwami od numeru do numeru), wychodziło pismo «La Pologne aux Polonais», bardzo odważne (zmieniało parę razy tytuł). Wychodził w dalszym ciągu «Bulletin Polonais», organ b. uczniów Szkoły Polskiej na Batignolles'ach, redagowany przez niestrudzonego i zasłużonego prof. Wacława Gasztowtta, o fizyognomii wyraźnej, dobrze informowany, z obfitym przeglądem prasy całego świata. Założona przed wojną «Polonia» wychodziła w dalszym ciągu pod redakcyą p. W. Gąsiorowskiego. Fizyognomia tego pisma jest również wyraźna, jak «Bulletin Polonais», odmienna atoli co do barwy i charakteru. Przyjaciele i przeciwnicy tego tygodnika pospołu oddają pochwałę należną redakcyi z tytułu ankiety w sprawie polskiej, zorganizowanej i przeprowadzonej do końca przez współpracowników «Polonii». Ankieta ta, dzięki ofiarnej pomocy czytelników «Polonii» (zebrano dwa tysiące franków), ma wyjść niebawem z druku. Zasługuje ona na baczną uwagę. Poświęcimy jej nasz list następny.

Broszur o Polsce i sprawie polskiej pojawiło się kilkanaście. Największą produkcyą pochwalić się może redakcya wydawnictwa lozańskiego *La Pologne et la Guerre*, pracująca w Szwajcaryi, — ale, rzecz prosta, pracująca przedewszystkiem dla informacyi Francuzów (także całego świata, ile że książka francuska jest przeznaczona dla całego świata). W liczbie broszur tu ogłoszonych najcenniejszemi są prace samego redaktora p. Jana Kucharzewskiego, który wiąże umiejętnie treść poważną z wdzięcznem ujęciem zewnętrznem, talent *debatter*'a po-

litycznego ze znajomością rzeczy i znacznem oczytaniem w zakresie polskiej literatury politycznej, czego dowody złożył w swojej dawniejszej, obszernej monografii, poświęconej Maurycemu Mochnackiemu.

Wiemy z obserwacyi osobistej, jak dobrze została przyjęta pierwsza broszura p. Kucharzewskiego przez sfery, które wiele będą miały do powiedzenia w naszych sprawach w momencie zakończenia wojny. P. Kucharzewski zaczął też wydawać czasopismo *L'Aigle Blanc*, którego dwa zeszyty, wydane pięknie, zbytkownie nawet, nie dają jeszcze dostatecznego pojęcia o planie i zamiarach redaktora. Rzecz najważniejsza dla czasopisma—ciągłość wysiłku. Czasopismo, które nie wychodzi peryodycznie, wychodzi z przerwami, trochę chybia celu: nie organizuje czytelników, przeciwnie, zniechęca ich i rozprasza, zamiast jednoczyć. Dobrze byłoby, gdyby czasopismo, obliczone na pewne sfery, wychodzić mogło stale w ciągu lat kilku.

L'Aigle Blanc korzysta z pomocy artystów polskich;—życzyć należy, aby ci, korzystając z rzadkiej okazyi, zapełnili lukę, jaka oddawna cięży na reprezentantach myśli i sztuki polskiej we Francyi. Nic prawie nie uczyniono przed wojną w celu zapoznania Francyi i świata za pośrednictwem Francyi z wielką sztuką polską. Mamy tu «Towarzystwo Artystów Polskich», któremu przewodzili przed wojną: Żeromski, Sieroszewski, Stan. Ostrowski, Edward Wittig; plany były szerokie: zapowiadano urządzenie wielkiej wystawy sztuki polskiej w Paryżu. Artystów-Polaków tu nie brak, malują i wystawiają, ale podporządkowując się często wskazaniom sztuki francuskiej. Nie to jednak jest ciekawe i ważne w sztuce polskiej, że posiada także «kubistów» i «futurystów». Owóż Francya niewiele wie o Matejce i Chełmońskim, o tylu innych z Warszawy i Krakowa, a trzeba, aby wiedziała. P. Armand Payot ofiarował zeszyt wydawnictwa swego *L'Art et les Artistes* — Polsce i pp. Styka i Daniłowicz-Strzelbicki przy udziale p. Kozakiewicza ogłosili (1916 r.) *La Pologne Immortelle* szybko, po dziennikarsku, sobotnim sztychem na niedzielny targ — sklecony zbiór powierzchownych artykułów o życiu, fotografii, obrazów. Artyści czynią temu wydawnictwu zarzuty. Zapewne — gdzież ich niema! Gdzie miłość własna nie oskrzydla prawdy! Uważamy atoli, że lepsze takie wydawnictwo, niż żadne. Zawsze musi być pierwsze gorsze, aby następne były lepsze.

L'Aigle Blanc, mający do dyspozycyi siły artystyczne i środki materyalne, powinien zapełnić i zapełni pewnie tę lukę, błędy naprawi, sprawiedliwie rozda pochwały, całość Sztuki Polskiej ujmie w jeden obraz, miłością i podziwem owiany...

W Lozannie również zorganizował się komitet wydawnictwa arcydzieł literatury polskiej. Książek ma być wogóle wydanych dwadzieścia cztery: Wyspiański, Sieroszewski, Słowacki, Krasiński, Norwid, Tetmajer, Kasprowicz... pewno inni jeszcze mają być zaprezentowani publiczności francuskiej. Wyspiańskiego tłumaczył p. Łada-Cybulski z udziałem wielce utalentowanego krytyka literackiego p. Lucyana Maury. Wydali przed wojną «Protesilaosa», mieli na warsztacie «Wesele».

Tłumaczyć poetów — rzecz najtrudniejsza pod słońcem, wymaga to niezwykłego zespołu warunków u tłumaczy, o które bardzo trudno. Nieraz słyszałem od osób kompetentnych, jak nieopisanie trudno tłumaczyć na język francuski — taki ścisły, prosty, klasyczny — prozę Żeromskiego i jego naśladowców w literaturze naszej. Słabe tłumaczenie pokpi sprawę, powiększy bibliografię i makulaturę — a nielicznych amatorów rzetelnej sztuki, umiejących odczuć piękno prozy egzotycznej — odstraszy. Francuzi myślą jasno. Niema rozczochrania w ich prozie. To, co nam wydaje się wielkością, patos — należy wedle nich do niższego rodzaju twórczości. Nie mogą zrozumieć naszego bólu. Ich własna tragiczność obramowana jest uśmiechem sceptycyzm. Stara to proza, o wielkiej tradycyi historycznej, sięgająca przeszłością swoją najdawniejszych wzorów prozy europejskiej Tłumacz nasz powinien zdawać sobie sprawę z warunków, w których pisze. Musi to być człowiek wysokiej kultury literackiej, miłośnik słowa francuskiego, miłośnik oraz ducha polskiego. Czy taki znaleźć się może? Nie pomoże żadna kontrola językowa, wykonywana przez autora francuskiego — cóż Francuz pomoże, gdy polskiego autora nie zna, i jeżeli nawet czyta po polsku, jakże rzadko rozumie ducha literatury polskiej!

Ten sam komitet przedsięwziął wydawnictwo monografii o sztuce polskiej: o muzyce napisze Opieński, o teatrze — Grzymała-Siedlecki, o sztuce ludowej Warchałowski, o malarstwie ma być książka zbiorowa, a o architekturze — Sienkiewicz (syn).

Widzimy, że zamiary Komitetu są poważne i na szeroką zakrojone miarę. Życzmy mu, aby sprostał zada-

niu, które przedsięwziął, aby mu skrzydła nie opadły, aby starczyło środków na wykonanie przedsięwzięć kosztownych i aby nie znalazł się w stosunku współpracownictwa do innych przedsięwzięć wydawniczych, w dobie wojennej podjętych.

«Agencya połączona polska», prowadzona—jak przed wojną— przez p. Kazimierza Woźnickiego, wydała kilka broszur: o zbrodniczej polityce Prus (bezimiennie), odczyt prof. Askenazego o «Księciu Józefie», broszurę zatytułowaną *Affaires de Pologne* (na podobieństwo owych Ksiąg Niebieskich, ogłaszanych przed 1870 r. przez kancelaryę paryską ks. Czartoryskich).

Redakcya «Polonii» (to jest p. Wacław Gąsiorowski) zapowiedziała szereg broszur, w liczcie których ukazał się zeszłoroczny odczyt p. Wacława Gasztowtta, wypowiedziany w Szkole Nauk Społecznych. Ogłosili odczyty i poezye Polsce poświęcone pp. Jan Styka i E. Topas (krytyk artystyczny). Bardzo czynnym jest w dziedzinie wydawniczej lekarz tutejszy p. B. Motz. Wydał już cztery zeszyty przyczynków do sprawy polskiej, owianych maksymalistycznym na sprawę poglądem.

List nasz wydłużył się bardzo. Mam jednak nadzieję, że czytelnik doczyta go do końca. Na końcu bowiem zachowałem wspomnienie jasnej i ofiarnej pracy p. Wł. Mickiewicza, w niemałym trudzie rozwijanej na polu niesienia pomocy jeńcom polskim we Francyi. Nie pora jeszcze pisać o tem, jakby należało. Historya zapisze w całej rozciągłości zasługę i do dziejów emigracyi polskiej we Francyi, którą do r. 1890 opracował p. Wład. Mickiewicz—dopisze ten jeszcze rozdział. Inne będzie to musiało uczynić pióro. Skromność bowiem, niepamięć o sobie wiąże się w tym czcigodnym mężu z poświęceniem i równe jest zasłudze.

Od roku z górą, bez względu na lata własne i pory roku, bez przerwy jeździ p. Wł. Mickiewicz po Francyi, aby zewsząd wydobywać rodaków, zapewnić im lepsze warunki, opiekę, polskie słowo. Licznym prośbom dał wyraz, drukując o tych czynnościach swoich zwięzłą notatkę w «Echu Polskiem», wydawanem w Moskwie. Ogromu tej pracy notatka nie określa. My, którzy oglądamy ją z bliska, chylimy czoła przed wielkiem sercem, godnem syna Adama — i przed Opatrznością, która pozwala rodakom naszym z takiej korzystać pomocy.

Stanisław Posner.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

ZYGMUNT BALICKI.

Zdala od ziemi rodzinnej, w północnem, obcem mieście zmarł Zygmunt Balicki. Śmierć przerwała pasmo dni i prac, przeżytych, przepracowanych dla Polski, zamknęła oczy, całe życie wpatrzone z troską w chmurną teraźniejszość, tęsknie wybiegające na spotkanie jasnej przyszłości Narodu. Dopełniony został żywot tak bujny i piękny, tak górny i ofiarny, że szczęście takie niewielu w ostatniem pokoleniu Polaków stało się udziałem. Zanim oddali się od nas — On i jego czasy—na taką odległość, by można było ocenić wpływ dzieła jego życia na zbiorową duszę społeczeństwa, należy zapoznać się z człowiekiem i jego twórczością w ogólnym przynajmniej zarysie.

* *
*

Zygmunt Balicki urodził się w Lublinie w r. 1858. Po ukończeniu gimnazyum lubelskiego, do którego wstąpił o cztery lata później od ś. p. Jana Popławskiego, udał się do Petersburga, gdzie uczęszczał na wydział prawny do r. 1881. Tu spotkał się z Józefem Hłaską, Bolesławem Wysłouchem, Tadeuszem Wróblewskim.

W kołach młodzieży polskiej w Rosyi panował wówczas niepodzielnie socyalizm międzynarodowy, o charakterze rewolucyjnym, propagujący teroryzm, jako środek walki politycznej. Wynaradawiał nie przez swą teoryę międzynarodowej solidarności proletaryatu, lecz przez nawskroś rosyjskie metody myślenia, któremi nieraz na całe życie piętnował wrażliwe polskie umysły. Wpływowi temu musiał ulegać w pewnej mierze Zygmunt Balicki; uratowało go silne poczucie narodowe, wpojone przez rodzinę i życie koleżeńskie w owianych wspomnieniami murach prastarego trybunalskiego grodu.

W roku 1881 przyjechał Balicki do Warszawy, ale wkrótce potem zmuszony był uchodzić za kordon z powodu wykrycia tajnej organizacyi, do której należał. Udał się do Lwowa, gdzie obracał się w kołach robotniczych, spotykając się tam z Wysłouchem, Czesławem Przewóskim, Bolesławem Czerwińskim. W r. 1882 znalazł się w Krakowie, gdzie pod przybranem nazwiskiem Sidorowicza zapisał się do Szkoły Sztuk Pięknych. Tu wszakże został uwięziony pod zarzutem należenia do stowarzyszenia tajnego, w istocie nieistniejącego, i osadzony w więzieniu we Lwowie, gdzie przebył pięć miesięcy do rozprawy sądowej. Wyrok wprawdzie zapadł tylko na cztery miesiące więzienia, ale wisiała nad skazanym groźba, że zostanie wydany władzom rosyjskim. To skłoniło przyjaciół Balickiego do uplanowania ucieczki. Z powodu przypadku schwytany, wrócił Balicki do więzienia, wkrótce jednak uzyskano dlań zezwolenie wyjazdu zagranicę.

Mieszkał tedy czas pewien w Monachium, a potem w Zurychu i Genewie. Tu oddaje się całą duszą pracy wychowawczo-narodowej w organizacyach tajnych i jawnych, których był założycielem, prawodawcą i najgorliwszym apostołem. Wespół ze ś. p. Zygmuntem Miłkowskim (T. T. Jeżem) zakłada Ligę Polską, zasłużony Związek Młodzieży Polskiej, Zjednoczenie Towarzystw młodzieży polskiej zagranicą. Organizacye są trójzaborowe, we wszystkich trzech dzielnicach prowadzą swe prace, peryodycznie, co roku lub częściej, odbywają zjazdy dla wzajemnego zbliżania rodaków z trzech zaborów, dostarczenia informacyi, wypracowania dyrektyw. Uczyniona Balickiemu propozycya wstąpienia do loży masońskiej nasuwa mu myśl wyzyskania organizacyi wolnomularskiej dla celów narodowych; do loży jednak nie wstąpił i pomysłu zaniechał.

Jednocześnie podejmuje Zygmunt Balicki pracę naukową.

W uniwersytecie genewskim uzyskał stopień doktora praw, pierwszą swą pracę naukową p. t. «Liberalizm i demokratyzm» drukuje we Lwowie w r. 1886. W Szwajcaryi także napisał rzecz, stojącą na pograniczu socyologii i prawa publicznego, p. t. «*L'Etat comme organisation coercitive spontanée de la société civile*» (1895).

Po czternastoletnim pobycie w Szwajcaryi, gdzie już uzyskał prawo obywatelstwa, przeniósł się Balicki w r. 1896 do Monachium, stąd zaś w r. 1898 do Krakowa.

Zamieszkał na Dębnikach — i tu, mając przed oczyma Wawel, symbol wielkości dziejów Polski, oddał się cały pracy wytężonej a wszechstronnej, bo wychowawczej, publicystycznej, politycznej i naukowej. Do wielu organizacyi, w których czynny bierze udział, przybywa mu dobrze zapisane w pamięci kraju Tow. Oświaty Narodowej. Pisuje wiele w «Przeglądzie Wszechpolskim», w warszawskim «Przeglądzie Filozoficznym» drukuje «Socyologiczne podstawy użyteczności» (1899) i «Hedonizm, jako punkt wyjścia etyki» (1900), wydaje dwutomowe studyum o «Parlamentaryzmie», głośną rozprawę p. t. «Egoizm narodowy wobec etyki», rzecz o «Metodach nauk społecznych i ich rozwoju w XIX wieku» (1903). Jednocześnie bierze udział w opracowywaniu programu tworzącego się stronnictwa demokratyczno-narodowego.

Pierwsze symptomy zbliżającego się kryzysu państwowego Rosyi sprowadziły Zygmunta Balickiego do Warszawy i rzuciły go w wir prac politycznych, jako jednego z przywódców swego stronnictwa. Redagował «Przegląd Narodowy», należał do najbliższych współpracowników «Gazety Polskiej», potem «Warszawskiej». Na Polski Kongres Pedagogiczny 7 listopada 1909 r opracował głęboko pomyślany referat p. t. «Zasady wychowania narodowego». Za przedruk programu Szymona Konarskiego skazany na rok twierdzy, odsiedział karę w Modlinie i Włocławku — i tam właśnie wykończył kapitalną swą pracę «Psychologię społeczną» (1912).

Projekty utworzenia dlań katedry socyologii na uniwersytecie Jagiellońskim nie zdążyły przybrać realnych kształtów, gdy wybuch wielkiej wojny europejskiej znowu postawił Balickiego wobec całego szeregu zadań politycznych. Brał czynny udział w pracach Komitetu Narodowego. Całe życie poświęciwszy propagandzie idei wojskowej polskiej, idei żołnierza-obywatela, objął kontrolę nad tworzeniem się w Warszawie legionu polskiego — w szlachetnem złudzeniu, że legion ten stanie się już w czasie wojny zawiązkiem wojska polskiego. Jednocześnie zaczął wydawać wespół z inż. H. Bagińskim «Bibliotekę Wiadomości Wojskowych».

Latem 1915 r. losy wojny rzuciły go nad Newę.

Tu rok przetrwał jeszcze wśród pracy wytężonej, ale i borykania się z postępującą pod wpływem wypadków chorobą serca. Jak zawsze, jak przez całe życie, oddany był wyłącznie myśli o Sprawie... Nasłuchiwał wieści

z kraju, a każda napełniała go dumą i radością, gdy stwierdzał, że nie zawiodła go wiara w zdrowy, nieomylny instynkt narodu.

Ale strudzone serce pracowało z coraz większem wysileniem w tych przeogromnych czasach, gdy miesiące liczą się za lata. Balicki zmarł nagle rankiem dnia 12 września 1916 r. w skromnej swej stancyjce, samotny. Zanim ktokolwiek z przyjaciół dowiedział się o katastrofie, ciało złożone zostało w kostnicy publicznej, skąd zabrało je grono najbliższych. Dnia 15 września z kościoła św. Katarzyny wyniesiono zwłoki na tymczasowy spoczynek na cmentarz Wyborski, gdzie długi już poczet trumien czekał na godzinę powrotu do ziemi ojczystej.

Kolonia polska w Petrogradzie świeciła nieobecnością na nabożeństwie żałobnem w kościele św. Katarzyny w d. 15 września. Dla niej — umarł tylko człowiek stronnictwa. Nie umiano dojrzeć w Balickim walorów ogólno-narodowych, nie chciano w nim uczcić ogólnonarodowej zasługi. A gdy nad Newą, odosobniając trumnę, starano się pomniejszyć postać zmarłego, — nad Wisłą nabożeństwa żałobne za duszę ś. p. Zygmunta Balickiego stały się wzruszającą w swej jednomyślności manifestacyą narodową.

*
* *

Był Zygmunt Balicki jednym z najpiękniejszych, najbardziej harmonijnych ludzi współczesnych w Polsce. Nad wysoką, niemal młodzieńczo wysmukłą postacią górowała kształtna głowa o bujnej, mocno siwiejącej czuprynie; niezmiernie miłą, pociągającą twarz o regularnych rysach przecinał krótki siwiejący wąs, ożywiały niebieskie oczy entuzyasty.

Balicki zaznał w swem życiu ciężkiej pracy fizycznej, służył w milicyi szwajcarskiej, w kraju gorliwie oddawał się ćwiczeniom sokolskim, uprawiał sporty. W pracy wychowawczej kładł wielki nacisk na rozwój fizyczny młodzieży i sam był żywym swej propagandy przykładem. Ruchy miał spokojne, opanowane. Ubierał się zawsze z wytworną prostotą. Biła od całej postaci głęboka kultura rasy.

Potrzeby miał niezmiernie skromne, życie prowadził proste, niemal żołnierskie. Do końca życia nie miał też ustalonej sytuacyi, zabezpieczonego stanowiska. Nie dążył do żadnej karyery. Być może, że jedyną rzeczą, jakiej dla siebie osobiście pragnął, była katedra socyologii

w polskim uniwersytecie — ale tej się doczekać nie było mu sądzonem.

Życie, tak mało obarczone troską o siebie, poświęcił służbie narodowej, przedewszystkiem działalności narodowo-wychowawczej. Długie lata był moralnym kierownikiem największych organizacyj młodzieży w całej Polsce i na obczyźnie; i dziś pewnie jeszcze gdzieś koła młodzieży z miłością przechowują statuty, jego ręką pisane. Bywał na zjazdach dzielnicowych i ogólnopolskich, czynił swoje uwagi, nauczał, nieraz z wielką cierpliwością wytrzymując długie i młodzieńczo gwałtowne dyskusye. Przemawiał spokojnie, rzeczowo: miał wielki szacunek dla słowa i nie znosił frazesu, nieszczerości w rozumowaniu, demagogicznych metod w agitacyi. Tajemnica wpływu jego na młodzież kryła się nietylko w kryształowej czystości charakteru, przed którą wszyscy chylili czoła, w zupełnej bezinteresowności osobistej, w wielkiej wiedzy i umiejętności dysputowania, ale także w gorącem jego sercu, które sprawiało, że młode dusze lgnęły doń i otwierały się przed nim, jak przed przyjacielem, w bezwzględnem, nieograniczonem zaufaniu.

Człowiek, który cieszył się takim szacunkiem i przywiązaniem szerokich kół młodzieży, nie mógł być sekciarzem. Wpływ jego był naprawdę wychowawczym w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Unikał jednostronności i przestrzegał przed nią młodych. Niechętnie widział zbyt wcześnie urobione przekonania polityczne, przedwczesne zaciąganie się w szeregi partyjne, udział młodzieży w praktycznej akcyi politycznej. Podnosił natomiast wysoko instynkt narodowy, zdrowy, w czułostkowość nie wypaczony patryotyzm, zrozumienie obowiązków obywatelskich, prawy i mocny charakter w życiu zarówno prywatnem, jak publicznem. Ustawiał dusze na górny, męski ton, pragnął widzieć w każdym Polaku żołnierza-obywatela.

Ostatnie lata, lata czynnej polityki Zygmunta Balickiego, odsunęły go nieco od młodzieży, nie zrywając zresztą zadzierzgniętych węzłów: Balicki pozostał zawsze nauczycielem. Niejedno jeszcze pokolenie młodzieży rozczytywać się będzie w jego pismach politycznych z największym dla siebie pożytkiem.

Jako pisarz polityczny, należy Balicki do twórców i najwybitniejszych przedstawicieli kierunku wszechpolskiego. Słusznie też można go uważać za teoretyka tego kierunku. W pismach swoich z całym zasobem wiedzy

filozoficznej i społecznej, przy pomocy metody naukowej badał prawa, rządzące życiem narodów, wpajał w społeczeństwo prawdy proste i jasne, a jednak zapoznane, oczyszczał umysły z mułu idei i koncepcyi obcych, naniesionych z zewnątrz przez straszliwy potop dziejowy, przywracał ciągłość myśli polskiej, związywał d z i ś z doszczętnie, zdawało się, zapomnianem w c z o r a j.

Zanim będziemy mogli odpowiedzieć na pytanie, czy i o ile czerpał bezpośrednio z pism dawnych statystów polskich, już teraz z całą można stwierdzić pewnością, że ich i jego myśl z jednego płynęły źródła, w jednym dążyły kierunku. Bo tę polską myśl polityczną cechował zawsze silnie uwydatniony związek z życiem; realizm, który nie pozwala nigdy rozciągać rzeczywistości na prokrustowem łożu koncepcyi teoretycznych, lecz teoryę nieustannie sprawdza w ogniu faktów; dążność do syntezy, do opanowania rzeczywistości, zaprowadzenia w niej ładu, uszeregowania zdobytych pojęć ogólnych w porządku hierarchicznym Opromieniał tę myśl pogodny optymizm twórczy, który bije także z pism Balickiego. Być może, że wpływ swój—należycie jeszcze nie oceniony — na współczesne w Polsce umysły zawdzięczają pisma Balickiego temu głębokiemu pokrewieństwu z całą myślą polityczną polską; być może, że właśnie dzięki temu znalazły oddźwięk w duszach jednych, gwałtowną opozycyę wywołały w innych. Bo pamiętać trzeba, że przypadły na czas pasowania się socyalizmu i pozytywizmu z odradzającą się historyczną myślą polityczną polską.

Wszystkie cechy Balickiego — pisarza politycznego — odnajdujemy w Balickim—uczonym. Wiązały się bowiem u niego te dwie dziedziny niezmiernie ściśle z wielką dla obu korzyścią: pisma polityczne oparte były na rozległej wiedzy i wytrawnej metodzie, prace naukowe obracały się dokoła najważniejszych zagadnień bytu społecznego. Wśród tych zagadnień miejsce centralne zajmuje zagadnienie n a r o d u. I w tem także jest Balicki podobny do wszystkich typowych przedstawicieli myśli naukowej polskiej

Stanowisku Balickiego w nauce polskiej poświęcimy większą rozprawę w jednym z najbliższych zeszitów «Myśli Narodowej».

dr. B. W.

MATERYAŁY I POSZUKIWANIA.

Zygmunt Mocarski.

W SPRAWIE INWENTARYZACYI DRUKÓW POLSKICH.

»...Radbym Bibliografią moją nazwał Księgą złotą, bo w niej osiedli Ci, co Krajowi przysporzyli i światła i sławy i imienia. To jest prawdziwy herbarz dzisiejszego społeczeństwa. On wyciska znamię żywotności narodu«...

Karol Estreicher.

(»Z i a r n o, wydawnictwo zbiorowe dla głodnych«. W. 1880 r., str. 11).

Podczas zawieruchy wojennej na wygnaniu wschodniem rozległy się w prasie głosy o ocalanie ginących pomników kultury polskiej, oraz o inwentaryzowanie rozproszonych po wielkich zbiorach rosyjskich dzieł sztuki, rękopisów, druków i wszelkiego rodzaju dokumentów.

W niektórych miejscowościach rozpoczęto już pewne kroki głównie w zbieraniu materyałów do bibliografii — i prawdopodobnie do tej żmudnej pracy zgłosił się nieliczny, jak zwykle, zastęp zamiłowanych w niej lub przygodnych ludzi, którzy, chcąc nie chcąc, muszą się zapoznać z owocem lat ubiegłych, z szeregiem imion, na których czele jaśnieją nazwiska o europejskiem znaczeniu Załuskiego i Estreichera, a nawet usłyszeć dorywczo o najmłodszej z nauk — bibliologii, upominającej się nieśmiało jeszcze o swe prawa. Została napisana instrukcya dla inwentaryzacyi dawnych druków polskich, podpisana przez p. Józefa Grabowskiego, członka komisyi bibliograficznej Akademii Umiejętności, która, podając treść wielotomowej bibliografii Estreichera i stojąc na poziomie techniki bibliograficznej, jaką posiadał nasz uczony XIX wieku, nie uwzględnia jednak wielu ważnych kwe-

stwi. Wobec tego pragniemy podzielić się pewnym zasobem wiadomości, jakie początkujący, przygodny bibliograf poznać powinien, zaznaczając jednocześnie, że dla uczonych będą to rzeczy przeważnie znane, zwykle nieuwzględniane, lecz jednak konieczne.

Karta tytułowa, stanowiąca podstawę kartki bibliograficznej, winna być odtworzona jaknajściślej (pisownia, błędy druku i t. d.). W przedruku: 1) należy oznaczać koniec każdego wiersza: ; 2) należy zachować kursywę; 3) słowa, tłoczone dużemi literami, np. KORONA, nie wolno zmieniać na Korona; 4) słowa, tłoczone czerwoną farbą, powinny być zaznaczone (dajmy na to drukiem rozstrzelonym, a w rękopisie znakiem, używanym w korekcie do oznaczania takiego druku). Wszystkich tych prawideł bibliograficznych Estreicher nie uwzględnia.

Wtórą część kartki bibliograficznej zajmują objaśnienia, stanowiące najtrudniejszą i najbardziej odpowiedzialną część pracy inwentaryzacyjnej. Składają się zwykle z podania ilości stronic, rozmiaru (w milimetrach), wiadomego nazwiska autora, miejsca druku, roku i »oficyny«, jeśli wszystko to nie zostało uwzględnione w oryginale karty tytułowej. Liczba stronic winna być skonstatowana nie tylko na podstawie ostatniej karty,—bibliograf musi wypełnić konieczną pracę sprawdzenia dokładności stronicowania.

Każdy, kto miał w ręku pięć książek XVII lub XVIII wieku, wie, jak dziwacznie liczbowano dawnemi czasy, jakie skoki nieraz dojrzeć można o kilkaset liczb naprzód albo wstecz i często spotyka opuszczenia lub powtarzania.

Klasycznym chyba przykładem jest prawosławny druk polski, dzieło Joanicyusza Galatowskiego: «Alphabetum rozmaitym heretykom...« i t. d., niepiękny okaz typograficzny drukarni czernihowskiej arcybiskupa Łazarza Baranowicza z 1681 roku. Istnieje też zwyczaj podawania drukowanych dedykacyi, który zachować należy (przyczem tytuły osób bez skróceń); Estreicher podaje te materyały starannie, zato uwzględnia rzadko, bezplanowo, materyały do historyi cenzury w Polsce, które winny być stale notowane. — spisy cenzorów polskich byłyby chyba pożyteczne i ciekawe.

Najsłabiej u Estreichera przedstawiona jest strona artystyczna książki. Na kartach starych druków spotykamy czasem nieznane nazwiska lub inicyały sztycharzów,

których daremnie szukać u Rastawieckiego i Kołaczkowskiego; stale zaś — nieznane im prace znanych rytowników, posiadające czasem wartość artystyczną.

Niepodpisana aquaforta w popularnym niegdyś podręczniku do historyi polskiej: »Thron oyczysty...« Augustyna Kołudzkiego, w wydaniu księgarza poznańskiego Józefa Wolnskiego z 1727 r. nie należy do tak znowu częstych wypadków w historyi książki w Polsce, by o tem zamilczeć można, jednak Estreicher nazywa rycinę skromnie—portretem. Pewna choćby elementarna znajomość w tym kierunku winna być wymagana od przygodnego inwentaryzatora.

Pragnęlibyśmy, by praca inwentaryzacyjna nie miała charakteru mechanicznego przepisywania. Dlatego należałoby podczas niej zająć się lekturą pewnych wydawnictw, np. »Biblioteki Pisarzów Polskich« (wyd. Akademii Umiejętności), »Biblioteki zapomnianych poetów i prozaików polskich XVI—XVIII wieku« prof. Teodora Wierzbowskiego, działem »Notatki« w czasopiśmie lwowskiem »Pamiętniku Literackim« (zajmujące naprz. uwagi prof. Brücknera), a takie przestudyowanie i przejrzenie przedruków daje początkującemu bibliografowi oryentacyę, jakie książki obecnie nauka polska uważa na tyle cenne, iż są godne wznowienia [1]). Niejednoby się zapamiętało.

Wzmianka d-ra Zygmunta Celichowskiego w przedmowie do przedruku znanego apokryfu Pussmana: »Hiria barzo cudna o stworzeniu nieba i ziemi« [2]) może zwrócić uwagę na palone wydania XVIII wieku (może były i w XVII-ym?), których odnalezienie jest ciekawe choćby dla uzupełnienia przedruku d-ra Celichowskiego z defektownych unikatów. Niestety, takie materyały są porozrzucane wszędzie i nieskupione w jednem specyalnem wydawnictwie, co staje na przeszkodzie lepszej znajomości dawnych książek.

W zeszycie I-m »Pamiętnika Literackiego« z 1904 r. prof. Aleksander Brückner podniósł bodaj po raz pierwszy ciekawą kwestyę bibliograficzną tak zw. »volumina miscellanea«. Za dawnych czasów istniał dobry zwyczaj oprawiania w jednym tomie rozmaitych druków ulotnych (dzięki temu ocalały), często cennych na tyle, iż dziś

---

[1]) Prof. A. Bruckner napisał niegdyś oddzielny artykuł w sprawie przedruków (»Ateneum«, 1900 r., kwiecień).

[2]) »Bibl. pis-ów pol.« № 10, Kr. 1890 r.

przedrukowywanych w całości [1]). Takie broszury, bez oznaczenia roku wydania i drukarza, zostają prawie zawsze oprawiane z innymi drukami współczesnymi z jednego zwykle dziesięciolecia. Wobec tego, na podstawie sąsiadów broszury bez daty bibliograf określić może nietylko dziesięciolecie, lecz czasem i rok w przybliżeniu.

Prof. Jan Łoś, wydając [2]) »Kalendarz wieczny« (unikat dochował się w jednym z takich »volumina miscel.« w Szwecyi), mógł na podstawie innych druków razem oprawnych określić czas wydania kalendarza na ostatnie lata XVI, lub pierwsze XVII wieku. Prof. A. Brückner, widząc pewien volumen miscellaneum w Bibliotece Ces. Akademii Nauk (w Petrogradzie), zawierający druki z lat 1639—1641, określił datę wydania broszury: A. T. POSWAREK »Wina z Wodą« na: »około roku 1640«. Chociaż, zdaje się, prof. Brückner nie zwrócił uwagi na to, iż tom ten został oprawiony w sto lat później; jednak wspomniana data jest słuszna. Do kwestyi wydania tego druku dodamy, iż wyszedł on z »oficyny« Andrzeja Piotrkowszczyka w Krakowie [3]), co łatwo sprawdzić, porównując go z razem oprawionemi książkami: Psałterz Dawidow Kochanowskiego, Piotrkowszczyk 1641 r. i Łukasza Górnickiego: »Dworzanin polski«, Piotrkowszczyk 1639 r. Ozdoby (2 żołędzie) obok liter A. T. identyczne z ozdobami w Psałterzu na str. 1 i w »Dworzaninie« na str. 1. Winietka na końcu analogiczna z ozdobą w »Dworzaninie« na str. 77, a druk taki, jak w Psałterzu.

Oprawienie więc ulotnego druku w XVIII-ym wieku z dwiema znanemi książkami nie było przypadkowe. Oto przykład, jakie znaczenie mają ozdoby drukarskie w dawnych książkach. W przyszłości, z powstaniem pisma specyalnego, poświęconego bibliologii, bibliografii (historyi książki w Polsce), ozdoby takie będą niewątpliwie reprodukowane. Należałoby to czynić planowo, podług

---

[1]) W kulturalnym wieku XX istnieje zwyczaj w pewnych księgozbiorach (prof. Brückner wymienia niektóre) rozrywania takich starych opraw), by każdej książeczce sprawić oddzielne szaty, zwykle brzydkie i szablonowe.

[2]) »Bibl. pis-ów pol.« № 62, Kr 1911.

[3]) Estreicher, XXV, str. 118 (1913 r.) podaje datę wydania między r. 1620—1650, jako domniemanego autora Adama Tobolskiego, a miejsca druku (oficyny) nie zna. Przypuszczenie, że autorem druku krakowskiego jest wierszopis toruński († 1620 r.), bardzo niepewne Prof. B. podaje Adryana Tyszkę.

drukarń i epok, razem z reprodukcyami czcionek — nie tak, jak naprzykład na gruncie petrogradzkim czyni rosyjskie czasopismo dla miłośników książek: »Russkij Bibljofił«, bez żadnego ładu i systemu.

Na podstawie winietki na karcie tytułowej »Kalendarza Wiecznego« i rodzaju czcionek można określić napewno »oficynę«, a może i bliższą datę wydania. P. Franciszek Pułaski, wydawca, z pewnego volumen miscellaneum »Katechizmu brzeskiego« z r. 1553 — 1554 [1]) odgadł nietylko datę wydania, lecz i miejsce druku, na podstawie porównania ozdób drukarskich i czcionek. Wobec tego inwentaryzujący powinien zaznaczać ciekawe winietki, jako materyał, który ma być z czasem reprodukowany [2]).

Inna kwestya jest niemniej ważna przy inwentaryzacyi druków — kwestya autorstwa dzieła. Czasem nieznanego autora wykryć można na podstawie porównania z innemi jego pracami, co jest zbyt trudne dla początkującego bibliografa. Nierównie łatwiej, gdy w tekście lub w przedmowie nazwisko bywa ujawnione (zwykle autorzy podpisują dedykacye). Czasem należy go szukać w aprobacie cenzora..

Jako *curiosum* przytoczymy wypadek, jaki się zdarzył książce księdza Dominika Kochańskiego: »Prawdy moralne theologiczne« (Wilno, 1760 r.). W swoim czasie Jocher dojrzał nazwisko autora, wspomniane raz tylko w aprobacie; przysłano Estreicherowi wiadomość (bibl. Krasiń.—Wileńsk.) o tym druku, jako anonimowo wydanym, przyczem nietylko nie zwrócono uwagi na aprobaty cenzorskie, ale nawet i część tytułu opuszczono — prawdopodobnie przez nieuwagę. Dzięki temu dzieło ks. Kochańskiego figuruje w bibliografii, jako dwa osobne druki! [3]).

---

[1]) »Collectanea Bibl. Ord. hr. Krasińskich« № 1 i »Pamiętnik Literacki« r. 1908, z. III.

[2]) Nie wypada w przedrukach podawać mniemanej podobizny karty tytułowej, ułożonej z czcionek dzisiejszych. Należy ją reprodukować wiernie, razem ze wszystkiemi ozdobami drukarskiemi.

[3]) Tomy: XIX, str. 393 i XXV, str. 220. Estreicher, podając druk ten, jako dzieło Kochańskiego na podstawie »Obrazu bibliograficzno-historycznego« Jochera, nie przytacza biblioteki, posiadającej to dzieło, jakby ta książka dziś nie była znana. Drzeworyt przedstawia herb Sapiehów. Estreicher dodaje, że nie ma przypisu od misyi Sapieże (więc widział egzemplarz, choć nie podał biblioteki!). Jest to na samym początku przedmowa—dedykacya Misyi Zakonu Kaznodziejskiego Michałowi Franciszkowi Ksaweremu hr. Sapieże, krajczemu W. X. L., generał-majorowi Wojsk Litewskich, Puńskiemu etc. etc. staroście, orderów Orła

W zwykłej pracy inwentaryzacyjnej trudno zresztą ustalać kwestye autorstwa na podstawie porównań, szczególnie gdy się ma do czynienia z dużą ilością książek — i to przeważnie tego rodzaju, co latami leżą na półkach i nie ciekawią nikogo. Książki martwe... Do nich odnieść można, zachowane przeważnie jako unikaty, stare modlitewniki (szczególnie z końca XVII i XVIII wieku), — nawet dzisiejsi wydawcy ksiąg pobożnych nie korzystają z dawnego materyału.

Jednak najmniej ciekawa książka może mieć parę stronic ważnych dla nauki współczesnej. Czasem w dawnym modlitewniku-unikacie znajdzie się parę kart materyału do historyi architektury w Polsce.

Książka polemiczna religijna: »Dokument osobliwego miłosierdzia Boskiego« Ludwika z Bończe (tak!) Sienickiego (tak!) [Wilno, druk franciszkański 1754 r.] należy zarazem do szeregu dzieł, stanowiących tak zwaną: »bibliografię syberyjską«, z powodu jednego z najdawniejszych w Polsce opisów Syberyi w rozdziale pierwszym [2]).

W każdej książce, zda się dziś bezużytecznej, jak się wnioskuje z tytułu, bibliograf powinien znaleźć choć parę kart cennych i wskazać je uczonym, by nie odeszły zapomniane dzieła do smutnego szeregu ksiąg martwych. *Nullus liber est tam malus, quin aliqua parte prosit!* Oto jedno z piękniejszych i najtrudniejsze zarazem zadanie inwentaryzującego.

Albo »któż dziś zagląda jeszcze do okrytych kurzem zapomnienia panegiryków? — pisał prof. Konstanty Górski, poeta, jeden z niezbyt licznego szeregu ludzi prawdziwie kulturalnych, jaki nam dała Polska współczesna. — Czy je kto bierze do ręki ze czcią, z sercem bijącem nadzieją, że go z nich doleci echo dalekich czasów, myśl wiecznie młoda tryśnie z kart zszarzałych? Czy czekają one na wielbiciela poezyi o ciepłem sercu i zapalnej gło-

---

Białego i ś. Huberta Palatini Rheni Kawalerowi, marszałkowi w Tryb. Główn. W. X. Lit. W stronicowaniu opuszczono liczby 18, 19, 68, 69. Po liczbie 191 idzie 188. 189, 186, 187, 192 i. t. d., po 249 idzie 300, a po 380 idzie 391, 197×162 Zn. egz. 2 — egz. bibl. AN. Approbatio Alexander Horain, eppus Hirnensis S. S. A. V. Libr. Censor. (W niej ujawniony autor). Facultas: fr. Alexander Szystowski, S. Th. Lector Predicator Generalis, Prior Provincialis Provinciae Lituanae S. Angeli Custodi, Ord. E Provinciae ejusdem i fr. Vincentius Swobod S. Th. Lector, Prior Regiomontanus et Socius.

[2]) Rzecz bodaj znana, chociaż dr. Michał Janik (»Literatura polska syberyjska«. Biblioteka Powszechna Zukerkandla № 622—623) o tem nic nie wspomina.

wie? Pokolenie za pokoleniem zbliża się może do nich, pragnąc się orzeźwić, napoić z krynicy piękności!... Na ubocznych półkach biblioteki ustawiono je rzędem, nie według autorów, lecz według osób, na cześć których powstały: to dokumenty« [1]).

W takich książeczkach znajdujemy cenne nieraz materyały do życiorysów osób historycznych lub do historyi rodzin w Polsce, nie uwzględniane (rzecz przedziwna!) przez heraldyków naszych. Ale bibliograf inwentaryzujący druki, notuje materyały do herbarzy polskich starannie [2]) (Estreicher). W XX wieku nie istnieje już przesąd o małej wartości tego rodzaju wydawnictw i uczony polski posługuje się niemi w pracach naukowych narówni z takiemi dziełami, jak encyklopedye lub słowniki języka polskiego. Zresztą herbarze dla bibliografów mają czasem specyalne znaczenie: gdy trudno odcyfrować niewyraźnie pisane nazwisko dawnego »gubernatora« książki — spis polskich rodzin szlacheckich zwykle przychodzi na pomoc.

Takie materyały w XIX wieku jeszcze nie były notowane (za nielicznym wyjątkiem), — dziś je bezwątpienia uwzględniać należy. Z potopu zapomnienia wyłoni się niejedno nazwisko dawnego zbieracza książek. Napisy na drukach, należących niegdyś do Radziwiłłów nieświeskich, dają jedyny (najprawdopodobniej) materyał do historyi tworzenia się pięknego księgozbioru, i chowają wiadomość o nieznanych dziś zbieraczach książek z tego domu.

Historya polskich miłośników książek nie została napisana, a materyały do niej są skąpe. Ludzie, co nieraz z upodobaniem kreślili swe imię na kartach dawnych druków, zasługują chyba na pamięć potomnych!

Może praca inwentaryzacyjna, do której zaprzęgła się garstka pełnych dobrej woli ludzi, rozbudzi chęć wśród niejednego z nich w przyszłości i do innych opracowań w podobnym kierunku. Przed ukończeniem pomnikowej bibliografii Estreicherów zapewne trudnem jest za-

---

[1]) »Pisma literackie«, wydał Stanisław Pigoń. Kraków, 1913.

[2]) Notując herby tak zwane złożone (tarcze, składające się zwykle z czterech herbów), inwentaryzujący powinien wymieniać miejsce i nazwę każdego z nich. Ciekawy to materyał dla heraldyka współczesnego—szczególnie w książkach z XVI wieku. (Zob. artykuł Jana Konopki: »O polskich herbach złożonych« w »Miączniku Heraldycznym« 1911 r. № 5—12). Spisy cudów w książkach pobożnych zawierają niewyzyskany zupełnie ciekawy materyał dla heraldyków polskich, na co jeszcze nie zwrócono uwagi.

danie podjęcia bibliografii specyalnych (np. druków wileńskich, dawnych warszawskich, nieświeskich, petersburskich, moskiewskich), gdyż na tym licznym szeregu tomów oprzeć się one muszą [1]). Podczas, gdy—porównując stosunki tutejsze — widzimy, jakie piękne drukowane katalogi posiadają księgozbiory prywatne bogatych kupców moskiewskich, u nas najprzedniejsze nieraz biblioteki nie mają naukowo opracowanych opisów.

A z nich szczególnie chyba są drogie księgozbiory dziś nieistniejące. Bezcenny skarb — zbiory Józefa Andrzeja Załuskiego—chluba kultury polskiej (w części niestety rozproszone), po dziś dzień oczekują monografii, któraby dała ich wyczerpującą charakterystykę, a głównie r e k o n s t r u k c y ę tej najznakomitszej biblioteki w Polsce.

Takiej monografii wart znajdujący się w stolicy nadnewskiej najpiękniejszy w swoim czasie księgozbiór na Litwie, europejska biblioteka książąt Radziwiłłów w Nieświeżu (przywieziona 1 sierpnia 1772 r.) — typ polskiej biblioteki magnackiej, zarówno jak i księgozbiór niegdyś Akademii Wileńskiej (Uniwersytetu Wileńskiego), w części znajdujący się w tutejszej Akademii Duchownej. Zresztą... klasyczne dzieła Bandtkiego — mija stulecie—nie znalazły prawie następców. W tej dziedzinie monografie konieczne.

Tak się już dawno czeka wielkiego upragnionego dzieła — historyi książki w Polsce!

---

[1]) Dziś widzimy, jakie luki posiada praca Stanisława Józefa Siennickiego: »Drukarnia na Jasnej Górze w Częstochowie, i wyszłe z tej officyny druki od roku 1628 do 1864« (W., 1873 r.), — naturalnie nie z winy autora.

Z TOW. MIŁOŚNIKÓW HISTORYI I LITERATURY.

KONKURS LITERACKI.

Towarzystwo miłośników historyi i literatury w Petrogradzie otrzymało list następujący:

Szanowni Panowie! Mając dowody niezwykłej oziębłości naszych rodaków-wychodźców podczas teraźniejszej wojny i łatwego poddawania się pod wpływy chwilowego otoczenia, chciałbym przyczynić się do obudzenia w nich polskości, przypuszczam więc, że jedną z celowych rzeczy byłoby wydanie odpowiedniego utworu z chwili bieżącej, opartego na godle: „Wierzę w moc ducha i przyszłość Narodu Polskiego".

W tym celu ofiaruję rb. 350 na ogłoszenie konkursu na odpowiedni utwór. Nagroda konkursowa pierwsza — rb. 200, druga — rb. 100, trzecia — rb. 50.

Jest to projekt o ogólnym zarysie, a detale na konkurs mógłby wygotować Zarząd. Na odpowiedź pozostawiam 10 dni, po przeciągu zaś tego czasu, t. j. o ile nie otrzymam odpowiedzi do 23 października, moja propozycya odpada.

Z uszanowaniem *Adam Smoliński.*

Piotrogród 12/25 października 1916 r.

Rada Towarzystwa z wdzięcznością przyjęła do wykonania szlachetną inicyatywę p. Adama Smolińskiego, wchodzącą w zakres zadań Towarzystwa i, naradziwszy się na posiedzeniach w d. 19 października i 2 listopada r. b. nad sposobami użycia złożonego funduszu, powzięła następującą uchwałę:

Towarzystwo miłośników historyi i literatury, wchodząc w intencyę ofiarodawcy, a z drugiej strony w potrzeby umysłowe chwili obecnej, przyszło do przekonania, że hasłu: „Wierzę w moc ducha i przyszłość Narodu Polskiego" najlepiej odpowie praca literacka, uzasadniająca w sposób rozumowany podstawy tej naszej wiary powszechnej, miano-

wicie: w czem się objawia owa moc ducha, co Polska zrobiła już dla ducha swojego na polu kultury, a co pozostaje do zrobienia, aby zapewnić narodowi dzielność i samodzielność twórczą.

Byłaby to próba historycznej oceny momentu, w którym znajduje się nasza kultura, sposobność obrachunku z dziejową świadomością polską. Do zadania takiego warto powołać szersze zastępy piszących, a żaden wysiłek myśli w tej dziedzinie nie będzie stracony, duch bowiem narodu krzepi się pracą takich obrachunków i uświadomień.

Organizatorowie konkursu rozumieją, że w obecnych warunkach na wychodźtwie nie sposób uzyskać w drodze współzawodnictwa naukowego gruntownej pracy z dziedziny historyi kultury polskiej. Owocem skromnego konkursu może być broszura w tem znaczeniu popularna, że nie będzie pomyślana jako studyum naukowe; wszakże praca taka (wzorem artytułów spotykanych w miesięcznikach treści ogólnej) powinna mieć wartość literacką, odpowiadającą wymaganiom umysłu oświeconego.

Niepodobna także zakreślić ściśle tematu i planu takiej broszury, nieodzownym jednak warunkiem będzie, aby się trzymała ram zaznaczonej idei konkursu: „Wierzę w moc ducha i przyszłość Narodu Polskiego". W sposobie przykładu jedynie zaznaczymy kilka punktów wyjścia:

Można tę wiarę w moc ducha polskiego uzasadnić w rozprawie syntetycznej z zakresu psychologii społecznej, popartej faktami historycznymi;

można obrać poszczególną dziedzinę twórczości narodu, a więc politycznej, gospodarczej, religijnej, naukowej, literackiej czy artystycznej, szukając w niej wykładnika dla kultury ducha polskiego;

można naszkicować historycznie, ile naród polski wpływów obcej kultury uchylił od siebie, lub przetrawił bez zatracenia swej indywidualności;

odwrotnie można wykazać, co naród nasz wniósł oryginalnego do skarbnicy cywilizacyi powszechnej;

można analitycznie zastanowić się nad kulturą duchową ludu polskiego i stosunkiem jego charakteru do sfer oświeconych.

Charakter narodu przejawia się we wszystkich dziedzinach życia, zwłaszcza wśród ciężkich doświadczeń losu, w każdej dziedzinie można rozpoznać jego właściwości przyrodzone i stopień ukształcenia. Badać go można w dziełach twórców, w czynach historycznych, w życiu obyczajowem. W pracy, o której mowa, mają być przytoczone dowody mocy ducha polskiego bądź na podstawie historyi, bądź literatury, bądź obserwacyi bezpośredniej, a zawsze z dążeniem do uzasadnienia tezy, że moc ducha jest rękojmią główną pomyślności narodu. W tym zakresie rozprawa utrzymana nie wiąże się z zagadnieniami ściśle politycznemi i—jest to warunek konkursu—nie może mieć na celu propagandy politycznej w znaczeniu partyjnem, co zresztą wynika z charakteru jej literackiego, popularnie-naukowego.

Tak rozumiejąc wolę ofiarodawcy, Towarzystwo miłośników historyi i literatury ogłasza niniejszem *konkurs literacki na rozprawę pod dowolnym tytułem, a pod godłem „Wierzę w moc ducha i przyszłość Narodu Polskiego"* w duchu wyżej wyłuszczonych uwag—na następujących warunkach:

1. Praca ma obejmować po wydrukowaniu 2 do 6 arkuszy średniej ósemki (32 do 96 stronic).

2. Prace, już ogłoszone drukiem, są wyłączone z konkursu.

3. Z prac na konkursie odznaczonych, trzy najlepiej odpowiadające idei konkursu, będą nagrodzone. Pierwsza nagroda rb. 200, druga—rb. 100 trzecia—rb. 50.

4. Prawo własności literackiej konkurs pozostawia autorowi. Ponie-

waż jednak celem konkursu jest publikacya, przeto autor ułoży się z Radą Towarzystwa co do sposobu, w jaki praca będzie wydana. Honoraryum—względnie czysty zysk z wydawnictwa należy do autora.

5. Konkurs rozstrzyga Rada Towarzystwa, wyłaniając z pośród siebie na ten cel komisyę, która będzie sądem konkursowym.

6. Termin ostateczny składania rękopisów 1/14 lutego 1917 r.

7. Adres dla rękopisów: prof. Tadeuszowi Zielińskiemu, Petrograd, Wasiljewskij Ostrow, Uniwersitetskaja nabier, № 11.

8. Autorzy dołączają do rękopisu w kopercie zamkniętej, oznaczonej specyalnem godłem, takiem samem jak rękopis, swoje nazwisko i adres.

9. Rękopisy powinny być czytelne, a więc najlepiej—przepisane na maszynie.

Petrograd, d. 2/15 listopada 1916 r.

Prezes Tow. Miłośników hist. i lit.

T. Zieliński.

Sekretarz.

F. Cichecki.

KRONIKA.

SPRAWOZDANIE

Wydziału Opieki na Zabytkami przy Komitecie Polskim w Moskwie za czas od 1 stycznia do 1 lipca 1916 r.

Prezydyum: prezes Maciej ks. Radziwiłł: zastępca W. Lednicki, skarbnik F. X. hr. Pusłowski, sekretarz M. Morelowski. Członkowie Zarządu: R. ks. Radziwiłłowa, M. hr. Czapska, M. Zdziechowska, Mec. A. Bellier, dyr. Wasserberger, art. mal. A. Zarzycki.

Komisya Wykonawcza: architekt art. W. Dąbrowski, arch. p. E. Wiśniewski, M. Morelowski, M. Morelowska, Jan Bogucki, Ks. Żyskar, kierownik sekcyi kościelnej.

Komisja rzeczoznawców: profesor Nawakowski, Wł. Twardowski, arch. T. Wiśniewski, prof. J. Jakubowski.

Wydział zgromadził w składzie swoim ubezpieczonym przez Sekcyę Techników Komitetu Polskiego, od ognia i grabieży, (obejmującym 5 pomieszczeń, 2 sale i 3 pokoje, na pierwszym piętrze) przeszło 2.000 zabytków jako depozyty 11 osób wszelkich stanów. W tem oryginały Vigée le Brun, J. Kossaka, J. Rejchana, Cavarniego, Raffeta, podpisane przez tychże artystów. Jedno dzieło niewątpliwe Piotra Michałowskiego, makaty wschodnie, (z tych jedna ma 6 metrów długości) 193 sztuk starej porcelany. 10 starych zegarów, mnóstwo innych obrazów, sztychów, rysunków, monet, witraży, ołtarze domowe, ornaty, monstrancye, meble artystyczne i t. d.

Darów przeznaczonych dla jednego z muzeów polskich zebrano 161 (rękopisy historycznej wartości, pamiętniki, monety obrazy i t. d.). Zakupiono nader tanio przeszło 200 dokumentów od XVI w. do XVIII dotyczących wielu historycznych wypadków i rodzin, niektóre z podpisami Królów Polskich, niektóre nader ważne pod względem obyczajowym, jeden list Henryka Dąbrowskiego na 4 stronach, jeden portret z XVII w. Należy tu zaznaczyć, że p. A. Lednicki, otrzymawszy od Wydziału odnośną opinię rzeczoznawcy prof. J. Jakubowskiego, uratował własnym znacznym sumptem 10 dokumentów niewątpliwie zrabowanych, a dotyczących miast polskich Przeworska, Bochni, Krosna, Kołaczyc, Dembowiec (nadania królewskie z podpisami królów polskich) i t. p. Za uratowanie ich rzeczone miasta będą z pewnością bardzo wdzięczne.

Z innych członków Wydziału kupili w Moskwie i uratowali od przejścia w obce ręce zabytki: p. Wł. Twardowski, za sumę przeszło 4.000 rb. (meblę, sztychy, miniatury) p. Buchner kilkadziesiąt miniatur etc.

Po rozlicznych staraniach Wydział zgromadził 809 reprodukcyi zabytków architektury staropolskiej, głównie fotografie i rysunki, w tem 80% reprodukcyi albo nigdzie dotąd nie reprodukowanych albo reprodukowanych w sposób dla nauki zupełnie niewłaściwy. W liczbie tej mieści się 87 fotografii, wykonanych przez członków Wydziału i człon-

ków oddziału graficznego Sekcyi techników przy Domu Polskim w dziale polskim muzeum Rumiancowskiego w Moskwie. Oprócz tych 809 reprodukcyi zgromadzono 341 klisz reprodukujących zabytki polskie, albo z Polską bezpośrednie związanych, klisze podobnie jak reprodukcye nie reprodukowane dotąd nigdzie lub przedstawiające zabytki dawniej reprodukowane w sposób dla nauki niewłaściwy.

Po długich staraniach uzyskano dzięki pomocy oodziału graficznego Sekcyi techników przy Domu Polskim pozwolenie na poczynienie odlewów z 24 głów z zamku Wawelskiego w muz. Rumiancowskiem. Pracy tej podjął się znany rzeźbiarz p. Breyer. Pozwolenie to tem ważniejsze, że przed wojną nie pozwolono nawet fotografować tych głów mimo starań uczonych polskich z Krakowa czynionych za pośrednictwem wysoce wpływowych czynników.

Wydział zorganizował *inwentaryzacyę* i opisywanie zabytków sztuki i starych druków polskich w 9 muzeach i bibliotekach w Rosyi a mianowicie: 1) w muzeum Rumiancowskiem praca podjęta bardzo umiejętnie przez p. Essigmana i p. H. Chełmicką już ukończona i obejmuje 665 numerów, wyciąganych nieraz z za szaf i ze skrytek (zabytki wywiezione do Moskwy w 1864 r. z Wilna przez Murawiewa: 2) w bibliotece Rumiancowskiej gdzie inwentaryzacyę i opisywanie starych druków prowadzą p. Józef Grabowski współpracownik Komisyi bibliograficznej Akademii Umiejętności w Krakowie p. Araszkiewicz i p. Grużewska, 3) w bibliotece Synodalnej w Moskwię p. Rogoż, 4) w bibliotece w Dorpacie p. Schmit, jest tam około 1.000 tomów autentycznej biblioteki Zygmunta Augusta, biblioteka pojezuicka z Rygi i część Wileńskiej 5) w Charkowie (p. W. Świrski) tam drugi tysiąc tejże biblioteki Zygmunta Augusta i Wileńskiej, 6) w bibliotece uniwersyteckiej w Kazaniu (p. Wańczura inspektor szkolny, 7) w bibliotece Akademii Duchow. tamże tenże 8) w Troicko-Siergiewskiej ławrze (biblioteka moskiewskiej akad. Duchow.) gdzie jest też bardzo wiele druków staro-polskich a gdzie prace przygotowawcze są już rozpoczęte. Planuje się rozszerzenie tej akcyi i po innych bibliotekach i muzeach w Rosyi i w tej sprawie Wydział ma zamiar porozumieć się bliżej z innymi Kołami i Wydziałami 9) wreszcie na prośbę Wydziału moskiewskiego p. J. Raciborski przy pomocy nowoutworzonego. Wydziału smoleńskiego (prezes hr. Michał Grabowski, wiceprezes p. Nielubowicz prezes miejscowego Tow. Dobr.) podjął się inwentaryzacyi ogromnych archiwów w trzech basztach starożytnych w Smoleńsku i innych miejscach. Zasługa odkrycia lub zwrócenie uwagi na te cenne zbiory przypada p. J. Raciborskiemu.

Delegacye. Wydział rozesłał lub uzyskał na miejscu na prowincyi ogółem 21 delegatów własnych a 1-go wspólnego z Kołem Petrogradzkiem p. Radyszkiewicza, który korzystając z swej podróży jako delegat Tow. rol. Królestwa Polskiego szukał przy tej okazyi i dzwonów ewakuowanych i nadesłał dla Wydz. i Koła odnośne cenne relacye.

Działalność delegatów własnych Wydziału. a) W Rostowie n. D. uratowano wielki zbiór zabytków (około 1.000 sztuk) hr. Rzyszczewskiej z Brodów, której plenipotent p. H. Młodecki na kilka dni przed śmiercią oddał nam pod opiekę ten cenny zbiór. Delegat p. J. Bogucki przewiózł go osobiście do Moskwy, ubezpieczywszy go prawnie, wspólnie z innymi delegatami, WP., mecen. Ichnowskim i arch. W. Dąbrowskim, któremu Wydział składa podziękowanie za wzięcie kosztów podróży na siebie).

b) pp. Bogucki i Korewo, później p. Radyszkiewicz pojechali do Odessy dla porozumienia się z p. Berezowskim i p. Grocholskim co do 7 wagonów zawierających zabytki z Galicyi, a zrabowanych przez złoczyńców. Postarano się o rewizyę śledczą.

c) p. Ratyński pojechał do Baku i Tyflisu, gdzie bawi obecnie dla

ratowania wielkiego zbioru polskich pamiątek i zabytków, przez podejrzane indywidua zgromadzonych w podziemiach jednego z domów w Tyflisie.

d) 8 delegatów łącząc pożytek Wydziału z osobistymi powodami wyjazdu z Moskwy, podjęło się poszukiwania i ratowania zabytków, jak również zbierania podobizn architektury staropolskiej zwłaszcza drewnianej, która jest najoryginalniejszym wyrazem staropolskiej twórczości artystycznej, a tak łatwo podlega pożarom. Dzięki tym delegatom uzyskano wiele cennych informacyi, odnaleziono znaczny szereg dzwonów i t. p.

e) 3 jeździło do Smoleńska dla zbadania na miejscu warunków szczegółowszej akcyi ratowniczej i poszukiwań i nawiązało pomyślne w tym celu stosunki z powstałych świeżo w Smoleńsku Wydziałem.

f) Na skutek równoczesnego zawiadomienia od wysłannika Rady Zjazdów p. Gajewskiego i delegata p. Radyszkiewicza jak i wiadomości przysłanych nam od niego przez Koło Pietrogradzkie, wysłano na koszt własny delegata p. Boguckiego do Kurska, który zdobywszy pozwolenie władz wojskowych, w przytomności generała zarządzającego przekonał się z ust oficerów przy oględzinach na miejscu, że w olbrzymich składach w Kursku jest 20.000 dzwonów ewakuowanych, w tem $^2/_3$ rzymsko katolickich (o akcyi dalszej poniżej).

g) Zapoznawszy się za pośrednictwem Koła Petrogradzkiego z p. Marjanem Januszewskim obywatelem ziemskim z Kowieńskiego, który złożył w naszym składzie przeszło wagon cały zbiorów swoich, Wydział dowiedział się od niego, że bezcenna biblioteka hr. Przeździeckiego (po Tyzenhauzach) wskutek niedbalstwa administracyi pozostaje dotąd pod frontem w drewnianej stajni, gdzie żołnierze palą fajki Wydział uprosił p. Januszewskiego aby pojechał na miejsce do Berezwiecza i tę słynną bibliotekę zawierającą pergaminy, kodeksa i inkaunbuły, niezwykle cenne dla nauki polskiej, przywiózł do Moskwy. Przed kilku dniami otrzymaliśmy list, że p. M. Januszewski uzyskał właśnie rozkaz, dający możność wywiezienia tej biblioteki do naszego składu. Dzięki ofiarności Wiceprezesa Komitetu Polskiego w Moskwie p. J. Ewerta, Wydział uzyskał na ten cel nowy skład (drugi).

h) Na życzenie Petrogradzkiego Koła wyszukano w Moskwie delegata, dla sprawy uratowania i zwiezienia do składu Wydziału moskiewskiego kilku tysięcy eksponatów etnograficznych (ze Sretieńska. Zabajkalski kraj) które ofiarował dla Muzeum Narodowego p. Grochowski główny zarządzający mongolską koncesyą. Delegata znaleziono w osobie P. Anaszkiewicza który udawał się właśnie na Sybir na stanowisko zastępcy pełnomocnika C. K. O. w Krasnojarsku p. J. Zdzienickiego, z którym razem zorganizuje akcyę wydobycia tych cennych kilku tysięcy eksponatów z rąk niepewnego kupca. P. Grochowski zmuszony mieszkać w Chajładze poza granicą celną nie może pilnować tej kolekcyi. Na te koszta jak i na przewóz wysłano 400 rb. z kasy Wydziału.

P. Wł. Twardowski, delegat Wydziału, uratował w Zwieniaczu w rozgrabionym częściowo pałacu Pp. K. kilka pak dużych napełnionych zabytkami. i ubezpieczył część starej biblioteki cennej. Ponadto nadesłał bardzo cenne informacye ułatwiające akcye ratowniczą, dotyczącą dzwonów i tp.

j) P. J. Bogucki wysłany na Polesie w końcu czerwca zajął się między innemi ratowaniem znacznej, a zagrożonej bardzo kolekcyi p. K. koło Horynia, i zebrał w okolicy szereg cennych darów, które wkrótce przywiezie.

Oprócz delegatów do spraw poszczególnych, Wydział zamianował stałego delegata objazdowego na Inflantach, Litwie, Białorusi Ks. Zyskara, który znając doskonale te strony, w tych dniach objął swe obo-

wiązki, oddając się wyłącznie akcyi wyszukiwania i ratowania zagrożonych zbiorów zabytków. Na akcyę tę otrzymał osobne pozwolenie J. Eksc. Ks. Biskupa Cieplaka, za co Wydział składa najgłębsze podziękowanie.

Wydział pomija w tem sprawozdaniu sprawy takie, jak wydanie opinii w sprawie „Grunwaldu" Matejki, pozostającego nie pod jego nadzorem, jak załatwienie 41 zgłoszeń i porad w sprawie, przyjęcia, oceny lub kupna zabytków i t. p. nieukończoną sprawę uratowania 4 bezcennych pamiątek narodowych z przed lat 85-ciu, aby zatrzymać się jeszcze tylko na kilku sprawach najważniejszych.

Dowiedziawszy się z „Gazety Polskiej", a następnie dokładniej od Koła Petrogradzkiego o grożącem niebezpieczeństwie przewiezienia do Rostowa nad Donem 70 pak niezwykle cennych inkunabułów biblioteki Un. Warszawskiego ewakuowanej do Moskwy (o czem ogół dowiedział się jedynie dzięki referatowi p. Zielińskiego w Tow. Bibliograficznem w Petrogradzie) Wydział zbadał przy pomocy kilku bardzo poważnych jednostek, że te 70 pak istotnie do Rostowa nad D. przewieziono, a następnie przez p. Prezesa A. Lednickiego, który porozumiał się też z Kołem Petrogradzkiem, wystąpił w obronie tych pak, w ustnej rozmowie z p. Ministrem oświaty hr. Ignatiewem, co wydało pożyteczne rezultaty.

Po powrocie do Moskwy według wskazówek p. prezesa A. Lednickiego ułożonem zostało odnośne podanie które przesłano hr. Wielopolskiemu. Dalsze kroki w tej sprawie oddano Kołu Petrogradzkiemu.

Pozatem na ręce Hr. Wielopolskiego przesłano, ułożone przez p. A. Lednickiego, podanie do Minister. Kolei, Dworu i Oświaty o ochronę ewakuowanych zabytków polskich. Stosownie do życzenia Koła Petrogradzkiego, nadesłano mu łącznie z tą sprawą wykazy:

1) dokonanej grabieży w majątku ks. S. Sapieżyny, która w tej sprawie do nas się zwróciła, i której Wydział pomaga w odszukaniu licznych a nader cennych zabytków sztuki, jakie padły w jej pałacu ofiarą złoczyńców.

2) odnalezionych ewakuowanych zabytków zwłaszcza dzwonów, których już mieliśmy wykazy szczegółowe.

Jeszcze w październiku 1915 r. na szczególnie gorące rady p. Teofila Wiśniowskiego, arch. przystąpiono do akcyi szukania dzwonów ewakuowanych. Zredagowaną w tej sprawie przez p. T Wiśniowskiego odezwę Wydziału oddał p. prezes Lednicki J. E. Ks. Biskupowi Cieplakowi, z którym Wydział wszedł w stosunki w akcyi ratowania tego majątku narodowego predstawiającego nietylko wartość moralną i historyczną (napisy) ale i ogromną materyalną. Ks. Biskup Cieplak dał nam zupełną swobodę działania. W tymże czasie udało się pew. znajomemu naszemu doręczyć jednemu z księży w Moskwie spis około 300 dzwonów ewakuowanych, który to wykaz adresat odesłał Kołu Petrogradzkiemu. Wydział Moskiewski dowiedziawszy się o tem, złożył podanie do Centralnego Biura ewakuowanych ładunków w Moskwie o bliższe dane o wszystkich dzwonach ewakuowanych. Po dłuższym czasie i licznych osobistych staraniach Biuro, które istotnie było zawalone inną pracą, zażądało niezwłocznego nadesłania listu od Ks. Biskupa Cieplaka, z podaniem tej treści, że J. Ekselencya poleca Wydziałowi zająć się tą sprawą. Otrzymawszy papier ten, Wydział wystąpił z prośbą nie tylko o spisy dzwonów ewakuowanych, ale i wszelkich innych rzeczy kościelnych i następnie o wydanie tych dzwonów nam pod opiekę i zwiezienie ich bezpłatnie z innych miast do Moskwy na plac Rzymsko Katolickiego kościoła na Gruzinach, na ten ostatni punkt, władze najwyższe jeszcze odpowiedzi nie dały, natomiast szczegółów, co do adresów dzwonów ewakuowanych zebrano już wiele dzięki rozkazowi Na-

czelnika Central. Biura p. Franka. Rozesłaną została przez Biuro odnośna ankieta do wszystkich kolei, na którą ciągle nadchodzą odpowiedzi. Oprócz adresów około 500 dzwonów ewakuowanych rozrzuconych po całej Rosyi otrzymaliśmy od Wł. Franka potwierdzenie szczegółowe co do składów w Kursku, o czem wyżej, dalej obietnicę uzyskania adresu drugiego olbrzymiego składu dzwonów i wreszcie wiadomość, że w Niżnim Nowogrodzie pod nadzorem wojskowości i t. p. jest 5000 dwonów ewakuowanych i nadsyłane są dalsze partye dzwonów. P. Frank wysyła ponadto do N. Nowgorodu osobną komisyę dla zbadania, ile w Niżnim N. jest dzwonów Rzym. Katol., a ile prawosławnych, komisya ta, jak się dowiadujemy, złożona jest z ludzi bardzo poważnych. Z naszej strony organizujemy szczegółową inwentaryzacyę, odpisy z napisów, pomiary etc. i ubezpieczenie praw własności przedewszystkiem przez trwałe rycie na dzwonach danych co do pochodzenia, które na kartkach albo deszcz zalewa, albo w inny sposób giną. Nawet jeśli się nie uda odebrać dzwonów obecnie, akcya ta ułatwi Ks. Proboszczom i parafianom odszukanie dzwonów po wojnie, co bez powyższych kroków byłoby niesłychanie utrudnionem. Ponadto zebranie historycznych napisów ma dla nauki poważne znaczenie.

Ta sama akcya organizuje się w tej chwili dla Kurska, gdzie jest 20000 dzwonów ewakuowanych, w tem 2/3 Rzym. Katol.

Po niezliczonych staraniach, uzyskano przy pomocy W. hr. Sobańskiego u władz moskiewskich wiadomość, że w Moskwie jest bardzo wiele dzwonów i rzeczy kościelnych ewakuowanych, a nadto uzyskano prawo obejrzenia ich po monastyrach, składach straży ogniowej. Uzyskano osobno podobne pozwolenie w moskiewskich składach wojskowych. Dotąd odnaleźliśmy w Moskwie około 1000 dzwonów. Spisywanie, opisywanie, odbijanie napisów etc. już się rozpoczęło. Koniecznem jest atoli dla poparcia naszej akcyi, aby jak największa ilość księży proboszczów zwracała się do nas piśmiennie o wydanie dzwonów, co akcyę bardzo przyspieszy. Tak bowiem zapatrują się na tę sprawę władze wojskowe, zwłaszcza sprawie przychylne.

Wobec tego wszystkiego liczba pracowników Wydziału stale wzrasta. Organizuje się osobny oddział do Kurska pod dowództwem p. Grodzkiego. W biurze pracuje stale, codzień 6—7 osób nie licząc tych, którzy zajęci są inwentaryzacyą i opisywaniem druków.

Razem Wydział położył rękę na 26000 dzwonów przeszło; między innemi odnaleźliśmy przy pomocy p. bar. L. Manteuffla i hr, Komorowskiego miejsce znajdowania się obecnego dzwonów z Katedry wileńskiej i dzwonów lubelskich.

Ponadto rozesłano listy do 56 naczelników „kommerczeskich służb" po całej Rosyi (aż do Sybiru włącznie, bo jak to już wiemy napewno i tam powędrowały dzwony i t. p. rzeczy). Powoli nadchodzą odpowiedzi dotyczące licytacyi towarów lub też miejsca znajdowania się i nazwiska właścicieli, lub gdy ta nie grozi pewnym kategoryom rzeczy np. sprzęty i rzeczy domowe, wśród których może być wiele zabytków sztuki, szczegółów, gdzie one i czy bez dokumentów etc. Ze spisów tych, w których między nazwiskami wysyłających jest wiele polskich, da się wyłowić wiele szczegółów dotyczących naszej akcyi. Potwierdzają to wizyty u Nacz. Kom. służby w Moskwie, od których uzyskaliśmy cenne wiadomości dla akcyi ratowania zabytków polskich i adresy ewakuowanych zbiorów, których szukanie po wojnie bez tego mogłoby spełznąć na niczem.

Za zgodność z oryginałem członkowie Komisyi Wykonawczej:

Teofil Wiśniowski.

St. Morelowski.

Z KOŁA TOWARZYSTWA OPIEKI NAD ZABYTKAMI PRZESZŁOŚCI W PETROGRADZIE.

Wysunąwszy na pierwszy plan ocalenie własności narodowej: kościelnej, muzealnej, archiwalnej, bibliotecznej, publicznej i prywatnej, Zarząd Koła rozwinął energiczne starania w celu zebrania wiadomości o zabytkach ewakuowanych przez władzę rządową, wywiezionych przez właścicieli, o zaginionych bez śladu, zatraconych przez handlarzy i znajdujących się w poniewierce.

Zbierane ciągle z różnych stron wykazy i spisy takich zabytków służą przedewszystkiem do podtrzymania obszernych odezw i memoryałów, składanych w ministeryach: oświaty, komunikacyi, spraw wewnętrznych, Dworu, Akademii Nauk, Ces. Komisyi Archeologicznej i Centralnem biurze ewakuowanyeh ładunków w Moskwie.

Starania w wymienionych instytucyach wynikały z potrzeby: 1) uzyskania sum na wydatki związane z wyszukiwaniem i odzyskaniem ewakuowanych zabytków, 2) zabezpieczenia zabytków przed grożącą im licytacyą na kolejach, skutkiem nieodebrania w porę przez niewiadomych zarządom kolejowym właścicieli, 3) wyjednanie możności w rozciągnięciu opieki nad rujnowaną w wirze wojennym architekturą i ruchomym dorobkiem na zmieniającej się linii bojowej, 4) otrzymanie wyjaśnień, gdzie się znajdują wywiezione z Kraju zbiory, których ślad zaginął, lub o ile ich miejsce znajdowania się jest wiadome—sprawdzenia, czy nie ulegają uszkodzeniu, 5) regulowania zasad prawnych upoważniających do opiekowania się cudzą własnością, wiadomych i niewiadomych właścicieli, w drodze opisania porzuconych lub źle strzeżonych zabytków i przechowania takowych w odpowiednich składach, aż do odnalezienia właścicieli.

Podjęte w tych celach starania sprawiły, że: Ministeryum Oświaty po zatwierdzeniu prośby Koła przez Radę Ministrów i po uzyskaniu sankcyi Najwyższej zasiliło dziesięcioma tysiącami rubli.

Ministeryum Komunikacyi, powstrzymawszy na wszystkich kolejach licytacye przedmiotów ewakuowanych i wywiezionych z terenu wojny, mających znaczenie religijne, archeologiczne, artystyczne, muzealne i t. d., dało Kołu prawo i ułatwiło możność zaopiekowaniania się przedmiotami wartościowemi.

Akademia Nauk i Ces. Komisya Archeologiczna, nie odmawiając pomocy i wskazań, otworzyły dostęp do badań stanu zabytków architektonicznych na terenie wojny, dla projektowanego przez Zarząd Koła zastosowania środków konserwatorskich; celem wyprawy jest i niesienie tamże pomocy w ocaleniu własności ruchomej.

Wobec tego, że archiwa i biblioteki polskie olbrzymie dziś ponoszą straty, Zarząd Koła postanowił jednak dołożyć starań, aby nadewszystko ocalone od zagłady książki i dokumenty, obejmujące historyę narodową w jaknajwiększej liczbie zachować dla kraju.

Nabyto więc przy różnych okolicznościach dużą ilość ksiąg, starych druków i dokumentów z lat 1596 do 1854.

Zarząd nie omija sposobności kupowania zabytków zaliczonych do pamiątek narodowych, do nich należą między innemi zasługujące na wyróżnienie pasy polskie złoto- i srebrno-lite, jedwabne i półjedwabne, nabyte w liczbie 14.

Koło pośredniczyło bezinteresownie w sprzedaży znanym amatorom Polakom.

Dary w naturze złożyli: księgi, stare druki i różne dokumenty — ks. prałat M. Godlewski, pp. C. Witort, J. Krzakowski, K. Plage, B. Rylski, E. Arens, Z Mocarski, E. Wasilewski, O. Hanzen z Kijowa, numiz-

maty: A. Gondziarek ze Żłobina, obraz J. Sobieszczański z Irkucka, obraz, medalion i order H. Senger, tackę i ampułki książę M. Puzyna z Kozielska, obrazy, sztychy, rysunki i stare druki Anna i Al. Borawscy.

Dar ostatnio otrzymany z jednej z księżnic tutejszych składa się ze starych polskich druków: warszawskich, krakowskich, gdańskich, toruńskich, nieświeksich i wiele innych, od roku 1524 do 1867, w ogólnej liczbie 1415 egzemplarzy, jest to dar poważny pod względem swego znaczenia i wartości.

Ofiary picniężne złożyli: pp. M. i W. Polkowscy rb. 100, księża X. X. 20, C. Witort 30, M. Januszewski 50, A. Smoliński 15.

Koło korzystało z pomocy C. K. O. na działalność związaną z potrzebami i stratami ponoszonomi przez uchodźców.

*
* *

Podajemy adresy organizacyi opieki nad zabytkami przeszłości: Koło Opieki nad Zabytkami Przeszłości. Petrograd, Kirocznaja nr. 34, 73, tel. 535-36.

Wydział Opieki nad Zabytkami Sztuki przy Komitecie Polskim w Moskwie. Złatoustinskij per. nr. 6, m. 25.

Wydział Opieki nad zabytkami Sztuki i Kultury przy C. K. O. w Mińsku, ul. Podgórna nr. 4.

Wydział Ochrony Zabytków przy Kijowskiej Radzie Okręgowej w Kijowie, Proreznaja nr. 4, m. 7.

Wydział Ochrony Zabytków w Smoleńsku, Biblioteka Polska.

Wzdział Opieki nad Zabytkami Przeszłości przy miejscowym Komitecie Odeskim. Odesa, ul. Polska nr. 10.

POLSKIE KOŁO NAUKOWE W MOSKWIE.

Zalegalizowane w styczniu 1916 r. Polskie Koło Naukowe w Moskwie pracę prowadzi w dwu sekcyach: matematyczno-przyrodniczej i humanistycznej.

W roku bieżącym w okresie organizacyi Koło odbyło następujące posiedzenia:

a) W sekcyi matematyczno-przyrodniczej. Przewodniczący p. Boguski, sekretarz p. Klimowicz.

Posiedzenie I-sze dn. 10 grudnia 1915 r. przemawiali:

1. p. *K. Kulwieć* „Przyczynek do fizyografii powiatu Nowogródz."
2. p. *W. Świętosławski* „O bombie kalorymetrycznej i jednostce miary w termochemii."

Posiedzenie II-gie dnia 28 stycznia 1916 r.

3. p. *T. Klimowicz* „Prawo Webera w fizyologii wrażliwości roślin."

Posiedzenie III-cie dnia 11 lutego 1916 roku.

4. p. *K. Jantzen* „O zależności apeksu od typu widmowego gwiazd."
5. p. *W. Świętosławski* „O analizie termochemicznej związków najprostszych."

b) W sekcyi humanistycznej Przewodniczący p. Porzeziński, sekretarz p. Chodynicki.

Posiedzenie I-sze dnia 21 grudnia 1915 r.

1. p. *K. Chodynicki* „Stosunek Zygmunta Augusta do wyznania grecko-wschodniego."

Posiedzenie II-gie dnia 18 stycznia 1916 r.

2. p. *J. Jakubowski* „Sprawozdania z prac dotychczasowych nad monografią historyczną Nieświeża."

Posiedzenie III-cie dnia 8 lutego 1916 r.

3. p. *W. Porzeziński* „O językach sztucznych."

Następnie, po zorganizowaniu prawidłowej pracy Koła odbyły się następujące posiedzenia.

a) W Sekcyi matematyczno-przyrodniczej, Przewodniczący p. Sierpiński, sekretarz p. Klimowicz.

Posiedzenie IV-te dnia 3 marca 1916 r.

6. p. *S. Leśniewski* „Zagadnienie wolnego od sprzeczności systemu teoryi mnogości."

Posiedzenie V-te dnia 24 marca 1916 r.

7. p. *J. J. Boguski* „O reakcyi Stassa przy otrzymywaniu azotynu sodowego."

Posiedzenie VI-te dnia 24 kwietnia 1916 r.

8. p. *W. Vorbrodt* „Fosforany mineralne i fityna w nasionach."

Posiedzenie VII-me dnia 26 maja 1916 r.

9. *P. Świętosławski* „O związku dwuazotowym."

Posiedzenie VIII-me dnia 3 listopada 1916 r.

10. p. *W. Sierpiński* „Trudności współczesnej teoryi mnogości."

Posiedzenie IX-te dnia 17 listopada 1916 r.

11. p. *A. Doroszewski* „Słów kilka z powodu śmierci Ramsay'a."
12. p. *M. Pożaryski* „O demonstrowaniu zjawisk szybkozmiennych przy pomocy oscylografu."

b. W Sekcyi humanistycznej. Przewodniczący p. Porzeziński, sekretarz p. Chodynicki.

Posiedzenie IV-te dnia 29 lutego 1916 r.

4. p. *M. Morelowski* „Wpływ sztuk pięknych na twórczość Krasickiego i jego pionierska rola w zakresie konserwacyi zabytków."

Posiedzenie V-te dnia 28 marca 1916 r.

5. p. *K. Wachowski* „Drużyna norweska na Pomorzu."

Posiedzenie VI-te dnia 2 maja 1916 r.

6. p. *J. Konczyński* „Stan ekonomiczny Królestwa Polskiego przed wojną 1914 r."

Posiedzenie VII-me dnia 16 maja 1916 r.

7. p. *R. Dyboski* „Rytmika wysiłku i znużenia w twórczości Szekspira" (odczytał p. P. Ettinger).

Posiedzenie VIII-me dnia 19 maja 1916 r.

8. p. *Kaczewski* „Antyczne łuki tryumfalne."

Posiedzenie IX-te dnia 14 listopada 1916 r.

9. p. *Wróblewski* „Socyologiczna szkoła prawa karnego a socyalizm."

Prócz tego odbyły się następujące zebrania wspólne obu sekcyi:

Posiedzenie 1-sze dnia 31 maja 1916 r.

1. p. *J. J. Boguski* „O klasyfikacyi nauk."

Posiedzenie II-gie dnia 26 września 1916 r. poświęcone działalności naukowej ś. p. Wł. Weryhy.

2. p. *Kierski* „Władysław Weryho, człowiek i dzieło".
3. p. *S. Bobiński* „Polska filozofia naukowa doby ostatniej."

W ciągu swego istnienia Koło Naukowe przystąpiło do wydrukowania następujących prac:

1. *Chodynicki Kaz.* „Stosunek Zygmunta Augusta do wyznania grecko-wschodniego."
2. *Dyboski Rom.* „Rytmika wysiłku i znużenia w twórczości Szekspira."
3. *Jantzen Kaz.* „O wpływie typu widmowego gwiazd na wyznaczenie apeksu słońca."
4. *Leśniowski Stan.* „Podstawy ogólnej mnogości."
5. *Sierpiński W.* „Analiza t. I część pierwsza."

Prace te ukażą się w najbliższym czasie na półkach księgarskich.

Koło miało zamiar zorganizowania wykładów naukowych dla młodzieży akademickiej. Niestety z powodu mobilizacyi na wyższych zakładach naukowych, wykłady te musiały być zaniechane.

Na posiedzeniu dnia 21 lutego 1916 r. do Zarządu Koła zostali wybrani: pp. A. Doroszewski (przewodniczący), J. Jakubowski (sekretarz), K. Kulwieć (skarbnik), W. Porzeziński (zastępca przew.) i W. Sierpiński. Do komisyi rewizyjnej—pp. W. Świętosławski i P. Ettinger. Członkiem honorowym obrano p. A. Lednickiego.

Starania o legalizacyę, oraz organizacyę Koła przeprowadzał Zarząd tymczasowy w skład którego weszli pp. Boguski, A. Doroszewski, K. Kulwieć, W. Porzeziński i W. Sierpiński.

SZKOLNICTWO POLSKIE W ROSYI.

DWULETNIE KURSY PEDAGOGICZNE W PETROGRADZIE.

Z początkiem roku szkolnego otwarte zostały w Petrogradzie staraniem p. A. Jastrzębskiej dwuletnie kursy pedagogiczne.

Wobec braku wykwalifikowanych nauczycielek szkół ludowych i średnich—instytucya ta ma bardzo wdzięczne pole do pracy. Program szkoły jest bardzo szczęśliwie dostosowany do najistotniejszych potrzeb, uwzględnia on bowiem z jednej strony przedmioty pedagogiczne, z drugiej—historyczno-literackie polskie, stanowiące dotychczas słabą stronę wykształcenia naszych sił pedagogicznych.

Grono nauczycielskie kursów składa się z szeregu profesorów specyalistów.

SZKOŁA ŻEŃSKA W KIJOWIE.

Kierowniczka ośmioklasowej szkoły żeńskiej w Kijowie z prawami rządowemi, p. Wacława Peretjatkowiczowa, uzyskała pozwolenie władz wojskowych na otwarcie równoległej pensyi żeńskiej z językiem wykładowym polskim. Dnia 9 września otwarto siedem klas tego nowego zakładu, który dla licznej młodzieży przyjezdnej pożądanem będzie środowiskiem dla kontynuowania rozpoczętej w kraju nauki.

SZKOŁA HANDLOWA W MOSKWIE.

Dnia 19 września r. b. (st. st.) otwarta została nowa stała uczelnia polska w Moskwie 7-klasowa szkoła handlowa z wykładowym językiem polskim. Tymczasowo mieści się ona przy zaułku Siwcew-Wrażek nr. 41 na Arbacie w gmachu gimnazyum Szamoninej. Otwarte zostały narazie tylko 4 pierwsze klasy.

POLSKIE PODRĘCZNIKI SZKOLNE.

W celu zaradzenia brakowi podręczników szkolnych na wychodźtwie, nakładem Polskiego Komitetu pom. ofiarom wojny w Moskwie wyszły następujące litografowane kursy matematyczne, przystosowane do potrzeb szkoły średniej: 1) „Kurs algebry klasy III-ej, 2) „Kurs logaryfmów w szkole średniej", 3) „Teorya granic w zastosowaniu do obliczania długości okręgu i pola koła" i 4) „Kurs trygonometryi płaskiej", 5) „Kursy historyi polskiej i powszechnej" w wykładzie prof. Jana Jakubowskiego. Podręczniki te są na składzie w kancelaryi 1-ej polskiej 8-klasowej szkoły żeńskiej: Moskwa, Spiridonowska nr. 8.

Pozatem ukazały się nakładem Rady Zjazdów: Ign. Chrzanowskiego „Historya literatury Polski niepodległej" w 2-ch tomach" i W. Zakrzewskiego „Historya powszechna" w 3-ch tomach.

SZKOLNICTWO W KRÓLESTWIE.

UNIWERSYTET I POLITECHNIKA W WARSZAWIE.

Z nowym rokiem szkolnym otrzymały uniwersytet i politechnika warszawska nowe statuty, które obie uczelnie stołecznego miasta zrównały co do praw z uniwersytetem i politechniką Europy zachodniej, a więc ze szkołami Krakowa i Lwowa.

Na uniwersytecie w semestrze zimowym wykładać będą między innymi: E. Strasburger: Historya doktryn ekonomicznych, K. Tymieniecki: Historya Polski w XIV wieku, D. Anc: Prawo cywilne, Alf. Parczewski: Prawo kościelne, St. Szober: Porównawcza głosownia języków indo-europejskich i kurs elementarny sanskrytu, J. Zawadzki: Chemia fizyczna, S. Kwietniewski: Geometrya rzutowa, J. Mikułowski-Pomorski: Encyklopedya gospodarstwa wiejskiego, St. Słoński: Składnia języka starosłowiańskiego i starożytności słowiańskich, J. Rudnicki: Geometrya analityczna, St. Mazurkiewicz: Rachunek różniczkowy, teorya funkcyi analitycznych, L. Szperl: Chemia ogólna dla matematyków, M. Grotowski: Wstęp do fizyki teoretycznej, K. Jabłczyński: Chemia nieorganiczna, J. Braun: Chemia ogólna i chemia organiczna, J. Lewiński: Geologia historyczna, Siemieński: Historya ustroju Polski, Konstytucya 3 Maja, K. Konarski: Ludwik XIV a Polska (proseminaryum z historyi Polski nowożytnej), Jul. Kleiner: Wstęp do dziejów romantyzmu, M. Kreczmar: Historya Rzymu, M. Handelsman: Historya Europy w dobie Luksem-

burgów, Bron. Chlebowski: Historya literatury polskiej: jej początki, Łyskowski: Seminaryum prawa rzymskiego, oraz prawo rzymskie, Wł. Tatarkiewicz: Dzieje filozofii greckiej, J. Łukasiewicz: Teorya poznania, filozofia Kanta i seminaryum filozoficzne, A. A. Kryński: Fonetyka historyczna języka staropolskiego, Paszkowski (Niemiec) język niemiecki i historya literatury niemieckiej, K. Karwowski: Literatura francuska, a wreszcie J. Tur: Anatomia porównawcza i J. Krasowski: Anatomia sferyczna. Spis ten zawiera tylko wykłady główniejsze i przeważnie wydziału filozoficznego i prawnego.

SZKOŁA NAUK SPOŁECZNVCH I HANDLOWVCH W WARSZAWIE.

Staraniem byłych wychowańców uniwersytetu i wyższej szkoły handlowej w Lipsku powołano do życia w Warszawie szkołę nauk społecznych i handlowych, której kierownictwo objął dr. Edmund Reyman. Wykłady rozpoczęły się 2-go października.

WYŻSZE KURSY NAUKOWE W WARSZAWIE.

Powstanie i rozwój wszechnicy polskiej w Warszawie nietylko nie zachwiał bytu „Wyższych Kursów Naukowych" w Warszawie, lecz owszem znacznie wzmógł ich frenkwencye i rozrost wewnętrzny. Sam jeden wydział humanistyczny kursów liczył w ubiegłym roku szkolnym 1915—16 aż 3316 słuchaczów, t. j. dwa razy więcej, niż w r. 1914—15, a cztery razy więcej, niż w r. 1913—14. Wydział ten składa się obecnie z I kolegium humanistycznego, II wykładów specyalnych: a) nauki filologiczne, b) nauki historyczne, c) nauki społeczne, d) nauki filozoficzne, oraz III Instytutu pedagogicznego, obejmującego całokształt przedmiotów, wchodzących w zakres przygotowania ogólnego i technicznego do zawodu nauczycielskiego. Składa się on z dwóch odrębnych działów kolegium pedagogicznego o trzech kursach przygotowawczych, oraz właściwego Instytutu pedagogicznego. Podobnie pomyślny rozrost mają do zanotowania i inne wydziały „Kursów Wyższych", jak np. wydział przyrodniczy, który w bieżącym roku uruchomił kurs leśnictwa i t. p.

NOWY ROK SZKOLNY W KRÓLESTWIE.

Dnia 1 października w wielu szkołach średnich w Warszawie i reszcie kraju rozpoczął się nowy rok szkolny 1916—1917.

Lekcje rozpoczęły się 2 b. m. o godz. 8 rano.

We wszystkich szkołach średnich zauważyć się dał niezwykły napływ młodzieży, zwłaszcza w klasach niższych. Niektóre szkoły miały nadmiar zapisujących się, na jedno miejsce zgłaszało się po kilku kandydatów, którym dla braku miejsca, musiano odmówić przyjęcia.

Bardzo dużo młodzieży przybyło do Warszawy z prowincyi.

We wszystkich szkołach z rozporządzenia władz niemieckich z planu lekcyi usunięto język rosyjski, nawet na życzenie rodziców język rosyjski wykładany nie będzie.

W wielu gimnazyach żeńskich utworzono po jednej, wzglę̨dnie po dwie wyższe klasy oraz rozszerzono plan lekcyi i nauk, by przez to szkoły te zrównać z gimnazyami męskiemi, a uczennice uprawnić do pełnych studyów uniwersyteckich.

SKARBY KULTURY POLSKIEJ W ROSYI.

„Priazowskij Kraj" z dnia 25 listopada donosi, że w piwnicach uniwersytetu w Rostowie n.-D. wraz z inkunabułami znajdują się znakomite obrazy Siemiradzkiego „Apoteoza Kopernika", Borowskiego „Aleksander I wręcza pierwszemu rektorowi uniw. warszawskiego dyplom o otwarciu uczelni" i inne. Wszystkim tym utworom zagraża smutny los w wilgotnych piwnicach, na co bibliotekarz Pogorielow, zwracał uwagę rektora jeszcze we wrześniu. Pomimo to nic nie zostało przedsięwzięte dla wyciągnięcia obrazów z piwnic.

POLONICA W ROSYI.

W Petrogradzie ukazała się ciekawa książka naukowa p. M. Gutkowskiego, wydana po rosyjsku, p. t. „Gospodarka finansowa Warszawy". Jest to praca seminaryjna z zakresu nauki prawa finansowego, dokonana w kółku naukowem, prowadzonem przy uniwersytecie tutejszym przez docenta A. Bukowieckiego. Przedmowę do pracy napisał prof. M. Fridman. Autor wydał książkę przy pomocy pieniężnej Komitetów polskich CKO i R. T. R. O. W.

* * *

W dniu 4 października w audytoryum przy gabinecie prawniczym uniwersytetu petrogradzkiego odbył się wykład inauguracyjny docenta Jerzego Fedorowicza z zakresu prawa cywilnego Królestwa Polskiego.

W słowie wstępnym prelegent wspomniał o długiej przerwie, jakiej uległa opustószała katedra, zajmowana kiedyś przez wybitnych i znanych prawników, jakimi byli Hube, Spasowicz, Żaborowski i inni.

W bardzo zajmującym i barwnym wykładzie profesor F. dał rzut oka na historyę rozwoju prawa w Polsce przedrozbiorowej i — na rolę Napoleona, jako prawodawcy i twórcy kodeksu, mającego prawie wszechświatowe zastosowanie.

* * *

W „T-stwie neofilologicznem" w d. 17 października profesor Tadeusz Zieliński wygłosił odczyt o „Grażynie" Mickiewicza.

Z niezwykle ciekawemi i cennemi wynikami badań szanownego profesora nad tym poematem Mickiewicza czytelnicy mieli już możność zapoznać się w 5—6 num. naszego pisma.

NEKROLOGIA.

— Dr. Gustaw Blatt profesor gramatyki porównawczej i języków indo-europejskich w uniwersytecie lwowskim, zmarł nagle we Lwowie, wskutek ataku serca, w 58 r. życia, 17 października. Pogrzeb odbył się w dniu 19 tego miesiąca. Nad grobem przemawiał im. uniwersytetu lwowskiego prof. dr. Wilhelm Bruchnalski oraz im. Tow. filozoficznego dr. Franciszek Sniołk. Zmarły ogłosił szereg prac naukowych, przeważnie w publikacyach krakowskiej Akademii umiejętności jak: „Studyum o archaizmach w języku J. Kochanowskiego", „Materyały do

morfologii języka polskiego w w. XV“, „Spostrzeżenia nad językiem Kochanowskiego“, „Szkice z zakresu gramatyki jęz. staroż.“, „O języku satyr Marcina Bielskiego“, „Gwara ludowa we wsi Pysznica“, „Questiones phonologicae sanscritae“, „Z dziejów badań gramatycznych“, „O zdaniach i metodach gramatyki porównawczej“ i wiele innych. Wiele prac filozoficznych drukował w języku łacińskim w czasopiśmie „Eos“.

— W Warszawie zmarł w dniu 6 września ś. p. dr. Józef Peszke w 71 roku życia, redaktor „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej“. Zajął był także wybitne miejsce pomiędzy współpracownikami „Słownika języka polskiego“. Dr. Peszke był z zawodu lekarzem, z zamiłowania jednak pracował na polu historyi i starożytności.

OD REDAKCYI.

Z powodu wielkich trudności technicznych, i wskutek rozpoczęcia roku wydawniczego od marca nie mogliśmy dotychczas wydawać „Myśli Narodowej“ regularnie. Brak ten staraliśmy się zrównoważyć stałem zwiększeniem objętości numeru do 7 lub 8-miu najmniej arkuszy, zamiast przyobiecanych pierwotnie 6-ciu.

Pragnąc naprzyszłość uniknąć wszelkich niedokładności, zdecydowaliśmy rok bieżący zamknąć numerem 9-tym, a prenumeratę z kwartału 4-go przenieść na kwartał 1-szy 1917 r.

Stały wzrost cen papieru i druku zmusza nas również, — podobnie jak i wszystkie inne wydawnictwa, — do zmiany warunków prenumeraty.

Od nowego 1917 roku „Myśl Narodowa“ kosztować będzie:

Rocznie z przesyłką poleconę	18 rb. —
Półrocznie „ „	9 rb. —
Kwartalnie „ „	4 rb. 50 k.
Numer pojedyńczy	1 rb. 75 k.

BIBLIOGRAFIA.

Rrzepecki Karol: Pułk czwarty, 1830—1831, Wielkopolska Księgarnia Nakł. w Poznaniu.
Bartoszewicz K. Utworzenie Królestwa Kongresowego.
Bentkowski Wł. Notatki osobiste z r. 1863.
Ćwikowski W. Pierwszy ogień bojowy w Karpatach.
Ekielski Wł. Odbudowa polskiej wsi.
Gruszecki A. O wolność i godność. Powieść.
Klecki Dr. W. Sprawa produkcyi mięsa w związku z hodowlą.
Kulczycki; Królestwo Polskie 1815—1914.
Mondalski W. Z 3-cim pułkiem legionów polskich.
Mirandola F. Kampania karpacka II brygady legionów polskich.
„ Walki pierwszej brygady 1914—1915.
Leszczyński E. Ballady i pieśni.
Prądzyński J. Czterej ostatni wodzowie polscy przed sądem historyi.
Przybyszewski. Powrót. Powieść.
Remer J. Legiony w sztuce.
Romin S. Z notatek legionisty.
Środkowo-europejski związek gospodarczy i Polska. Studya ekonomiczne.
Srokowski K. Na przełomie.
Steinhaus Wł. Pamiętnik legionisty.
Szandroch T. Z lutni żołnierzą.
Tetmajer K. Cienie. Poezye.
Fiedler L. inż. Polen als Absatzgebiet für d. mitteleuropäische Maschinen u Buaindustrie.
Halecki Dr. O. Das Nationalitätenproblem im Alten Polen.
Missalek E. Das Koenigreich Polen.
Balzer Prof. O. Aus Problemen der Verfassungsgeschichte Polens.

Pragnąc, aby pismo nasze stało się wyrazem polskiej myśli naukowej na obczyźnie podczas wielkiej zawieruchy dziejowej, zdołaliśmy w krótkim stosunkowo czasie skupić koło «Myśli Narodowej» poważny poczet polskich sił naukowych. Do ostatnich czasów przyrzekli nam łaskawie współpracownictwo Pp.:

Dr. B. Bator, Dr. K Chodynicki, Dyr. S. Cybulski, W. Dąbrowski, Dr. R. Dyboski, prof. Uniw Jagiell., A. Drogoszewski, Dr. J. Flach, W Gajewski, J. E. ks. biskup dr. M. Godlewski, Wł. Grabski, L. hr. Grocholski, Dr. Wł. Günther, Dr. L. Jachno, dr. J. Joteykówna, prof. Collège de France, Dr. F. Kierski, J. Konczyński, dr. St. Kozicki, J. Kożuchowski, Dr. A. Kropatsch, dr. T. Kruszyński, J. Krzyżanowski, dr. W. Kubala, J. Kurnatowski, B. Kutyłowski, R. Kwiatkowski, J. Lutosławski, prof. W. Lutosławski, Al. Łętowski, K. Mayzel-inż. prof. H. Mianowski, Dr. M. Morelowski, Dr. W. Nakonieczny, prof. K. Noiszewski Mec. Fr. Nowodworski, M. Pawlikowski, Dr. Z. Pazdro, prof. Polit Lwowskiej, prof L. Petrażycki, prof. W. Porzeziński, dr. E. Piasecki, doc. Uniw. Lwow., M. Piotrowski, St. Posner, prof. St. Ptaszycki, J. Ptaszycki, K. Pułaski. J. Raciborski, ks. dr. J. Radziszewski, Rektor Akademii duchownej Rz.-Kat., E. Starczewski, dyr. A. Sznuk, St. Szpotański, Dr. Wł. Szumowski, doc. Uniw. Lwow. ks. prof. A. Szymański, Dr J. Talko-Hryncewicz, prof. Uniw. Jagiell. Dr. M. Treter, dr. H. Ułaszyn, Z Wasilewski, B. Wasiutyński, prof. E. Waśkowski, inż. St. Widomski, ks. prof. A. Wóycicki, A. Zakrzewski, prof. Z. L. Zaleski dr. M. Zdziechowski, prof. Uniw. Jagiell., prof. T. Zieliński, i in.

KOMITET REDAKCYNY

Dr. Piotr Bańkowski, dr Stanisław Jasiukowicz. Klemens Jędrzejewski, Dr. Bohdan Winiarski.

Wydawca: **Dr. Bohdan Winiarski.**
Redaktor: **Dr. Piotr Bańkowski.**

Druk. «NAUCZNOJE DIEŁO» Piotrogród, Zagorodnyj prosp. 74.